4 lata wojny

Raport z Kijowa

Olimpiada: wzloty i upadki • Naciski z ambasad • Miss 80-latek
Ochłodzenie przez ocieplenie • Królewskie skandale • Młodzi z HIV

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 8 (3552), 18.02–24.02.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Kogo słucha Nawrocki

s. 5, 18

Wydanie w sprzedaży do 24.02.2026
ISSN 0032-3500
08>
9 770032 350602

© VALDEMAR DOVEIKO/PAP

epresa.pl/6af64afad

SKI team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

Sale!

NA ASORTYMENT ZIMOWY

Przygotuj się na ferie w Ski Team

od -15% do -50%

W TYM NAJNOWSZE KOLEKCJE

ODZIEŻY / BUTÓW / NART / DESEK / WIĄZAŃ

Promocja obowiązuje w sklepach stacjonarnych i na skiteam.pl

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a,
Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

eprasa.pl f6af64afad

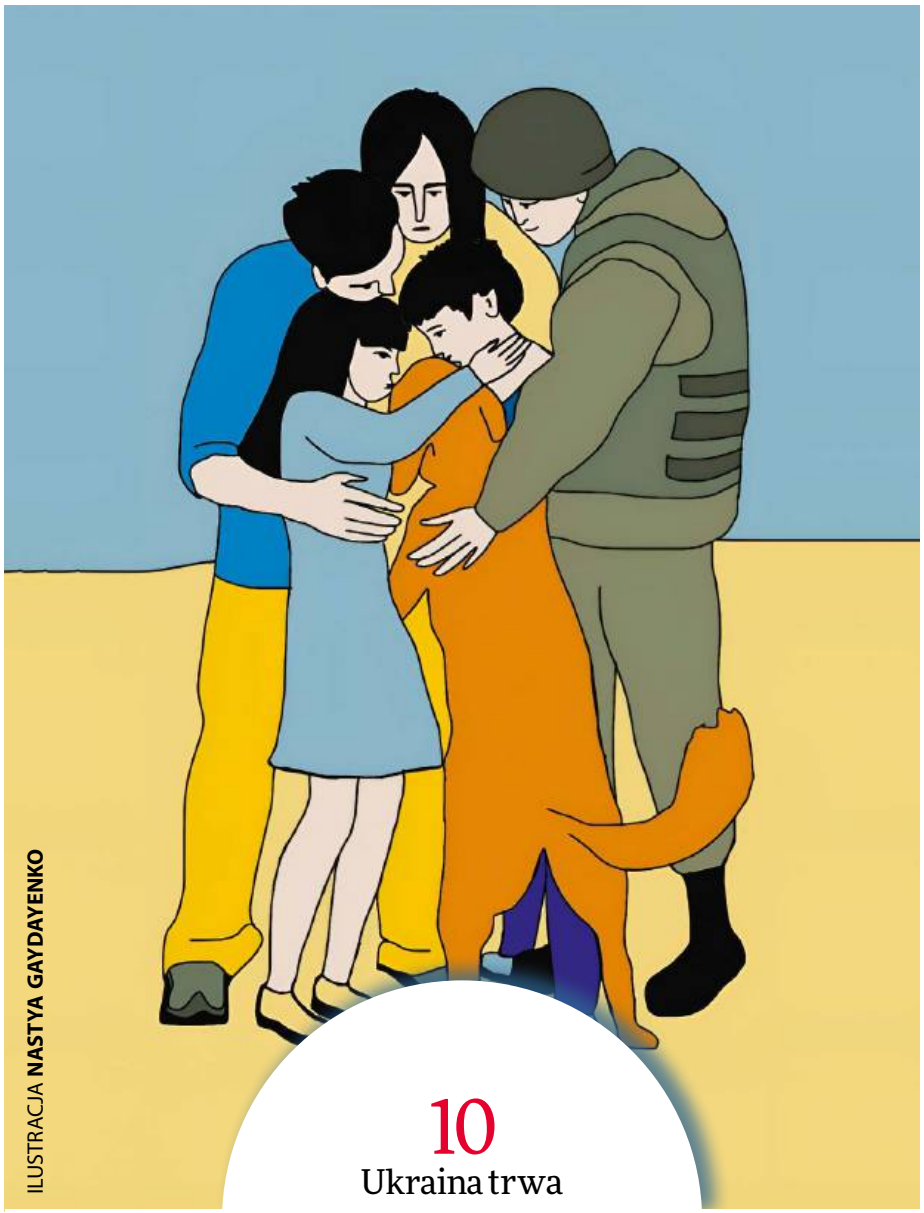

ILUSTRACJA **NASTYA GAYDAYENKO**

10
Ukraina trwa

Tematy tygodnia

10 Edwin Bendyk
Ukraina: cztery lata wojny
14 Marcin Piątek
Wzloty i upadki olimpijskie

Polityka

18 Rafał Kalukin **Pogubiony prezydent**
21 Mariusz Janicki **Szturm na elity**

Społeczeństwo

24 Ewa Wilk
Warto porozmawiać o zanikającej mowie
28 Katarzyna Kaczorowska
Piękne osiemdziesięcioletnie
32 Paweł Walewski
HIV atakuje nastolatki
35 Martyna Bunda
Polskie zen, czyli moda na medytację

Rynek

38 Adam Grzeszak
Z węgla na gaz, czyli z deszczu pod rynnę
42 Cezary Kowanda
Kaucje za butelki: dużo problemów na starcie

Świat

46 Łukasz Wójcik
WIELKA BRYTANIA **Peter Mandelson – upadła gwiazda lewicy**
50 Jędrzej Winiecki
JAPONIA **Sanae Takaichi – sukces pierwszej premierki**
52 Katarzyna Tubylewicz
NORWEGIA **Królewskie skandale**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Andrzej Hołdys
Skąd te mrozy w dobie ocieplenia
59 Co zdradzą tworzone z AI mapy mózgu – opowiada **Michał Januszewski** z Google Research w Zurychu

Historia

62 Tomasz Targański
Spiski i naciski obcych ambasadorów
65 Artur Domosławski
CHILE **Schronienie nazistów**

Kultura

72 Rozmowa z **Ant Łakomsk**, laureatką Paszportu POLITYKI w dziedzinie sztuk wizualnych
78 Rozmowa z **Joachimem Trierem**, reżyserem „Wartości sentymentalnej", nominowanej do Oscarów
81 Violetta Krasnowska **Spór o nową dyrektor Muzeum Literatury**
84 Jakub Demiańczuk
Cykl „Piep*zyć Mickiewicza": ile tu prawdy o nastolatkach?
87 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97
- **Moda zimowa**
- **Memy z akt**
- **O bałamuceniu i mąceniu**
- **Zamki w Trentino**
- **Wina z Bali**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **5** Ludzie i wydarzenia
• **68** Afisz • **88** Orliński
• **89** Chutnik i Plebanek
• **90** Passent • **91** Hartman
• **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl f6af64afad

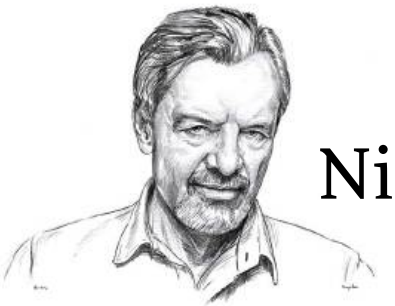

Nie odwracajmy oczu

Jerzy Baczyński

To już czwarta rocznica wybuchu tej wojny. Warto sobie przypomnieć tamten dzień, 22 lutego 2022. I tamten szok: pierwsze zdjęcia rosyjskich czołgów prących na Kijów. I następne dni, przygotowania do obrony miasta, zatrzymanie rosyjskiej kolumny, deklarację prezydenta Zełenskiego, że nie zamierza się poddać ani opuścić kraju. I to, co nam powinno się wryć w pamięć: najpierw tysiące, później milion, dwa, trzy miliony uchodźców, głównie kobiet i dzieci na granicy z Polską, na dworcach, w prowizorycznych miejscach zakwaterowania i zaraz potem – w polskich domach. Zdarzyła się rzecz bez precedensu, niemożliwa: Polacy przyjęli w swoich mieszkaniach, wzięli na swoje utrzymanie, często na wiele tygodni i miesięcy, największą w powojennej historii Europy falę uciekinierów. Nigdy dość przypominania tamtych chwalebnych dni, emocji, wzruszających gestów ofiarności, solidarności. Także polskie państwo, wtedy rządzone przez PiS, po pierwszym szoku zaczęło coraz sprawniej organizować pomoc dla Ukrainy i Ukraińców – prawną, finansową, wojskową, dyplomatyczną.

W ciągu tych czterech lat – chyba nikt nie przypuszczał, że to będzie tak długo trwało – niemal nic się nie zmieniło, jeśli chodzi o naturę i stawkę tej wojny. Mamy do czynienia z brutalną agresją nie tylko przeciwko państwu ukraińskiemu, ale przeciw Ukraińcom jako narodowi, jako ludziom, co drastycznie widzimy tej zimy. I heroiczną, wytrwałą samoobronę Ukraińców. Mamy rosyjskie groźby, prowokacje, ataki hybrydowe wymierzone w Europę i ryzyko – gdyby Ukraina upadła – przesunięcia rozpędzonej rosyjskiej machiny wojennej na zachód, do naszych granic. Jak w pierwszych dniach wojny, Ukraina, powstrzymując i wyniszczając putinowską armię, broni i siebie, i nas.

To, co się zmieniło, to nie geopolityka, ale opinie i nastroje Polaków. W niedawnym badaniu CBOS sympatię do Ukraińców deklarowało 29 proc. Polaków, niechęć 43 proc.; pod tym względem to już sam dół naszego rankingu, za Żydami, a tylko przed Białorusinami i Rosjanami. Do Ukraińców mieszkających w Polsce pozytywny stosunek ma 39 proc., 35 proc. negatywny, reszta – ambiwalentny. Gdyby nastąpiła kolejna fala uchodźców (np. w wyniku przegranej wojny i wprowadzenia w Ukrainie „ruskiego mira"), tylko 14 proc. Polaków zgłosiło pełną gotowość do niesienia pomocy uciekinierom.

Znamy poręczne wyjaśnienia. Że Polacy są zmęczeni tą wojną – choć przecież to nie nas bombardują, a poziom życia w Polsce rośnie w rekordowym tempie. Że Ukraińcy mają u nas za duże przywileje – ale to nieprawda: 80 proc. wojennych migrantów utrzymuje się z pracy, płaci podatki i ZUS w wysokości kilkakrotnie przewyższającej, zawieszane zresztą od marca, świadczenia. Jak na skalę tej diaspory niemal nie było przestępstw, naruszania polskiego porządku prawnego i społecznego. Antyukraińskość jest w Polsce produktem politycznym i propagandowym, skutkiem licytacji na polskiej prawicy (rozkręconej w kampanii 2023 r.) na to, kto jest bardziej przeciw wszelkim migrantom, za nieskalaną czystością etniczną Polski, przeciw „nie naszej wojnie". Mnóstwo do tej propagandy dołożył rosyjski trolling. Widać zresztą, w ślad za Grzegorzem Braunem, a jeszcze bardziej Donaldem Trumpem, stopniową moralną i polityczną rehabilitację putinowskiej Rosji. Nawet prezydent Nawrocki zadeklarował już, że „dla dobra Polski" mógłby zasiąść obok Putina w tzw. Radzie Pokoju Donalda Trumpa.

Polityczna i ideowa lojalność wobec prezydenta USA, bliska serwilizmowi, dodatkowo wzmocniła postawy antyunijne, jawnie polexitowe. Wyjście z Unii – a w najlepszym przypadku cyniczna obstrukcja w stylu Orbána – jest dziś wspólnym poglądem całej prawicy. Trudno o lepszą ilustrację niż ostatnia Rada Bezpieczeństwa Narodowego (prezydent nie zauważył wojny w Ukrainie), a zwłaszcza – propagandowo rozstrzeliwany program SAFE, czyli gwarantowanych przez UE tanich pożyczek na modernizację polskiej armii (s. 5). To, że „niepodległościowa prawica", stojąc wobec ryzyka rosyjskiej agresji, może torpedować taki plan, do niedawna nie mieściłoby się w głowie.
Ale użyto wszelkich armat: że to projekt niemiecki, że stoi za nim lobby LGBT i unijna oligarchia (o manipulacji pojęciem elit pisze Mariusz Janicki na s. 21), że zaszkodzi naszym stosunkom z USA itd.
Nic to, że na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium (s. 8) sam Marco Rubio wezwał Europę do wzmacniania swoich sił obronnych (UE finansuje już niemal w całości pomoc dla Ukrainy). W przekazie firmowanym przez Karola Nawrockiego Unia jest niepotrzebna, słaba i taka ma pozostać.

To Grzegorz Braun i jego 10-procentowa Korona narzuca dziś narrację całej prawicy. Konfederacja Mentzena i Bosaka patrzy z niepokojem na rosnącego Brauna; Kaczyński na obie Konfederacje; Nawrocki na Kaczyńskiego i Trumpa (także w osobie jego ambasadora) i wszyscy razem w jakimś chocholim tańcu przesuwają się coraz dalej na prawo i na polityczny, mentalny wschód.

Przypomnijmy: Ukraińcy cierpią, walczą, giną za to, żeby ich kraj mógł kiedyś znaleźć się w takim miejscu jak dzisiejsza Polska, w NATO, Unii Europejskiej, na Zachodzie. Tymczasem część „polskich elit" z powodu doraźnej polityki znowu niebezpiecznie igra z historią, prowokując los. Tuż obok toczy się bardzo nasza wojna.

Mija właśnie pierwsza rocznica śmierci Mariana Turskiego. Więc dobrze przypomnieć sobie jego przykazanie: „nie bądźmy obojętni"; nie odwracajmy oczu od Ukrainy.

eprasa.pl f6af64afad

Nawet nie potrafią się rozpaść

Polityczny teatr absurdu o lekkim zabarwieniu humorystycznym pod nazwą Polska 2050 serwuje publiczności kolejne spektakle w takim tempie, że trudno połapać się w zawiłościach fabularnych kolejnych intryg. Po zakończeniu sagi z wyborami na szefową partii rozpoczęła się kolejna, tym razem pod kryptonimem „Rozłam". Spróbujmy mimo wszystko zrekonstruować obecny stan rzeczy.

Jak wiemy, **Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz** wygrała ostatecznie bój o przewodniczenie Polsce 2050, zdobywając tym samym zasoby potrzebne przy negocjowaniu list wyborczych w wyborach parlamentarnych: władzę nad szyldem oraz partyjnymi pieniędzmi. Pełczyńska, która sama nie jest posłanką, nie ma jednak kontroli nad klubem parlamentarnym, gdzie większość stanowią jej przeciwnicy. Szefem klubu jest jej stronnik **Paweł Śliz**, który już dawno zostałby odwołany, gdyby nie proceduralne sztuczki. Jedną z nich jest przyjęta w weekend przez Radę Krajową minimalną większością „uchwała pokojowa" (sic!), która mrozi wszelkie zmiany personalne do 21 marca, kiedy zaplanowany jest zjazd krajowy partii. To wywołało wściekłość partyjnej opozycji, a w mediach posypały się deklaracje o końcu „Polski 2050, jaką znaliśmy", wypowiadane m.in. przez Paulinę Hennig-Kloskę czy Aleksandrę Leo.

Rozłam jest więc faktem, choć na razie (stan na 16 lutego) formalnie z partii odeszła tylko posłanka Żaneta Cwalina-Śliwowska. Główne pytanie dotyczy tego, czy Pełczyńskiej-Nałęcz uda się utrzymać przy sobie dostateczną liczbę posłów, by zachować klub parlamentarny. Dziś reprezentacja sejmowa Polski 2050 liczy 31 posłów i posłanek, w związku z tym buntowników nie mogłoby być więcej niż 16. Jeśli Pełczyńska straci klub, gwałtownie skurczy się jej pozycja w rządzie i już ostatecznie będzie mogła zapomnieć o stanowisku wicepremierki. A to z kolei, zgodnie z logiką domina, może spowodować wstrząsy w koalicji.

Jest w tym coś rozbrajająco zabawnego, że tak jak założona przez Szymona Hołownię formacja nie potrafiła wybrać nowej liderki, tak samo nie potrafi się nawet sensownie podzielić. Zamiast zrobić to szybko po linii ideowej, brnie w ciągnące się w nieskończoność personalne zapasy. Wszystko to przypomina perypetie prawicowego Konwentu Świętej – nomen omen – Katarzyny, które pamiętamy z lat 90. I zapewne tak samo się skończy: kompromitacją dla wszystkich stron sporu.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Atak na obronę

Trwa dawno niewidziany spektakl politycznej zajadłości, pogardy dla faktów i dezinformacji. Jego kulminacja wciąż przed nami, bo prezydent Nawrocki nie zakomunikował jeszcze, czy podpisze, czy zawetuje, czy też wyśle do Trybunału Konstytucyjnego ustawę o funduszu umożliwiającym Polsce skorzystanie z pożyczek zaciągniętych przez Komisję Europejską na zbrojenia. Mechanizm SAFE był głównym tematem ostatniej **Rady Bezpieczeństwa Narodowego**, ale politycy prawicy nadal mają wątpliwości. Nie rozwiały ich wielogodzinne sesje sejmowych komisji, gdzie demagogia mieszała się z czepialstwem. Rząd został ewidentnie zaskoczony skalą i koordynacją tego ataku. Przekonany o własnym sukcesie najwyraźniej nie przewidział wciągnięcia tej strategicznej kwestii w ideologiczną walkę. Popełnił też błąd, nie przedstawiając w uzasadnieniu ustawy szacunku kosztów i nieprecyzyjnie formułując część przepisów. To jednak da się naprawić. Trudniej będzie zatrzymać wzbierającą falę hejtu, łączącą niechęć do rządu, UE i Niemiec, z sekciarskim uwielbieniem „najlepszego uzbrojenia" z USA i Korei Płd., którego z SAFE kupić się nie da.

MON zapewnia, że zgodnie ze wskazaniami wojskowych pożyczki z Brukseli przeznaczy w większości na produkty z polskich fabryk, w tym tych z zagranicznym kapitałem, oraz długo odkładane zakupy z Europy, np. samolotów tankujących. Flagowymi zadaniami będą kolejne transze znanych wyrobów PGZ, jak wozy bojowe Borsuk, armatohaubice Krab czy system antydronowy San.

Nad planem, który miał dać wsparcie przemysłowi, wojsku i finansom publicznym, gromadzą się czarne chmury. Stawką jest ponad 180 mld zł, z czego 50 mld ma iść na zakupy, na które do tej pory nie było pieniędzy, a pozostałe 130 mld – na zastąpienie wcześniejszych wydatków tańszym kredytem, z 10-letnią karencją. Ale w grze jest też powaga Polski, która w czasie swojej prezydencji zażarcie walczyła o SAFE i wiele bitew wygrała.

Hipokryzja polityków PiS ma kilka warstw. To ich rządy uruchomiły obronne zadłużenie, którego koszty krytykowała NIK, i to za ich czasów raptownie spadła przejrzystość zakupów. Zarzucana teraz rządowi Tuska „tajnoza" wówczas była: konieczną ochroną tajemnic wojskowych. Zresztą czołowi hejterzy instrumentu SAFE bardzo go chwalili raptem kilka miesięcy temu i wytykali rządowi opieszałość w jego wdrażaniu. Teraz są „mądrzy inaczej", pod dość czytelnym naciskiem z zewnątrz. Jeśli w kraju realizującym jeden z najbardziej ambitnych planów wzmocnienia wojskowego nastanie kres politycznej jedności w sprawach bezpieczeństwa i obronności, będzie to zwycięstwo wyłącznie naszych wrogów.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl f6af64afad

Współlokator plus

Po dwóch latach konsultacji do sejmowej komisji trafił projekt ustawy o statusie osoby najbliższej. A właściwie jego siódma wersja wynegocjowana przez ministrę Katarzynę Kotulę i posłankę **Urszulę Pasławską**. Pierwsze czytanie poszło gładko. Tylko dwóch posłów PSL głosowało razem z PiS i Konfederacją za odrzuceniem ustawy, jeden wstrzymał się od głosu. Debata sejmowa przyjęła tradycyjny kierunek: posłowie PiS obrażali i straszyli końcem Polski, Konfederaci mieszali pary jednopłciowe z błotem, a zwolennicy ustawy mówili o trudnych życiowych sytuacjach, w których potrzebna jest ochrona prawna.

„Współlokator plus" – taki z kolei przydomek projekt otrzymał w środowisku osób LGBT+, w którym entuzjazmu dla przedstawionych pomysłów nie ma. Obecny kształt ustawy tłumaczono koniecznością pójścia na ustępstwa z powodu PSL (bez jego głosów ustawa nie przejdzie) oraz konserwatywnego prezydenta (zwiększenie szans na podpis). Ustawa nie wprowadza w Polsce równości małżeńskiej ani związków partnerskich, nie pozwala na przyjęcie wspólnego nazwiska, nie zmienia stanu cywilnego i nie dopuszcza ceremonii w urzędzie stanu cywilnego. Wprowadza za to specjalny pakiet umów notarialnych, którymi pary mogą ustanowić wspólnotę majątkową, załatwić zwolnienie z podatku od spadków i darowizn, otrzymać prawo do pochówku zmarłego partnera czy zapewnić dostęp do informacji medycznej w szpitalu.

To wciąż może być za dużo dla Karola Nawrockiego, który uważa, że ustawa wprowadza „quasimałżeństwa". Szef kancelarii Paweł Szefernaker już zapowiedział, że aby prezydent ją podpisał, musiałyby zniknąć zapisy mówiące o wspólnocie majątkowej i wspólnym rozliczaniu się z podatków. Skutki „rodzinno-majątkowe" mają dotyczyć tylko małżeństw. Czy taki będzie też kierunek prac nad ustawą w specjalnej komisji, którą pokieruje posłanka Pasławska z PSL? Ludowcy są ponoć otwarci na rozmowy o dalszych zmianach, np. o wykreśleniu możliwości wspólnego rozliczania. O dalszym okrajaniu projektów nie chce jednak słyszeć Lewica.

Tymczasem trzy tygodnie temu minął termin na opiniowanie rozporządzenia, które ma odblokować transkrypcję małżeństw jednopłciowych (w grudniu wypowiedział się w tej sprawie TSUE). Tu blokującym nie jest prezydent, ale szef MSWiA Marcin Kierwiński. Opinii nie ma, nie wiadomo, czy i kiedy będzie. Czyli po staremu. (AGSZCZ)

Rachunek za Ziobrę

W cieniu wniosku prokuratury o wydanie Europejskiego Nakazu Aresztowania wobec Zbigniewa Ziobry toczą się sprawy niemniej ciekawe. I ściśle połączone z Ziobrą i jego ludźmi. 9 lutego prokurator generalny Waldemar Żurek przekazał marszałkowi Sejmu wniosek o wyrażenie zgody na pociągnięcie posła Michała Wosia do odpowiedzialności karnej. Podstawą było to, co działo się w podległym mu Inspektoracie Wewnętrznym Służby Więziennej, który nomen omen został powołany do ścigania nieprawidłowości w Centralnym Zarządzie Służby Więziennej. A który, jak się okazało, sam wygenerował długą listę zarzutów. Większość dotyczy nieuprawnionych, a czasem wręcz rażąco niezgodnych z przepisami awansów. I to od samej góry poczynając.

Zbyszko N., powołany na szefa IWSW, nie tylko nie przeszedł nawet służby przygotowawczej w więziennictwie, ale na dzień dobry został jej szefem, a następnie skierowano wniosek do prezydenta o mianowanie go na stopień generalski. Zbyszko N. z więziennictwem nie był wcześniej kojarzony. Kojarzono go za to z bratem Ziobry, z którym współpracował. Teraz prokuratura kojarzy go jeszcze z nieuprawnionym korzystaniem z kwatery służbowej. Dokładną listę zarzutów można znaleźć na stronie Prokuratury Krajowej. Jednak nie ma tam wielu wątków, które znaleźć się powinny. Np. tego, że aby powołać IWSW, w więziennictwie trzeba było zlikwidować aż cztery struktury okręgowe i połączyć ze sobą kilka więzień, żeby w ten sposób wygenerować wysokie i dobrze płatne etaty. Obecnie trwa proces odkręcania tych decyzji, a koszty zmian są właściwie niepoliczalne – jednostką miary powinny być miliony zł. Kolejne miliony poszły na zagwarantowanie służbie pomieszczeń. W tym celu opróżniono, a następnie przebudowano całe IV piętro w CZSW.

Ponad 100 etatów udało się szybko zapełnić, bo w IWSW nie tylko szybko się awansowało – czasem nawet o trzy oczka w jeden dzień – ale również świetnie się zarabiało. Z pracą było tak sobie. Trzymając się oficjalnego komunikatu: „W 2023 r. funkcjonariusze IWSW uczestniczyli w zatrzymaniu 9 osób, wykonali 257 czynności administracyjno-porządkowych w jednostkach SW oraz 10 razy udzielili wsparcia innym organom". Przy czym osoba znająca szczegóły tych zatrzymań zauważa: – *Policja rozrabiała jakieś sprawy, a oni się pod nie podłączali. I to mniej więcej tyle, jeśli chodzi o ich osiągnięcia.*

Koszty funkcjonowania IWSW obliczono na ponad 23 mln zł. Po zmianie władzy Inspektorat właściwie uległ autodestrukcji. – *Wiedzieli, że nie mają przyszłości. Ale po tym jak nowy szef więziennictwa zrównał im pensje z resztą funkcjonariuszy, Inspektorat właściwie sam się rozwiązał, bo kto mógł, uciekł na emeryturę albo inne świadczenie* – słyszymy. W służbie zostało 9 funkcjonariuszy i dwóch pracowników cywilnych. Ustawa o zniesieniu IWSW podpisana przez prezydenta Dudę 18 czerwca ub.r. była już właściwie formalnością. (JULL)

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM, GERARD/REPORTER

eprasa.pl f6af64afad

Front kohabitacyjny

Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii

Dobra wiadomość jest taka: Rada Bezpieczeństwa Narodowego przetrwała jako forum dyskusji najważniejszych osób w państwie na temat priorytetów polityki obronnej i zagranicznej. Prezydent Nawrocki nie zdołał jej przekształcić w rodzaj komisji lustracyjnej mającej oceniać, czy marszałek Sejmu może dalej pełnić swoją funkcję. Stało się tak nie tylko dlatego, że Donald Tusk demonstracyjnie opuścił posiedzenie RBN, gdy rozpoczął się punkt obrad dotyczący Włodzimierza Czarzastego, ale także dzięki temu, że pozostali na sali przedstawiciele koalicji rządowej nie dali się wciągnąć w prezydencką pułapkę. Nie znaczy to jednak, że Nawrocki przegrał tę potyczkę. Przede wszystkim dlatego, że wyciągnął wnioski z ubiegłorocznej Rady Gabinetowej i nie dopuścił już do tego, by w jawnej części obrad, transmitowanej przez telewizje, głos zabrał ktokolwiek poza nim. Zapobiegł w ten sposób upublicznieniu bardzo prawdopodobnej riposty premiera, który wciąż zachowuje nad głową państwa retoryczną przewagę. Na tym przykładzie widać jednak bardzo dobrze, jak prezydent i jego otoczenie szybko uczą się medialnej szermierki.

Zła wiadomość jest taka, że choć po posiedzeniu RBN prezydenccy ministrowie nie zapowiedzieli zawetowania ustawy o wykorzystaniu unijnego programu SAFE, to zarazem szanse na jej podpisanie po piątkowych głosowaniach w Sejmie wydają się raczej niewielkie. Ustawa została wprawdzie uchwalona, ale przy sprzeciwie 199 posłów PiS i Konfederacji. Oznacza to, że gdyby Nawrocki ją podpisał, po raz pierwszy poróżniłby się tak wyraźnie z całą polską prawicą, za której lidera chce uchodzić. W imię czego miałby to uczynić?

Nie sądzę, by premier Tusk i inni politycy koalicji rządowej przypuszczali, że Nawrocki ugnie się pod presją oskarżeń o działanie na szkodę polskiej obronności czy mniej emocjonalnymi argumentami, że tańszego kredytu Polska nie zdoła samodzielnie uzyskać. Gdyby tak było, to oznaczałoby, że wciąż nie rozumieją, iż Nawrocki różni się zasadniczo od swojego poprzednika m.in. wyjątkową odpornością na medialne ataki. Prezydent należy do tego gatunku polityków – skądinąd w ostatnich latach coraz popularniejszego zarówno w kraju, jak i za granicą – do których przemawiają jedynie argumenty osobistego interesu lub nagiej siły. Pozostaje pytanie, czy premier Tusk zdoła użyć któregokolwiek z nich, aby nakłonić Nawrockiego do złożenia podpisu pod ustawą wprowadzającą SAFE. Pole do manewru pozostaje w czasie prac nad ustawą w Senacie, gdzie można szukać wyklętego przez obie strony kompromisu.

Pieniądze z tego programu przydałyby się nie tylko armii, ale także policji, Straży Granicznej i służbom specjalnym. To one, jeśli trwająca wojna hybrydowa z Rosją ulegnie nasileniu, będą miały znacznie więcej roboty niż wojsko. Na miejscu ministra finansów zacząłbym się jednak już teraz rozglądać za alternatywnymi źródłami finansowania modernizacji tych struktur, a w przypadku pozostałych członków rządu – za szukaniem innych niż ustawowe metod rozwiązywania problemów państwa. W pierwszym półroczu swojego urzędowania Nawrocki zawetował wprawdzie tylko co siódmą ustawę, ale zdziwiłbym się bardzo, gdyby w kolejnym ten odsetek nie uległ zwiększeniu.

Amerykanów kochamy coraz mniej

Z pierwszego na piąte miejsce spadli w ciągu ostatnich trzech lat Amerykanie w corocznym badaniu, w którym CBOS sprawdza sympatię Polaków do innych narodów. W 2023 r. obywatele USA wywoływali pozytywne emocje u 68 proc. Polaków, obecnie – jedynie u 47 proc. Wyprzedzają ich Włosi, Czesi, Słowacy i Anglicy. Ta zmiana to z pewnością efekt działania Donalda Trumpa. Sam prezydent USA wypada zresztą w badaniu CBOS znacznie gorzej od ogółu Amerykanów. Jego działalność negatywnie ocenia 60 proc. badanych, tak samo liczna grupa wiąże z jego prezydenturą obawy, 41 proc. uważa, że przyczynia się ona do spadku bezpieczeństwa Polski.

Przychylniej oceniają go wyborcy prawicy. Prezydenturę Trumpa chwali dwie trzecie wyborców PiS i Korony Polskiej, a także 55 proc. wyborców Konfederacji. Ponad połowa głosujących na PiS jest też zdania, że przyczynia się ona do zwiększenia bezpieczeństwa Polski. Krytycznie do działalności Trumpa odnosi się z kolei 97 proc. wyborców KO i Razem oraz cztery piąte głosujących na Lewicę. Znacząca większość wyborców tych trzech formacji uważa też, że prezydentura Trumpa przyczynia się do osłabienia bezpieczeństwa Polski.

Drastycznie spadły też oceny stosunków polsko-amerykańskich. Jeszcze wiosną 2023 r. 80 proc. Polaków uważało je za dobre, a w badaniu przeprowadzonym dwa lata później odsetek ten spadł do 31 proc. Wynik z 2023 r. był rekordowy, bo badanie przeprowadzono niedługo po wizycie ówczesnego prezydenta USA Joe Bidena w Kijowie, a następnie w Warszawie, w rocznicę wybuchu wojny w Ukrainie. Prezydent USA mówił wtedy, że wojna w Ukrainie symbolizuje walkę autokracji z demokracją oraz przywołał art. 5 traktatu północnoatlantyckiego jako fundament wspólnej obrony. Deklaracje te mocno kontrastują z tym, jaki stosunek do Rosji, Ukrainy i NATO prezentuje obecny przywódca USA.

Rosnącą niechęć do Trumpa wykorzystuje Lewica, stosując ostrą retorykę w ocenie amerykańskiego prezydenta i wdając się w spór z ambasadorem USA w Polsce Thomasem Rose'em. Donald Tusk i KO, z konieczności dbania o relacje z sojusznikiem, są znacznie bardziej powściągliwi. W największym kłopocie jest PiS, dla którego dobre relacje z Trumpem zawsze były atutem – teraz Nowogrodzka musi lawirować, by nie urazić swojego, podzielonego w ocenach, elektoratu. (J.SAW)

eprasa.pl f6af64afad

Zatruty owoc Rubio

Na zakończonej właśnie Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa (najważniejsze forum USA-Europa) najgłośniej wybrzmiało fałszywe westchnienie ulgi.

Wystąpienie amerykańskiego sekretarza stanu **Marco Rubio** zgromadzeni przyjęli owacją na stojąco. Jego słowa o tym, że Ameryka jest i pozostanie „dzieckiem Europy", z którą łączy ją wspólna przeszłość i cywilizacja, były jak balsam na pokiereszowany ostatnimi ciosami – wojną handlową, zakusami Donalda Trumpa na Grenlandię czy słownymi atakami na europejskich sojuszników – korpus relacji transatlantyckich.

Rubio spełnił swoje zadanie, aby wysłać pojednawczy sygnał do Europy. Zwłaszcza że rok temu wiceprezydent J.D. Vance wstrząsnął zgromadzoną w Monachium elitą europejską atakiem wymierzonym wprost w reprezentowane przez nią liberalne wartości. Jeśli jednak sobotnia przemowa Rubio miałaby zostać potraktowana przez Europejczyków jako pierwszy krok do odbudowy jedności Zachodu, byłoby to fatalne nieporozumienie.

O tym, że Europa musi – i to szybko – przejąć główny ciężar odpowiedzialności za własne bezpieczeństwo, mówił w Monachium nie tylko Rubio. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz potwierdził plany budowy najsilniejszej armii na kontynencie. Wsparła go szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, która zaapelowała o skonkretyzowanie unijnego odpowiednika art. 5 traktatu północnoatlantyckiego. Z kolei prezydent Emmanuel Macron ogłosił, że prowadzi z kilkoma państwami (Wielka Brytania, Szwecja) rozmowy w sprawie budowy wspólnego systemu odstraszania nuklearnego.

Europejczykom spływa czasem zimny pot po plecach na myśl o ryzykach, jakie się za tym kryją, oraz kosztach, jakie muszą w związku z tym ponosić. Ale obie strony chyba rozumieją skalę wyzwań, szczególnie wobec zmiany amerykańskich priorytetów. Teraz pytaniem nie jest już, czy ten trend można by odwrócić, lecz czy proces redukcji wojskowej i politycznej obecności Stanów Zjednoczonych w Europie odbywać się będzie w sposób uporządkowany i w przyjaznej atmosferze. Czy raczej będzie to ciężki rozwód.

Ton wypowiedzi Rubio w Monachium mógłby sugerować tę pierwszą opcję, ale ich zawartość merytoryczna świadczy o tym drugim wariancie. Wartości, jakie miałyby według Amerykanina łączyć obie strony Atlantyku, to zaprzeczenie tego, co definiowało Zachód, czyli uniwersalizmu praw człowieka, równości, szacunku dla instytucji wielostronnych i prawa międzynarodowego. Porządek międzynarodowy oparty na tych zasadach Rubio wprost nazwał „szalonym pomysłem". Mówił o wspólnocie kultury i cywilizacji białego człowieka: to „wieki historii, wiara chrześcijańska, kultura, dziedzictwo, język, pochodzenie oraz ofiary, jakie nasi przodkowie składali wspólnie na rzecz cywilizacji, którą odziedziczyliśmy". Cywilizacji, której zgodnie z ideologią MAGA i oficjalnymi dokumentami administracji Trumpa grozi dziś w Europie „wymazanie".

A wszystko to za sprawą błędów, do których Rubio nie omieszkał nawiązać: otwartych granic, masowej migracji, podporządkowania się iluzji porządku globalnego, abdykacji idei suwerenności narodowej. To było clou przemówienia Rubio: USA są gotowe do bliskiej współpracy z Europą, ale pod warunkiem, że będzie ona chciała realizować projekt „naprawy" tych błędów. Innymi słowy, jeśli wpisze się ze swoimi celami politycznymi w agendę MAGA. Jeśli nie, Ameryka jest gotowa „działać sama".

Oświadczenie von der Leyen, że „czuje się podbudowana" słowami Rubio, można więc uznać za zaklinanie rzeczywistości. W istocie bowiem oferta przychodząca od administracji Trumpa wymaga głębokiej zmiany w Europie, która przez liberalne i demokratyczne elity słusznie postrzegana jest jako śmiertelne zagrożenie dla jej porządku politycznego. Partnerami do sojuszu z Europą, jaki marzy się Rubio i Vance'owi, nie są Merz, Macron i Tusk, lecz Weidel, Le Pen i Nawrocki.

To fundamentalny konflikt, którego żadne zapewnienia o wspólnocie cywilizacyjnej Ameryki i Europy nie są w stanie przysłonić. To, że w czasie wizyty w Europie Rubio postanowił odwiedzić walczącego o polityczne przetrwanie Viktora Orbána, największego dziś kontestatora jedności europejskiej, jest bardziej czytelnym sygnałem niż jego walentynkowe wywody o miłości do Europy. Jeśli dla Europejczyków Unia jest warunkiem przetrwania w nowym, brutalnym świecie, to ekipa Trumpa usilnie wspiera tych, którzy chcą ją rozbić.

Drugi kluczowy powód, dla którego wystąpienie Rubio było zatrutym owocem podsuniętym Europejczykom, dotyczy wojny w Ukrainie. Największy konflikt zbrojny w Europie od czasów drugiej wojny światowej, zagrażający bezpieczeństwu Unii, nie doczekał się żadnej wzmianki. Odezwał się natomiast prezydent Wołodymyr Zełenski, który ostrzegł, że obecna pomoc Zachodu jest niewystarczająca. Zasugerował także, że gotów jest na wybory parlamentarne, ale potrzebuje do tego kilkanaście dni rozejmu.

W przemówieniu otwierającym konferencję monachijską kanclerz Merz powiedział, że „pomiędzy USA i Europą pojawił się głęboki podział". Szum oklasków po wystąpieniu Rubio nie powinien zagłuszyć tych słów. Rok po szoku wywołanym antyeuropejską tyradą J.D. Vance'a wiemy, że nie była ona wypadkiem przy pracy, lecz elementem szeroko zakrojonego programu. Zamykanie na to oczu byłoby nieodpowiedzialnością.

PIOTR BURAS

eprasa.pl f6af64afad

Limit Szwajcarów?

W Szwajcarii odbędzie się referendum w sprawie inicjatywy ludowej, aby zapisać w konstytucji, że liczba mieszkańców kraju nie może przekroczyć 10 mln. W najnowszych sondażach 48 proc. Szwajcarów gotowych byłoby poprzeć takie rozwiązanie. Z pomysłem wystąpiła skrajnie prawicowa nacjonalistyczna Szwajcarska Partia Ludowa (SVP), od 1999 r. największa siła w parlamencie, która buduje popularność na rozmaitych antyemigranckich inicjatywach. W praktyce miałoby to wyglądać tak, że gdyby Szwajcaria, licząca dziś 9,1 mln mieszkańców, z których 27 proc. to osoby tylko z prawem pobytu, przekroczyła przed 2050 r. próg 9,5 mln, zostaną automatycznie wprowadzone restrykcje, znacznie ograniczone będzie prawo do azylu i łączenie rodzin. A przy progu 10 mln zawieszone zostanie m.in. porozumienie z Unią Europejską o swobodnym przepływie osób.

O emocje związane z modelem imigracji nietrudno, bo od 2000 r. liczba mieszkańców, głównie napływowych, wzrosła tu o 25 proc. i Szwajcaria należy do najszybciej rosnących liczebnie społeczeństw w Europie. Stała się ofiarą własnego sukcesu: stabilności, wysokich płac i poziomu życia, atrakcyjnych podatków. Ma tu siedziby wiele międzynarodowych koncernów i zamieszkało 1,7 mln obywateli Unii. Według prognoz wspomniane 9,5 mln ludności to kwestia co najwyżej 10 lat, wtedy też zacznie ubywać rdzennych Szwajcarów. Taka perspektywa budzi wiele obaw, dotyczących przeludnienia, infrastruktury, galopujących cen nieruchomości oraz rozmycia tożsamości narodowej. SVP dobrze wie, w jaką gra grę. Ale też na ten rozkwit, co tu kryć, składają się w dużym stopniu cudzoziemcy, podtrzymują wiele branż, o korporacyjnej już nie wspominając. A Unia to najważniejszy partner handlowy i wolny przepływ jest tu istotą sprawy.

To referendum, obligujące rząd i parlament, jak cała instytucja inicjatywy ludowej (wymagane jest zgromadzenie 100 tys. podpisów) należy do kształtowanego od ponad stu lat unikatowego systemu szwajcarskiej demokracji bezpośredniej. Ludowcy twórczo go wykorzystują, aranżując referenda-happeningi, np. w sprawie obowiązkowej deportacji cudzoziemców nawet za drobne przewinienie czy zakazu wznoszenia minaretów w ramach ochrony ładu przestrzennego. Rzadko odnoszą zwycięstwo, ale liczy się szum. Tematyka referendów, urządzanych z różnych inicjatyw, jest rozbudowana. Przed czerwcowym głosowaniem w sprawie 10 mln w marcu Szwajcarzy wypowiedzą się w kwestii obniżenia opłaty audiowizualnej, zapisania w konstytucji prawa do gotówki, nowego funduszu klimatycznego i zniesienia obowiązku wspólnych rozliczeń podatkowych obu małżonków (co bywa niekorzystne). W listopadzie odrzucili projekt 50 proc. podatku od spadków dla najbogatszych, elektroniczny dowód osobisty i wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej także dla kobiet.

Nowa era, stara gwardia

177 mln mieszkańców Bangladeszu wkracza w nową polityczną erę. W kraju udało się przeprowadzić – to zasługa tymczasowego premiera, ekonomisty i laureata Pokojowej Nagrody Nobla Muhammada Yunusa – pierwsze od prawie dwóch dekad w miarę wolne i konkurencyjne wybory. Dwie trzecie miejsc w parlamencie zdobyli centroprawicowcy z Nacjonalistycznej Partii Bangladeszu (BNP). Co oznacza, że mają wystarczającą większość, by nieskrępowanie zainicjować realizację obietnic o przywróceniu stabilności i demokracji, wyplenieniu korupcji, wyhamowaniu cen żywności, pobudzeniu gospodarki i stworzeniu miejsc pracy dla rzeszy bezrobotnych.

Na reformy czekają zwłaszcza najmłodsi obywatele. W tym uczestnicy „powstania lipcowego" z 2024 r. Wielkie protesty i krwawe starcia z policją, w których zginęło prawdopodobnie 1,4 tys. osób, obaliły wieloletnią premierkę Szejkę Hasinę, obecnie chroniącą się w Indiach. Między protestujących i siły reżimu wkroczyło wojsko, które w rzadkim geście odpowiedzialności złożyło władzę w ręce Yunusa, niewątpliwego autorytetu. W skład jego rządu weszli m.in. politycy i przedstawiciele powstańców. Nowicjusze nie zdołali jednak przełożyć ulicznej energii na liczbę mandatów, zdobyli ich tylko kilka. Zgodnie z tradycją: przez pół wieku niepodległości rządziły przede wszystkim dwie partie – BNP lub ugrupowanie Hasiny, ale to ostatnie zostało wykluczone z tych wyborów.

W rezultacie do zmian zainicjowanych przez młodych prowadzić ma przedstawiciel najbardziej wpływowego klanu w kraju. Premierem będzie 60-letni **Tarik Rahman**, który tuż przed wyborami wrócił z dobrowolnej emigracji w Londynie. Jego matka była dwukrotną premierką. Tata też był premierem, założycielem partii i jeszcze jednym z ojców banglijskiej niepodległości. Nic dziwnego, że za Rahmanem ciągną się oskarżenia o „bezczelny nepotyzm". Wątpliwość budzi też brak doświadczenia. Owszem, zajmował wysokie stanowiska w partii, ale pierwszy raz zasiada w parlamencie. Z drugiej strony nie miał okazji się skompromitować i temu zawdzięcza społeczne zaufanie.

Banglijski protest był jednym z frontów rewolucji pokolenia Z. Urodzonego na przełomie tysiącleci, wychowanego w czasach internetu i przekonanego – z racji nierówności i blokad awansu społecznego czy zawodowego – że niewiele dostało od świata. Wzburzenie młodych wstrząsnęło szeregiem krajów na kilku kontynentach (od Madagaskaru po Chile i Nepal), ale z reguły nie dało im rzeczywistego wpływu na bieg spraw publicznych. Także w Bangladeszu.

© HALIL SAGIRKAYA/ABACA/PAP, MATERIAŁY PRASOWE, KAZI SALAHUDDIN RAZU/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl f6af64afad

Kijów nie wierzy łzom

Warkot generatorów organizuje życie Kijowa pogrążonego w ciemności i chłodzie. Nie zamarzł, żyje i pracuje jak cały kraj. Wkracza w piąty rok wielkiej wojny z zadziwiającym hartem ducha i optymizmem.

eprasa.pl f6af64afad

EDWIN BENDYK Z KIJOWA

Temperatura spada do minus 16 stopni, ulicę spowija ciemność. Wał Jarosława, jedna z głównych arterii historycznego centrum Kijowa prowadząca do Złotej Bramy, tętni jednak życiem. Towarzyszy mu szum generatorów dostarczających energię do sklepów i licznych w tej części miasta restauracji. Ludzi nie brakuje, przychodzą się zagrzać, spotkać i pokazać.

W innym miejscu, w pobliżu Majdanu Niepodległości i kwartału rządowego, grupki ludzi śpiesznie przemykają oblodzonym chodnikiem ul. Gorodeckiego w kierunku Teatru Narodowego im. Iwana Franko. Wystawiają „Rodzinę Kajdaszewów", klasykę na podstawie Iwana Nieczuja-Lewickiego. Bilety na spektakle wyprzedają się w kilka minut. Po godzinie słychać sygnał alarmu powietrznego. Sztuka zostaje przerwana, publiczność wie, co robić, wszyscy spokojnie zbierają się – najbliższy schron to stacja metro Chreszczatyk. Teatr zaprasza na kontynuację przedstawienia po odwołaniu alarmu.

W ciągłym alercie

Alarmy powietrzne, nie tylko w Kijowie, są codziennością. Zapowiadają kolejne bombardowanie i naloty dronów – odgłosy obrony przeciwlotniczej i wybuchów często rozlegają się długo w noc. Zimą Rosjanie celują głównie w obiekty infrastruktury krytycznej: elektrownie, stacje transformatorowe, ciepłownie. Przy okazji, celowo lub przez przypadek, trafiają w budynki mieszkalne. Ofiar cywilnych więc przybywa.

Rosjanie koncentrują się na tym, by wykorzystać największego sojusznika – mróz. Po zmasowanych atakach na początku stycznia – jak informuje mer Witalij Kłyczko – w Kijowie ciepła zostało pozbawionych 6 tys. bloków mieszkalnych, blisko połowa miejskiej substancji. Bombardowanie w nocy z 11 na 12 lutego wyłączyło 2,6 tys. budynków. Oblicza się, że ogrzewania nie ma na stałe do 20 proc. mieszkańców. Część z nich na poprawę sytuacji musi poczekać do wiosny, więc opuszczają niezdatne do życia budynki i przenoszą się, dokąd kto może. Na przykład na letnie dacze zaopatrzone w niezależne źródła ciepła.

Z podobną zaciekłością Rosjanie atakują Charków, Krzywy Róg, Dnipro, Odessę. Ukraina znalazła się na krawędzi katastrofy humanitarnej. A jednak kraj nie zamarzł ani też nowe miliony uchodźców nie ruszyły w kierunku granicy. Trwają dyskusje, na ile ta odporność jest wynikiem przygotowań przez zaradnych merów miast, na ile determinacji i kompetencji energetyków dokonujących cudów, w tym zaradności i samoorganizacji mieszkańców, ile w końcu pomocy z zagranicy?

Zaradność, nieudolność, korupcja

Ukraińcy nie są łatwym dla władzy społeczeństwem, potrafią chwalić, ale jeszcze bardziej lubią krytykować. Na pytanie, kto jest winny niedostatecznego przygotowania systemu energetycznego do obecnej zimy, na pierwszym miejscu wskazywany jest przez 31,8 proc. ankietowanych prezydent Zełenski i jego ekipa. Lokalne władze są winne zdaniem 7 proc. (tylko mer Kijowa bardziej podpadł i zyskał 12 proc. negatywnych wskazań).

Interpretacja tych wyników wymaga znajomości ukraińskiej polityki i wydarzeń ostatnich miesięcy. Próba przerzucania odpowiedzialności za różne niepowodzenia na władze lokalne to stały fragment gry (podobnie zresztą jak w Polsce). Ulubionym celem ataków ze strony zarówno otoczenia prezydenta, jak i rządu jest mer Kijowa. Witalij Kłyczko ze swoją rozpoznawalnością oraz politycznymi ambicjami jest traktowany jako konkurent, który może namieszać w polityce krajowej.

Ukraińcy, a zwłaszcza Kijowianie, znają słabości swojego mera i nie szczędzą mu krytyki. W 2025 r. stracił dwóch zastępców oskarżonych o korupcję. Pamiętają jednak, że największa afera korupcyjna czasów wojny, tzw. Mindiczgate, która wybuchła w listopadzie, dotyczyła łapówek w sektorze energetycznym. Resort energetyki nie dość, że okazał się łapówkogenny, to jeszcze niekompetentny. W efekcie wiele projektów pomocowych z zagranicy zostało wstrzymanych, co miało wpływ na przygotowanie do zimy.

Polityczne i wizerunkowe straty próbuje nadrabiać nowy minister energetyki, były premier oraz minister obrony narodowej. Denys Szmyhal jest dobrym fachowcem, ale musi przekonać o tym swoich rodaków. Wołodymyr Fesenko, popularny ukraiński komentator polityczny, nie sądzi jednak, by akurat zima i kryzys energetyczny miały istotny wpływ na ocenę polityków, zwłaszcza Wołodymyra Zełenskiego.

Dotkliwy i wręcz tragiczny w skutkach kryzys dotyczy mieszkańców największych miast, zwłaszcza Kijowa. Ukraina jednak nie ogranicza się do stolicy ani kilku dużych ośrodków. I dlatego w ocenie społecznej problemy z energetyką to dopiero czwarte z najważniejszych wyzwań, wskazywane przez 24 proc. ankietowanych. Pierwsze miejsce zajmuje sytuacja na froncie – 40 proc., potem bombardowania i wynikające z nich zagrożenie dla życia, zdrowia i majątku – 34 proc., trzecie miejsce zajmuje korupcja, wskazywana przez 29 proc.

O ocenie prezydenta decyduje przede wszystkim sposób, w jaki prowadzi negocjacje pokojowe, bo to on osobiście jest ich twarzą. I trzeba przyznać, że Donald Trump zrobił wiele, by Zełenskiemu pomóc. Pamiętne spotkanie sprzed roku w Białym Domu, kiedy Trump z J.D. Vance'em próbowali sponiewierać gościa z Kijowa, znowu uruchomiło w Ukrainie efekt zjednoczenia wokół flagi. Notowania Zełenskiego poprawiły się, szybując do poziomu 60 proc.

Pstra popularność

Zełenski nieźle też wybrnął z największych za swojej prezydentury wewnętrznych kryzysów politycznych. Najpierw w lipcu 2025 r., kiedy próbował zlikwidować de facto autonomię instytucji powołanych do walki z korupcją. Ukraińcy wyszli wtedy protestować na ulice, nie bacząc na ograniczenia stanu wojennego. Prezydent błyskawicznie wycofał się, przekonując, że zawsze będzie słuchał głosu ludu. W listopadzie w odpowiedzi na aferę korupcyjną, która dotknęła osoby na najwyższych szczeblach władzy, odpowiedział w sposób, który uspokoił opinię publiczną.

Najważniejszą decyzją było odsunięcie od władzy wszechmocnego, wydawało się, Andrija Jermaka, szefa Biura Prezydenta, oraz rekonstrukcja rządu.

Zełenski robił to bardzo niechętnie, nie miał jednak wyjścia. Badania barometru społecznego prowadzone przez agencję Socis pokazały na początku stycznia, że 38,9 proc. badanych jest przekonanych o bezpośrednim zaangażowaniu Zełenskiego w korupcję. Bez zdecydowanych cięć personalnych nie udałoby się ponownie odzyskać części utraconego zaufania. I znowu ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f6af64afad

▶ pomógł Donald Trump, podsuwając Ukrainie rozwiązania pokojowe suflowane przez Moskwę. Zełenski, jako bohater walczący o przyszłość Ukrainy, po raz kolejny uciekł spod lawiny.

Zmęczenie i nadzieja

Po czterech latach wojny na pełną skalę, którą poprzedziły okupacja Krymu i osiem lat walki z rosyjską agresją w Donbasie, ukraińskie społeczeństwo ma prawo czuć się zmęczone. Nie ma praktycznie nikogo, kto nie odczułby konsekwencji wojny w jej najbardziej tragicznym aspekcie: poległych lub rannych w czasie działań wojennych osób najbliższych.

Wołodymyr Zełenski poinformował na początku lutego w wywiadzie dla France 2, że zginęło 45,1 tys. żołnierzy. Do tej liczby dodać trzeba zaginionych bez wieści, liczonych w dziesiątkach tysięcy i 7 tys. jeńców wojennych – takie dane Zełenski przedstawiał z kolei podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Choć według szacunków Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych liczba poległych żołnierzy może wynosić 100–140 tys., a łączne straty osobowe, wliczając rannych i zaginionych, sięgają 600 tys.

Straty materialne też oszałamiają. Ostatnie pełne podsumowanie, przygotowane przez rząd ukraiński we współpracy z Bankiem Światowym, Komisją Europejską i ONZ, wylicza bezpośrednie straty do końca 2024 r. Osiągnęły wtedy 176 mld dol., a koszt odbudowy oszacowano aż na 524 mld dol. Ukraiński PKB to ok. 200 mld dol. Straty dotyczą twardej infrastruktury, w tym energetyki, której moce systemowe zostały praktycznie zniszczone, z wyjątkiem elektrowni atomowych.

Pokój? Tak, ale...

Ukraińcy mają więc wystarczająco wiele powodów, by chcieć pokoju. – *Tyle tylko, że nie znają pojęcia pokoju za wszelką cenę* – mówi socjolog Ołeksandr Antypowycz, szef grupy badawczej Rating. Badania Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii, przeprowadzone w ostatnim tygodniu stycznia, a więc już w czasie największych dolegliwości wynikających z kryzysu energetycznego, pokazały, że 54 proc. ankietowanych odrzuca porozumienie pokojowe, które polegałoby na zrzeczeniu się Donbasu. 27 proc. gotowych byłoby takie porozumienie zaakceptować w zamian za realne gwarancje bezpieczeństwa. Tylko 13 proc. jest w stanie zgodzić się bez większego problemu.

Ponad połowa badanych przyjmuje, że wojna jeszcze potrwa, a 65 proc. deklaruje gotowość ponoszenia jej trudów tak długo, jak będzie potrzeba. I podobnie 66 proc. badanych wierzy, że za 10 lat Ukraina będzie kwitnącym krajem Unii Europejskiej. Najwyraźniej Putin znowu osiągnął odwrotny cel, niż zamierzał – zamiast załamać Ukraińców, jeszcze bardziej ich skonsolidował i wzmógł przekonanie, że w tej wojnie mogą wygrać.

Mimo wszystko trudno zrozumieć ten nieugięty optymizm Ukraińców, gdy świat wokół zdaje się sypać w gruzy, a najważniejszy sojusznik – Stany Zjednoczone – dokonuje strategicznego odwrotu.

Wielka przemiana

Wołodymyr Paniotto, nestor ukraińskiej socjologii i współtwórca Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii, od ponad 30 lat systematycznie bada swoich rodaków. Właśnie wydał wspólnie z Antonem Hruszeckim, dyrektorem Instytutu, przekrojową publikację „Wojna i transformacja ukraińskiego społeczeństwa". – *Jednym z najważniejszych aspektów tej przemiany jest zmiana stosunku do Rosji i Rosjan* – wyjaśnia. (Rozgrzewamy się w kawiarni przy filiżance gorącej herbaty, w domu ma 5 st. C, kuchnię udało się nagrzać do 11 st.). Przypomina, że w 2009 r., w przededniu ówczesnych wyborów prezydenckich, które wyniosły do władzy Wiktora Janukowycza, aż 90 proc. deklarowało pozytywny stosunek do Rosji, a Władimira Putina dobrze oceniało 60 proc. Na taką sympatię nie mógł wówczas liczyć żaden ukraiński polityk. Wstąpienie do NATO nie wchodziło w grę, interesowało się nim zaledwie 16 proc. Ukraińców.

Wszystko zaczęło się zmieniać w 2014 r., po zajęciu przez Rosjan Krymu i późniejszym ataku na Donbas. Dopiero wtedy większość Ukraińców zaczęła deklarować chęć akcesji do NATO i Unii, z wyraźnym jednak podziałem regionalnym. Wschód i południe ciągle nie były przekonane. Reszta straciła wątpliwości po 24 lutego 2022 r. Po Buczy z kolei odzyskali pamięć strasznej Rosji, naznaczoną masakrami Baturyna w 1708 r., Kijowa w 1918 r., Wielkim Głodem i eksterminacją elity intelektualnej w latach 30. XX w. W efekcie dziś (wyniki badań ze stycznia) 28 proc. badanych jest przekonanych, że Rosja chce dokonać ludobójstwa Ukraińców, a 41 proc. nie ma wątpliwości, że celem tym jest likwidacja ukraińskiej państwowości i ukraińskiej odrębności narodowej.

Z Rosją można wygrać

Na skutek tej przemiany Ukraińcy uświadomili sobie, że walczą o przetrwanie i kapitulacja ani żadna forma zgniłego kompromisu pod hasłem „pokój za ziemię" nie jest opcją. Bo oznaczać będzie nową wojnę, gdy tylko Rosja odzyska siły. Wiedzą więc, że muszą prowadzić walkę na wyczerpanie z potencjalnie znacznie silniejszym przeciwnikiem, do tego wspomaganym przez taką potęgę jak Chiny. Nie mają jednak wątpliwości, że w wojnie mogą osiągnąć swoje cele – doprowadzić Rosjan do przekonania, że nie są w stanie tej wojny wygrać, co powinno przynieść przełom w samej Rosji.

Bo po czterech latach wojny na pełną skalę Rosjanie nie osiągnęli żadnego z celów strategicznych. Owszem, to do nich przeważnie należy inicjatywa strategiczna – rosyjskie oddziały ciągle nacierają, Ukraińcy muszą się bronić. A walka w obronie nie daje szansy na przejęcie inicjatywy, a tym bardziej zwycięstwo. Ukraińcy zdają sobie sprawę, że w bezpośredniej konfrontacji nie osiągną sukcesu, dlatego posługują się doktryną strategicznej neutralizacji.

Koncentrują swoje uderzenia w miejsca rosyjskiego systemu w taki sposób, żeby wroga najbardziej bolało. Stąd systematyczne ataki na infrastrukturę przemysłu naftowego i gazowego, precyzyjne ataki i akty dywersji w głębi terytorium Rosji wycelowane w ważne obiekty, jak lotniska lotnictwa strategicznego, fabryki podzespołów do produkcji uzbrojenia. A nowy minister obrony Mychajło Fiodorow zdefiniował może najważniejszy cel strategiczny przed armią – zwiększenie śmiercionośności tak, by miesięcznie eliminować z pola boju 50 tys. rosyjskich żołnierzy, zabitych i rannych. Wtedy Rosja nie zdoła odnawiać stanu liczebnego i stanie wobec konieczności powszechnej mobilizacji.

Jednocześnie jednak Fiodorow musi rozwiązać problemy, których dotychczas rozwiązać nie chciał Wołodymyr Zełenski, unikający trudnych tematów. 200 tys. żołnierzy opuściło swoje

eprasa.pl f6af64afad

jednostki, to jedna piąta stanu osobowego liczącej około miliona osób armii. Optymiści jednak twierdzą, że Ukraina ciągle dysponuje zasobami ludzkimi umożliwiającymi prowadzenie wojny przez jeszcze co najmniej dwa lata, bez nadmiernego obciążenia gospodarki, także borykającej się z brakiem rąk do pracy.

Ukraińscy eksperci potwierdzają, że Ukraina jest w stanie skutecznie prowadzić i wytrzymać wojnę na wyczerpanie, o ile nie zawiodą partnerzy zagraniczni. W tej chwili najważniejszą rolę odgrywa Europa, Stany Zjednoczone są jednak ciągle niezbędne jako dostawca wielu kluczowych dla Ukrainy zasobów: danych wywiadowczych, części zamiennych do dostarczonego sprzętu i amunicji. Dlatego taktyka negocjacyjna Zełenskiego i jego ekipy polega na nieustannym angażowaniu Trumpa pod przykrywką negocjacji pokojowych i wyrywaniu każdego możliwego wsparcia. Jak choćby przez odcięcie Rosjan od dostępu do Starlinka.

Kiedy koniec?

Na pytanie, kiedy zakończy się lub przynajmniej zostanie zamrożona wojna, ukraińscy eksperci odpowiadają zgodnie, że nikt nie wie. Warunkiem jakichkolwiek ustępstw ze strony Ukrainy – a maksimum to rezygnacja z odzyskiwania terytoriów okupowanych, ale bez prawnego uznania ich akcesji do Rosji – są realne gwarancje pokojowe. Raczej nikt nie wierzy, że nawet zapisanie w traktacie mechanizmu „jak z artykułu 5 traktatu NATO" doprowadzi w razie wznowienia wojny do rzeczywistego zaangażowania USA lub innych państw Sojuszu w obronę Ukrainy. Ukraińcy wierzą jednak, że realne jest zobowiązanie do udzielenia pomocy wojskowej i materialnej, umożliwiającej samodzielną obronę w oparciu o własną armię.

Tak czy inaczej, jest dwóch głównych rozgrywających w tej grze. Jeden to Władimir Putin, który do dziś nie zmienił celów strategicznych ogłoszonych w 2021 r. Ukraińcy przypominają, że nie chodzi w nich jedynie o Ukrainę. Putin ciągle jest przekonany, że jest w stanie osiągnąć to, co zaplanował, mimo gigantycznych kosztów ludzkich i materialnych. Rezygnacja z planu będzie kosztować go jeszcze więcej – utratę władzy i najprawdopodobniej życia.

Drugim rozgrywającym jest ukraińskie społeczeństwo, które nie przyjmie złego porozumienia, nawet gdyby Zełenski został do tego zmuszony przez Trumpa. W tej grze Donald Trump, choć jest ważnym graczem, wcale nie ma najmocniejszych kart i cały czas daje się ogrywać zarówno przez Putina, jak i Zełenskiego.

Być może więc rację ma Witalij Portnikow, najpopularniejszy bodaj ukraiński komentator polityczny, który radzi swym rodakom, by zaczęli żyć z myślą, że ta wojna może nigdy się nie skończyć. Nawet jeśli Donald Trump ogłosi, że ją wygrał, doprowadzając do fasadowego porozumienia. Praktycy nie snują jednak takich rozważań, tylko działają przekonani, że każdy dzień zbliża ich do celu.

Filozofię tę tłumaczy Taras Czmut, lider Fundacji Wróć Żywym, największej organizacji społecznej zajmującej się wspieraniem wojska. W 2025 r. fundacja zebrała miliard dolarów, które trafiły do jednostek wojskowych pod postacią dronów, systemów zwiadu lotniczego, szkoleń, pojazdów i wszystkiego, co potrzebne na froncie. – *Gdybym nie wierzył, że możemy wygrać, nie robiłbym tego, co robię. Ukraina ma wszystkie zasoby, by osiągnąć sukces. Czy to się uda, zależy od wielu czynników.*

Wojna o przyszłość

Na początku roku w księgarniach pojawiła się książka wydana przez Ukraiński Instytut Przyszłości zatytułowana „Ukraina. Wizja 2035". To wynik dwuletniej pracy dziesiątków ekspertów nad scenariuszami możliwej przyszłości. Anatolij Amelin, szef Instytutu i lider projektu, na pytanie, czy wojna to dobry czas na takie przedsięwzięcia, odpowiada: – *Trudno o lepszy czas. Pokazujemy, o co w istocie toczy się wojna. Nie tylko o przetrwanie, ale i o przyszłość.* I zaprasza na spotkanie, podczas którego ma być zaprezentowany pierwszy szkic innego, uzupełniającego wizję projektu. To nowa umowa społeczna, która ma się stać podstawą ogólnonarodowej debaty, otwierającej drogę do naprawy państwa i nowej konstytucji.

Ambicje „Wizji 2035" oszałamiają, Amelin przypomina jednak, że w poprzedniej „Wizji 2030" naszkicowano – jak się wydawało mało realny – projekt cyfrowej transformacji Ukrainy. Został zrealizowany w 100 proc., a Ukraina ze 102. pozycji w 2018 r., w rankingu ONZ porównującym jakość usług publicznych dostępnych online, awansowała w 2024 r. na piąte miejsce. Podobnie w ciągu czterech lat wojny całkowicie zreorganizowała sektor obronny, jeszcze w 2022 r. zdominowany przez ociężały państwowy Ukrobronprom w roli monopolisty. Dziś przedsiębiorstwa prywatne dostarczają połowy potrzebnego armii zaopatrzenia i właśnie otwierają się na eksport.

Sztuka odporności

Jak jednak Ukraina poradzi sobie z rzeczą teraz najpilniejszą – kryzysem energetycznym? Przecież gospodarka nie może pracować na generatorach. Prezes Narodowego Banku Ukrainy Andrij Pysznyj zamienia problem na liczby i wyszło mu, że deficyt mocy w 2026 r. nie przekroczy średnio 6 proc., co spowoduje zmniejszenie wzrostu PKB o 0,2 pkt proc. Poza tym inflacja się zmniejsza, stopa procentowa NBU spadła do 15 proc., rezerwy walutowe wzrosły do rekordowo wysokiego poziomu 57,4 mld dol., rośnie akcja kredytowa oznaczająca żywotność przedsiębiorstw.

Jest bardzo ciężko, ale nic nie wskazuje, aby w najbliższym roku gospodarka miała się zapaść. Oczywiście, o ile nie zawiodą zagraniczni partnerzy, a zwłaszcza Europa, która zapewniła 90 mld euro finansowania na najbliższe dwa lata. Socjologowie z kolei nie obawiają się w najbliższym czasie turbulencji społecznych, choć niewątpliwie można się ich spodziewać po ustaniu działań wojennych. Bo stare linie społecznych podziałów zatarły się, ale nabrzmiewają nowe i czekają, aż złagodnieje reżim stanu wojennego. Który właśnie wchodzi w piąty rok.

Ukraińskie społeczeństwo obywatelskie pokazało, że jest obok armii kluczowym elementem mobilizacji decydującej o ukraińskiej odporności wobec rosyjskiej agresji. Jest też kluczowym elementem wewnętrznej ukraińskiej polityki. – *W Ukrainie mamy demokrację, nikt tu nie zabija demonstrantów, mimo że jest wojna.* Łatwo się domyślić, że pije do Stanów Zjednoczonych i bezkarności policji imigracyjnej ICE. Wojna z Rosją toczy się właśnie o ten demokratyczny sposób życia. I o lepszą przyszłość, w którą Ukraińcy niezłomnie wierzą.

EDWIN BENDYK

Autor jest publicystą POLITYKI i prezesem zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Wspólnie z Agnieszką Lichnerowicz prowadzi podkast „Rozumieć Ukrainę".

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f6af64afad

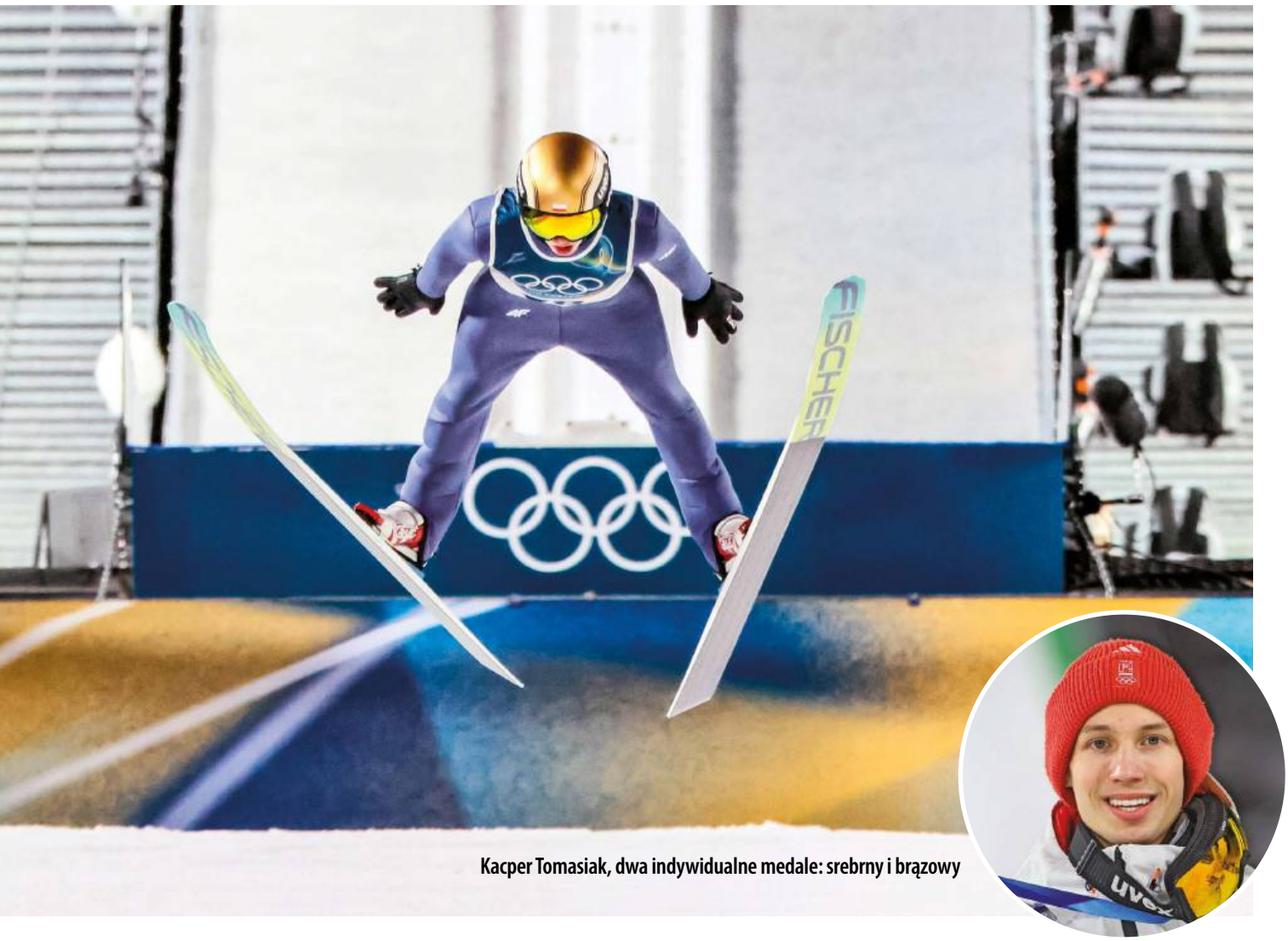

Kacper Tomasiak, dwa indywidualne medale: srebrny i brązowy

Duże igrzyska, mało chleba

Polski plan minimum na igrzyska był skromny: dwa–trzy medale. Udało się go wykonać w pierwszym tygodniu startów. Głównie za sprawą skoczka Kacpra Tomasiaka, bohatera drugiego planu.

MARCIN PIĄTEK

Na igrzyskach piszą się nieprawdopodobne scenariusze. Na przykład taki: rodowity Rosjanin walczy o medal, a sportowa Polska życzy mu jak najlepiej. Ale formalnie rzecz biorąc, jest on już nasz. 23-letni panczenista Władimir Semirunnij został wicemistrzem olimpijskim na morderczym dystansie 10 km, zdobywając dla Polski drugie srebro igrzysk. Był jednym z faworytów, niedawno został mistrzem Europy, a po swoim olimpijskim starcie oszczędnie prezentował radość z medalu, gdyż na treningach notował lepsze czasy.

Mniej więcej trzy lata temu Wowa, jak mówią na niego wszyscy w polskim łyżwiarskim światku, uznał, że skoro w ojczyźnie jego kariera została złamana – światowe władze panczenów, podobnie jak wielu innych dyscyplin, zakazały Rosjanom udziału w zawodach w ramach sankcji za agresję na Ukrainę – wskazane jest poszukać nowej reprezentacji. Jak szczerze powiedział tuż po dekoracji, był to układ dwustronny: Polska chciała medalu i zawodnika o takich możliwościach,

© HANNIBAL HANSCHKE/EPA/PAP, REX/EAST NEWS, ANDRE WEENING/IMAGO/PAP, NEWSCOM/PAP

eprasa.pl f6af64afad

Władimir Semirunnij, srebrny medal

on potrzebował nowej reprezentacji. Rozważał starty dla Holandii bądź Kazachstanu, ale najkonkretniejsza propozycja przyszła z Polski. Opowiadał, że na przejściu granicznym trząsł się z nerwów, a rodacy pogranicznicy dziwili się, że w obecnej sytuacji wojennego wrzenia w Ukrainie Polska zaprosiła Ruska na treningi. Okazując roczną wizę, przekonał ich, że to tylko układ czasowy. Ale wracać nie miał zamiaru.

Trudny układ

Zmiana obywatelstwa oraz wybór nowej sportowej ojczyzny rzadko są odruchem serca, jak w przypadku Lucasa Pinheiro Braathena, Norwega po ojcu, Brazylijczyka po matce, który wychowany na narciarza alpejskiego w Norwegii w końcu uznał, że bardziej do twarzy jest mu w barwach Brazylii (swoje zrobił też konflikt z norweską federacją na tle umów sponsorskich) i zdobył dla niej pierwsze w historii zimowych igrzysk złoto, pokonując w slalomie gigancie naciskającą go mocno ekipę Szwajcarów. Najczęściej paszport zmienia się z zimnej życiowej kalkulacji, i to jest właśnie przypadek Semirunnija, który z Polską nie miał żadnych związków.

Układ jest trudny: w starej ojczyźnie, gdzie pozostaje rodzina, unosi się odium dezercji i zdrady, w przypadku Semirunnija dodatkowo spotęgowane obecnym kontekstem wojennym. W nowej padają podejrzenia o koniunkturalność i zarzuty, że ten „przeszczep" zabiera miejsce rodzimym talentom, zresztą przy dużej aprobacie działaczy przeliczających już spodziewane medale importowanego kadrowicza na dotacje z Ministerstwa Sportu. Semirunnij akurat nie wepchał się przed szereg, bo choć przyjeżdżał do Polski z renomą zdolnego juniora o fenomenalnym długodystansowym „silniku", to nie miał u nas konkurencji. Raczej wyznaczał poziom, do którego polscy specjaliści od łyżwiarskiego maratonu chcieliby się zbliżyć.

Narzekać nie mógł, bo przyjechał na gotowe. Gdy kilkanaście lat temu z igrzysk z Vancouver i Soczi panczeniści wrócili z medalami, a Zbigniew Bródka został pierwszym polskim mistrzem olimpijskim na łyżwiarskim torze (na 1500 m), mówiło się, że to sukcesy na przekór mizerii, jeśli chodzi o zaplecze niezbędne do profesjonalnego uprawiania tego sportu. Najbardziej środowisko uwierał brak krytej hali. Po złocie Zbigniewa Bródki w 2014 r. politycy zaczęli na wyścigi składać obietnice o budowie pożądanej infrastruktury, ale im dalej od igrzysk, tym bardziej ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ zapał gasł i wydawało się, że koniec będzie taki jak zawsze, czyli skończy się na gadaniu.
W końcu jesienią 2017 r. hala powstała tam, gdzie było to najbardziej sensowne, czyli w Tomaszowie Mazowieckim. Lokalizację uzasadniały nie tylko tradycje (w mieście działa kilka łyżwiarskich klubów, w których wychowało się liczne grono reprezentantów Polski), ale również dogodne położenie w centrum kraju i bliskość Spały, gdzie mieści się jedna z kilku krajowych baz przygotowań zawodowych sportowców działających pod szyldem Centralnego Ośrodka Sportu.

Psucie święta

Na efekty nie trzeba było długo czekać: sypnęło w Tomaszowie i okolicach chętnymi do ścigania się na lodzie, konkurencyjne kluby dostały impuls do rozwoju, kadry narodowe zyskały wreszcie swoją bazę, obiekt spełnia międzynarodowe kryteria i organizuje zawody z najwyższej półki, z udziałem światowej czołówki. Wiesław Kmiecik, trener z ponad 40-letnim stażem, przez którego twardy wychów przeszło wielu medalistów, z mistrzem Bródką na czele, a dziś szkoli w Tomaszowie młodzież: – *Poprzednio był tu odkryty tor. Wiatr przynosił piasek, tor był brudny, a lód tępy, trzeba było w ciągu treningu ostrzyć łyżwy. W cieplejsze dni na łączeniach instalacji do chłodzenia powstawały nierówności, a tafla powinna być przecież idealnie gładka. Kryty tor to inny świat* – mówi, zerkając na pokonujących kolejne okrążenia swoich nastoletnich podopiecznych, którzy w bezpośrednich starciach już pokonują rówieśników z Holandii, mekki panczenów. Efekt hali sprawił, że jest z kogo wybierać.

Ale całkiem różowo nie jest. Tor powinien być kadrowiczom udostępniany na pół roku – od września do marca, a bywało, że mrożenie uruchamiano dopiero w listopadzie. Powód jest prozaiczny: koszty. Rachunki za energię i ogrzewanie wzrosły w ostatnich latach niemal 10-krotnie, w 2025 r. było to ok. 6 mln zł. Pokrywa je zarządzająca obiektem miejska spółka, co nie podoba się wielu radnym Tomaszowa, którzy zadają przytomne skądinąd pytanie: mamy na garnuszku szkoły, drogi, wymianę kopciuchów, miejską zieleń i inne liczne wydatki, dlaczego więc utrzymujemy narodową kadrę panczenistów? Spółka orze, jak może, zarabia na kliencie komercyjnym (w hali, oprócz lodowiska, są też: tor kartingowy, ścianka wspinaczkowa, boisko siatkarskie i bieżnie), a wkład Polskiego Związku Łyżwiarstwa Szybkiego to tylko standardowe opłaty za czas wynajmu lodu.

Ministerstwo Sportu nic do utrzymania tego medalowo strategicznego obiektu nie dorzuca, nie wspominając o Polskim Komitecie Olimpijskim, którego obecny prezes Radosław Piesiewicz wydaje fortunę głównie na lans i autopromocję (horrendalne 13 mln zł na wynajęty podczas ostatnich letnich igrzysk w Paryżu pałacyk). Obiecywał działaczom więcej pieniędzy od państwowych firm dzięki nowym umowom sponsorskim, jakie sportowe federacje miały podpisywać za pośrednictwem PKOl.

Dobrodziejem łyżwiarzy szybkich była (przed nastaniem Piesiewicza w PKOl) i wciąż jest Polska Grupa Energetyczna. Prezes związku łyżwiarskiego Rafał Tataruch nie odpowiedział, czy dzięki zaangażowaniu PKOl udało się pozyskać z PGE dodatkowe środki. W lakonicznej wiadomości dał do zrozumienia, że za tym pytaniem kryje się intencja psucia święta sportu (igrzysk), „naszego czasu, na który pracowaliśmy 8 lat".

Mocny mental

Szklanka z lodem jest jednak tylko do połowy pełna. Przed igrzyskami apetyty były większe, a do medalowego dorobku mieli dołożyć się przede wszystkim sprinterzy: Kaja Ziomek-Nogal i Damian Żurek. Oboje byli mocni w zawodach Pucharu Świata, regularnie zajmowali miejsca na podium, a Żurek dwa lata temu zdobył brąz mistrzostw świata na dystansie 500 m. Kaja nie napisała jednak na igrzyskach puenty do zawsze budującej historii powrotu do zawodowego sportu po macierzyńskiej przerwie (na 500 m była szósta), a Damian wraca z wielkim niedosytem: dwukrotnie zajął czwarte miejsce, od brązu na 500 i 1000 m dzieliły go setne części sekundy. Zaważył splot czynników: minimalnie spóźniony start, niebezpieczna bliskość rywala w ostatnim wirażu (znawcy podpowiadają: jadąc po lodzie 60 km/h, wystarczy najmniejszy, podświadomy odruch obronny przed zderzeniem, by wytrącić z rytmu i ukraść cenne ułamki sekundy).

Panczenisty szkoda na równi z alpejką Maryną Gąsienicą-Daniel. Jej w slalomie gigancie zabrakło do medalu niewiele ponad jedną dziesiątą sekundy (była siódma). Przesądził jeden poważny błąd w pierwszym przejeździe, tuż przed metą, gdy po ostrym zakręcie stok opadał i trzeba było szybko, właściwie w powietrzu, „poskładać się" do kolejnej bramki. Maryna ledwo utrzymała się tam w trasie, krawędziując na jednej narcie. Gdyby pojechała płynniej, miałaby medal, pierwszy w dziejach olimpijskich startów polskich narciarzy zjazdowych. Jest co rozpamiętywać.

Medalową lukę pozostawioną przez Żurka sensacyjnie wypełnił 19-letni skoczek narciarski Kacper Tomasiak. Igrzyska to jego pierwsza poważna medalowa impreza wśród seniorów, a w ubiegłym sezonie otrzaskiwał się wciąż w drugorzędnych, pucharowych zawodach. Skoczkowie zaliczyli w ostatnich sezonach wyraźny zjazd formy i na dobrą sprawę nic nie zwiastowało przełomu akurat na igrzyskach olimpijskich. Okazało się jednak, że Kacper ma niezbyt częstą wśród polskich sportowców cechę: daje z siebie wszystko wtedy, gdy liczy się to najbardziej.

Fachowcy twierdzą, że ma on w tej chwili najmocniejsze odbicie w światowej czołówce, jednak to tylko jeden ze składników przepisu na sukces w skokach. Największe wrażenie robi odporność psychiczna nastolatka. W obu olimpijskich konkursach po pierwszych próbach był tuż za podium, miał pełne prawo się spalić, ale widok na medale tylko go uskrzydlił. Do srebra dołożył w kolejnym konkursie indywidualnym brąz (rywalizacja duetów zakończyła się po zamknięciu wydania). – *Od najmłodszych lat miał mocny mental* – mówi jego pierwszy trener z klubu LKS Klimczok Bystra Jarosław Konior. – *Nawet jak miał po raz pierwszy iść na większą skocznię, to się nie bał. Polecenia przyjmował ze zrozumieniem, wcielał je w życie bez problemów, w szkole miał piątki i szóstki. Z trenerskiego punktu widzenia: materiał marzenie.*

Fabryka skoczków

Czy z polskimi skokami narciarskimi jest tak dobrze, jak wskazywałby na to medal juniora Tomasiaka, czy jednak tak źle, jak sugerują słabe występy jego kolegów z męskiej kadry oraz klęska w konkursie drużyn mieszanych (przedostatnie miejsce; gorsza była tylko Rumunia)? Jak to często w przypadku takich dylematów bywa, prawda leży pośrodku. – *Po złotym pokoleniu, z Kamilem Stochem na czele, mieliśmy dziurę, z kolejnych roczników*

eprasa.pl f6af64afad

Ukraiński skeletonista Władysław Heraskewycz nie zgodził się na zmianę kasku z wizerunkami rodaków sportowców poległych na wojnie. Został wykluczony z zawodów.

zaistniał właściwie tylko Paweł Wąsek. Teraz Kacper stoi na czele nowej młodej fali, chłopaków dobijających do dwudziestki. Wybił się z niej nadspodziewanie wcześnie, ale klubowi trenerzy mówią, że takich Kacprów będziemy mieli więcej – mówi Kuba Kot, były skoczek, dziś komentator Eurosportu.

Na fali małyszomanii skoczkowie narciarscy doczekali się systemu szkolenia i produkcji zawodników, o jakim przedstawiciele innych sportów zimowych w Polsce mogli tylko pomarzyć, oraz stałego wsparcia potężnego sponsora (schedę po Lotosie przejął Orlen). Z perspektywy dołu piramidy wszystko działa jak w zegarku. – *Dzieciaków chętnych do skakania nie brakuje, na infrastrukturę nie możemy narzekać, finanse są, najlepsi płynnie kontynuują regularne treningi w szkołach mistrzostwa sportowego* – wymienia trener Konior.

Gołym okiem widać, że w polskich medalach nie ma przypadku, a stoi za nimi system naczyń połączonych. W kraju takim jak Polska, o ograniczonej puli sił i środków, znów – przy okazji igrzysk – ciśnie się jednak na usta pytanie, czy postawić na specjalizację dyscyplin. Czy ładowanie pieniędzy w miłośników zjazdów w lodowej rynnie ma sens, skoro nie ma w kraju toru ani widoków na jego powstanie? Czy warto utrzymywać biegaczy narciarskich, po raz kolejny zajmujących miejsca w ogonie stawki (jeden z nich, Maciej Staręga, dał się wyprzedzić nawet reprezentantom Haiti i Tajlandii)? Czy może rozwiać narodowe złudzenia i wprost powiedzieć, że przy całym szacunku dla poświęcenia i wysiłku większości naszych sportowców szczytem ich możliwości oraz ambicji jest załapanie się do pierwszej ósemki mistrzowskiej imprezy (również igrzysk), co gwarantuje przez mniej więcej półtora roku wypłatę ministerialnego stypendium (prawie 7 tys. za ósme miejsce) i niech ten niemedalowy wynik stanie się miarą polskiego sukcesu?

Wzloty i upadki

Sportowy, zimowy układ sił wyraźnie przesunął się na korzyść Europy. Kanadyjczycy na pierwsze złoto czekali do dziesiątego dnia igrzysk, Chińczycy notują mało oczekiwaną zapaść (po drugim weekendzie igrzysk wciąż nie mieli złota), amerykańska potęga drży w posadach. Już na dobre odjechali im Norwegowie, zmierzający po swój medalowy rekord zimowych igrzysk (z dużym udziałem biegacza Johannesa Klaebo, który zdobywając w weekend trzecie złoto, został najbardziej utytułowanym sportowcem w historii zimowych igrzysk, a rekord ten jeszcze wyśrubuje), a na drugą zimową siłę w świecie niespodziewanie wyrośli Włosi. Ich sportowy renesans to fragment większej całości (w letnich igrzyskach też są coraz mocniejsi; 40 medali w Paryżu), było jasne, że na własnej ziemi będą mieli dodatkową motywację, ale to, jak gęsto jest od reprezentantów Italii na podiach i jak skuteczni są w dywersyfikacji (do niedzieli 22 medale zdobyli aż w dziewięciu dyscyplinach sportu), robi wrażenie.

Wśród wielu pokrzepiających i budzących podziw historii stojących za medalami Włosi mają jedną, wyjątkową. Federica Brignone została mistrzynią olimpijską najpierw w supergigancie, a potem w gigantowym slalomie, choć w kwietniu 2024 r. miała na stoku poważny wypadek, złamała w kilku miejscach lewą nogę i pierwsze diagnozy były brutalne: koniec kariery, również z uwagi na wiek (Federica to rocznik 1990), walka o to, by znów chodzić, będzie wyzwaniem. Do treningów wróciła dopiero w listopadzie, wbrew woli najbliższych, wszystko poświęciła przygotowaniom do igrzysk i na olimpijskich stokach mknęła na krawędziach z autostradową prędkością, jakby wypadek nie zostawił u niej śladu.

Narciarki zjazdowe to najwyraźniej osobny gatunek ryzykantek. W końcu tuż przed igrzyskami do ścigania wróciła też Amerykanka Lindsey Vonn. O ile Brignone można jeszcze do pewnego stopnia zrozumieć (nie miała w dorobku olimpijskiego złota), to słuchając 41-letniej Vonn, która na stokach wygrała wszystko, można nabrać przekonania, że napędzająca ją obsesja nosi mroczne znamiona. W jednym z wywiadów z rozbrajającą szczerością przyznała: nawet jeśli narty mają ze mnie zrobić kalekę, to ze ścigania nie zrezygnuję.

W jej przypadku happy endu nie było; zakończyła olimpijski zjazd po kilkunastu sekundach, wpadając w jedną z bramek i koziołkując z impetem po stoku. Złamała nogę w kilku miejscach, przeszła już trzy operacje, a lekarze mówią, że będzie miała szczęście, jeśli wróci do pełni sprawności. Jej fatalna kontuzja to jedna z najsmutniejszych historii włoskich igrzysk. W tej konkurencji liczy się również ukraiński skeletonista Władysław Heraskewycz. Na treningach wkładał kask z wizerunkami rodaków sportowców poległych na wojnie, ale MKOl zakazał mu startów w nim, argumentując, że jest to „demonstracja polityczna". Heraskewycz nie zgodził się na zmianę hełmu, więc został wykluczony z zawodów. Sportowi działacze mają tak niewiele szans, by zachować się przyzwoicie, a i tak je marnują.

MARCIN PIĄTEK

© AIJAZ RAHI/AP/EAST NEWS

eprasa.pl f6af64afad

Jak nie pałką, to kijem

Liczba zawetowanych przez Karola Nawrockiego ustaw zaokrągliła się do 25. Teraz prezydent podjął kolejną próbę zderzenia się z rządem, zwołując Radę Bezpieczeństwa Narodowego.

RAFAŁ KALUKIN

Rada została zaanonsowana z wyprzedzeniem, żeby media miały czas podgrzać atmosferę. Miała precyzyjnie skonstruowaną agendę, w której było miejsce zarówno dla tematów istotnych, jak i trywialnej politycznej bijatyki. Wyciągnięto również wnioski z nieudanej dla Nawrockiego jesiennej Rady Gabinetowej, kiedy został publicznie skontrowany celnymi ripostami Donalda Tuska. W otwartej części posiedzenia RBN można więc było teraz zobaczyć wyłącznie prezydenckie wystąpienie, a resztę obrad zapobiegliwie utajniono.

Najwięcej uwagi miał zapewne przyciągnąć widowiskowy konflikt prezydenta z marszałkiem Sejmu. Sztucznie podpompowany, gdyż impuls wyszedł tym razem z pisowskich mediów. Telewizja Republika „ujawniła" w charakterze newsa wygrzebaną z książki Tomasza Piątka sprzed kilku lat informację o biznesowej relacji Włodzimierza Czarzastego z Rosjanką mającą ponoć związki z Kremlem. Temat został natychmiast przechwycony przez polityków PiS, którzy szeroko kolportowali rewelacje prawicowej stacji, szykując grunt dla prezydenta. A ten ochoczo wszedł na urobione pole, chociaż tyle zazwyczaj mówi o swoim dystansie wobec partii politycznych.

Nawet jeśli sprawa wymaga sprawdzenia, podciąganie jej pod zagrożenia bezpieczeństwa państwa to oczywiste nadużycie prezydenckich prerogatyw. I nie do końca wiadomo, po co Nawrocki dał się namówić do kontynuowania publicznej wymiany ciosów z Czarzastym, która bardziej wzmacnia tego ostatniego. Niektórzy kładą to na karb frustracji Nawrockiego, któremu marszałek bezceremonialnie pokazał, jak skromnymi narzędziami ustrojowymi w gruncie rzeczy dysponuje. Sejmowa blokada nałożona na prezydenckie projekty wydaje się bowiem trwała i nie ma sposobu, żeby ją złamać. I to przy niewielkim w sumie zainteresowaniu opinii publicznej.

Co musiało zranić ambicje prezydenta, który na początku sam chciał rządowi dyktować, jakie ustawy ma przyjmować. Po tak chełpliwym prologu musiało więc nadejść rozczarowanie. W niedzielnej rozmowie z Bogdanem Rymanowskim w Polsacie prezydent wręcz przyznał się do własnej naiwności. Wydawało mu się bowiem, że skoro wygrał wybory prezydenckie, to obóz rządzący padnie przed nim na kolana i po kolei zacznie realizować wszystkie wyborcze obietnice, których przecież naród tak bardzo pragnął, nie dodając, że były to w większości projekty bardzo kosztowne.

Zresztą kolejny raz wyszło w tej rozmowie na jaw, że Nawrocki nie rozumie konstytucji i własnej ustrojowej roli. Z jednej strony

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl f6af64afad

jak zawsze mówił o sobie w trzeciej osobie, obnosząc się godnością najwyższego przedstawiciela narodu. Wyraził nawet oczekiwanie, że polskie służby dyplomatyczne będą bronić jego czci równie gorliwie, jak amerykański ambasador Thomas Rose w wojnie z Czarzastym bronił czci Donalda Trumpa. Ale kiedy Nawrockiemu wygodniej, „naród" gdzieś znika i prezydent kurczy się do roli „reprezentanta ponad 10 mln Polaków", czyli po prostu swoich wyborców. Dobrze byłoby się jednak na coś zdecydować, gdyż konfrontacyjnej prezydentury w podzielonym pół na pół społeczeństwie po prostu nie da się pogodzić z powszechną akceptacją.

A najlepiej pokazał to właśnie Czarzasty i stąd być może tak wielki uraz prezydenta na jego punkcie. Co nie oznacza, że niedawna próba wytargania na posiedzeniu RBN marszałkowskich uszu nie była przy okazji częścią bardziej złożonej politycznej operacji, w której zresztą maczali palce dodatkowi aktorzy.

Czy Amerykanie grają na wywrócenie rządzącej koalicji 15 października? Napisała o tym „Rzeczpospolita" w tygodniu poprzedzającym atak na Czarzastego w związku z ujawnionymi doniesieniami na jego temat. Chodziło o naciski na prezesa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza, żeby przeszedł na drugą linię frontu i wspólnie z PiS oraz Konfederacją stworzył nową większość w Sejmie. Marchewką miało być oferowane przez PiS stanowisko premiera. Ale pojawił się również kij, czyli groźba zerwania relacji z obecną amerykańską administracją, które szef ludowców i minister obrony pragnie rozwijać.

Publikacja odbiła się sporym echem w politycznych kuluarach. Uznana za wiarygodną, gdyż nie jest żadną tajemnicą, że obóz Trumpa ma w swojej doktrynie wspieranie na różne sposoby antyunijnej populistycznej prawicy. Nie mając obiekcji, żeby ingerować w politykę wewnętrzną nominalnie sojuszniczych państw. Tyle że na próżno, bo najpewniej to sami ludowcy rozbroili temat, żeby uciąć ewentualne spekulacje co do ich koalicyjnej lojalności. Artykuł wiele jednak mówił o pogłębiającej się symbiozie PiS ze środowiskiem Trumpa. Uderzenie w Czarzastego mogło być zresztą częścią tego samego scenariusza. Jako narzędzie kruszenia opornych ludowców, bo wiadomo przecież, że stosunki znajdujących się na ideologicznych antypodach Lewicy i PSL są napięte. Kosiniak-Kamysz nieraz już w przeszłości dawał się zawstydzać przez prawicę, która wypominała mu „tęczowego" sojusznika. Tym razem podobną funkcję pełniło wymierzone w Czarzastego „precz z komuną" i próba sklejenia go z Rosją.

Tyle że po drodze wybuchł ostry konflikt polskiego marszałka z amerykańskim ambasadorem o ocenę polityki Trumpa. Można go było uniknąć, gdyż Czarzasty nie musiał ogłaszać odmowy poparcia dla noblowskich aspiracji amerykańskiego prezydenta w sposób aż tak dosadny. Postanowił jednak zapunktować w krajowej polityce i dorzucił stosowny komentarz o Trumpie, co było miodem dla uszu wielu przerażonych amerykańską polityką wyborców koalicji. Na co amerykański ambasador odpowiedział całkiem już zdumiewającą deklaracją zerwania stosunków z marszałkiem Sejmu, wdając się przy okazji w słowne potyczki z premierem Tuskiem, a nawet strasząc wycofaniem amerykańskich wojsk z Polski.

Politycy PiS od razu ruszyli szerokim frontem w sukurs ambasadorowi i zrobił się ogólny polityczny rejwach. A ponieważ wszystko działo się równolegle z rozdmuchiwaniem „ruskiego śladu" w biografii Czarzastego oraz przygotowaniami do posiedzenia RBN, niektórzy politycy koalicji i komentatorzy próbowali połączyć te zdarzenia w całość. Chociaż to raczej mylny trop, skoro to Czarzasty sprowokował awanturę.

Dawał zresztą do myślenia komentarz prezydenckiego ministra Marcina Przydacza, który skarcił swoich partyjnych kolegów z PiS, licytujących się w rzucaniu kalumnii na Czarzastego. Być może po prostu pierwszy zorientował się, że tak jednoznaczne obstawianie przedstawiciela obcego państwa w konflikcie z własnym rządem może wyjść całej formacji bokiem. Tyle że Przydacz nie jest postacią przypadkową, lecz człowiekiem Nawrockiego od kontaktów z ruchem MAGA. Niewykluczone więc, że jego dyscyplinujący wpis w mediach społecznościowych był interwencją osoby wtajemniczonej w realizowany po cichu polityczny plan.

Wysługiwanie się amerykańskiemu „namiestnikowi" zostało bowiem skontrowane przez Konfederację, która trafnie zdiagnozowała miękkie podbrzusze prawicowego konkurenta, kwestionując jego suwerenność. Rozpalone pisowskie głowy wkrótce ochłonęły i zaczęto rakiem wycofywać się z obrony ambasadora. W Wirtualnej Polsce wręcz cała plejada ważnych polityków tej partii (z Mateuszem Morawieckim na czele) ze wszystkich sił bagatelizowała nie tylko incydent, ale też samego dyplomatę jako postać pozbawioną politycznego znaczenia.

Co ogólnie rzecz biorąc, było prawdą. Thomas Rose faktycznie nie należy do najbliższego kręgu Trumpa, toteż nie nadaje się na pośrednika. Politycy PiS mają zresztą od dawna wyrobione własne kontakty. Kiedy więc kurz opadł, wyłoniła się najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń, w której politycznie wyalienowany dyplomata zaatakował Czarzastego na wszelki wypadek, żeby w razie czego ktoś w Waszyngtonie nie zarzucił mu, iż pozwala bezkarnie obrażać Trumpa. Wywołał tym jednak niechcący reakcję łańcuchową, w efekcie czego uwaga opinii publicznej skupiła się na amerykańskich uwikłaniach PiS. Co było szczególnie niefortunne w momencie, kiedy formacja Jarosława Kaczyńskiego po cichu szykowała się do batalii przeciwko programowi SAFE.

Dyskusja o europejskim programie finansowania zdolności obronnych zdominowała posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Już po wszystkim prezydenccy ministrowie skrytykowali stronę rządową za ociąganie się z odpowiadaniem na pytania gospodarza. Z kolei politycy koalicyjni w nieoficjalnych rozmowach opowiadali, że Nawrocki z zaskakującą otwartością chłonął informacje na temat SAFE i wydawał się nimi żywo zainteresowany. Tak jakby nie został należycie przygotowany i dopiero teraz zaczęły mu się otwierać oczy.

Niewykluczone więc, że prezydent padł ofiarą manipulacji swoich współpracowników, których podesłała mu przecież Nowogrodzka. Pytanie zresztą, na ile był świadom, że zwołane przez niego posiedzenie będzie częścią obmyślonego na Nowogrodzkiej politycznego planu. Nagłośniona medialnym konfliktem z Czarzastym impreza tak naprawdę grała bowiem rolę gongu obwieszczającego początek pisowskiej krucjaty przeciwko SAFE.

Nieoczywistej, skoro jeszcze pół roku temu prominentnym politykom PiS zdarzało się wręcz z entuzjazmem mówić o unijnym programie. „To szansa na rozwój Sił Zbrojnych RP. Nie możemy pozwolić na to, aby środki te zostały zmarnowane lub skierowane do zagranicznego przemysłu zbrojeniowego" – napisał we wrześniu w serwisie X nie byle kto, bo poprzedni szef MON Mariusz Błaszczak. Z czasem pisowcy zaczęli jednak zmieniać zdanie. Coraz częściej podawano w wątpliwość wykluczenie dostawców sprzętu spoza Unii (65 proc. komponentów musi pochodzić ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ z krajów UE), co rzekomo ma dyskryminować Amerykanów. A tych nie wolno drażnić, co najpełniej parę tygodni temu ujął kolejny z prezydenckich ministrów Sławomir Cenckiewicz, który zarzucił polskiemu rządowi, że planując europejskie zakupy, nie wziął sobie do serca amerykańskiej strategii bezpieczeństwa.

Ale mimo wszystko mogło się wydawać, że to wciąż tylko przejawy antyunijnej fobii, nie zaś początek skoordynowanych działań. Otwartej negacji SAFE mało kto się spodziewał. Trudno bowiem w kraju zagrożonym wojną uzasadnić rezygnację z niskooprocentowanych pożyczek na wzmocnienie zdolności obronnych w niebagatelnej kwocie 180 mld zł. To tyle, ile roczny budżet MON, a do tego rząd postanowił przeznaczyć aż 80 proc. puli na zamówienia w krajowej zbrojeniówce. Okazało się jednak, że dla chcącego nic trudnego.

Po zakończeniu posiedzenia RBN okazało się, że właściwie wszystko jest dla PiS problemem. Już nie tylko odcięcie od zamówień Amerykanów, ale też sensowność wieloletniego zadłużania się, napięte terminy realizacji, rzekoma zasada warunkowości (bo jak tylko PiS wróci do władzy, złośliwa Bruksela od razu nas puści z torbami), niewydolność europejskiego przemysłu obronnego, brak transparentności zamówień, wreszcie ocierające się niemalże o zdradę stanu wspieranie potencjału przemysłowego Niemiec i Francji.

Z częścią zastrzeżeń można się było nawet zgodzić, tyle że w pakiecie z agresywną antyeuropejską ideologią była to już tylko propagandowa kanonada. W typowej dla PiS „patriotycznej" poetyce, żeby spróbować odciągnąć uwagę od najbardziej drażliwej kwestii, czyli tego, kto miałby najbardziej skorzystać na utrąceniu SAFE. Co nie było takie proste, skoro kwestia zacieśniających się związków PiS z obozem Trumpa dopiero co stała się kwestią publicznego zainteresowania. Tym bardziej że to coś więcej niż polityczna przyjaźń i wspólnie planowane intrygi. Można też dostrzec rodzącą się wspólnotę interesów, co ilustruje uruchamiany przez TV Republika za amerykańskie pieniądze nadawany po angielsku kanał na całą Europę. Ale biznesowych powiązań ma być dużo więcej, również prywatnych. Mówi się chociażby o inwestycjach niektórych polityków PiS w amerykański rynek kryptoaktywów. Polityczny sojusz z ruchem MAGA zaczyna więc nabierać cech znanego z amerykańskiej polityki układu oligarchicznego, w którym PiS oczywiście gra rolę co najwyżej przybudówki. Z tej perspektywy kampania przeciwko SAFE staje się jednak czymś więcej niż nieodpowiedzialną decyzją polityczną. Trudno nie zadać pytania, czy na samym końcu nie jest to po prostu lobbing na rzecz amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego.

Sprawa musi być jednak najwyższej wagi, skoro nawet sam niedomagający zdrowotnie Jarosław Kaczyński zajął w mediach społecznościowych pryncypialne stanowisko przeciwko SAFE. Można się było jedynie zastanawiać, kto był głównym adresatem prezesowskiego komunikatu. Bo kandydatów nie brakowało, poczynając od wyborców, przez partię akurat w samym środku ważnej batalii targaną kolejnym personalnym konfliktem, kończąc na amerykańskich przyjaciołach, którym należało pokazać determinację. A może tak naprawdę był to list do prezydenta?

Bo to przecież Karol Nawrocki ostatecznie zdecyduje o przyszłości SAFE. Ustawa umożliwiająca zaciągnięcie pożyczek już przeszła przez Sejm i wkrótce zajmie się nią Senat. A co zrobi na koniec prezydent? U Rymanowskiego nie odkrył kart, ale też nie powielał jadowitych pisowskich komunikatów z poprzednich dni. Nic więc nie wskazuje, żeby zamierzał skakać na główkę do pustego basenu, jak jego znajomi z PiS, tylko przeprowadzi polityczną kalkulację. Mając na uwadze, że wysadzenie w powietrze programu istotnie poprawiającego nasze zdolności obronne może się poważnie odbić na jego popularności.

A z tym trochę ma już ostatnio problem. Po dynamicznym wejściu w prezydenturę Nawrocki jakby nieco oklapł. Słupki zaufania stanęły w miejscu i nawet prawicowe elektoraty czasem mu wypominają nadmierną skłonność do lansu przy ogólnej mizerii konkretnych efektów jego mocowania się z rządem. Tymczasem innego pomysłu na prezydenturę jakoś nie widać. Nawrocki niby pozostaje aktywny i często go widać, tyle że z celebrowania kolejnych historycznych rocznic i pokazywania się na imprezach sportowych nic nie wynika. W polityce zagranicznej również jest raczej pasywny i w sumie nie wiadomo, co takiego chciałby osiągnąć. Oczywiście poza pielęgnowaniem dobrych relacji z Trumpem, ale to oczywistość.

Zarazem wydaje się mimo wszystko ostrożniejszy od PiS w proamerykańskich deklaracjach. Najlepiej było to widać przy okazji zaproszenia do Rady Pokoju. Niby zapewniał, że chętnie by z niego skorzystał, ale zamiast nacisnąć w swoim stylu na rząd i uczynić tę kwestię kolejnym przedmiotem konfliktu, wolał schować się za Tuska i Sikorskiego, żeby za niego podjęli decyzję. Ale być może ochłodził go rosnący sceptycyzm Polaków wobec Trumpa albo przestraszył się wspólnego zdjęcia z Łukaszenką, które z pewnością by mu towarzyszyło przez całą kampanię reelekcyjną.

Odwaga postawienia na swoim wróciła prezydentowi dopiero na Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, kiedy temat był już zamknięty. Tego samego dnia premierka Włoch Giorgia Meloni ogłosiła bowiem, że również nie zamierza przystępować do Rady Pokoju, co oznaczało tyle, że do inicjatywy Trumpa nie przystąpi żaden poważny europejski kraj. Tusk skorzystał więc z okazji i wchodząc na posiedzenie RBN, zrobił to samo, co jego włoska odpowiedniczka. W tej sytuacji Nawrocki już bez żadnego ryzyka mógł się stroić w szaty przyjaciela amerykańskiego prezydenta.

Narcystycznie obnosząc się z parafrazą własnego nazwiska w logo marki odzieżowej, sprowadził sobie dodatkowo na głowę problemy wizerunkowe. Przed wieloma laty Aleksander Kwaśniewski musiał przepraszać za jednorazowe wykorzystanie jego oblicza w reklamie firmy meblarskiej, czego być może nawet nie był świadom. Inaczej Nawrocki, który niejeden raz robił wręcz za modela produktów ze znakiem towarowym zarejestrowanym przez jego siostrę. I chociaż trudno w to uwierzyć, najwyraźniej nie spodziewał się, że wcześniej czy później proceder ściągnie uwagę. Reaguje zresztą na krytykę nerwowo, co też nie świadczy o wyczuciu sytuacji.

Za mocarną sylwetką i miłością własną można więc dojrzeć polityka, który dopiero uczy się reguł swojego rzemiosła. Trochę już pogubionego, od kiedy rzeczywistość rozmija się z wyobrażeniami. Otoczonego wreszcie współpracownikami, którym nie może do końca ufać, gdyż ich lojalność rozproszona jest pomiędzy różne ośrodki. I chociaż Nawrocki ma ponoć ambicje wpływania na całą prawicę, a przynajmniej obsadzają go w takiej roli liczni komentatorzy, ostatnie wydarzenia pokazują, że na razie to inni próbują wywierać wpływ na Nawrockiego.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl f6af64afad

Góra kontra dół

Wraz z aferą Epsteina, poza jej wszystkimi szokującymi wątkami, powrócił z pełną mocą motyw „zdeprawowanych elit", tych prawdziwych i zmitologizowanych. Ten wątek natychmiast został wprzęgnięty do wojny polsko-polskiej.

MARIUSZ JANICKI

W społecznościówkach zaroiło się od epitetów w rodzaju: „globalne elity", które opanowały świat, „pseudooświecone elity", które mieszają ludziom w głowach dla własnych celów, „polskie elity do niczego nie dojdą", „antypolskie elity ujawniają się coraz częściej". Powróciły nawet „łże-elity", czyli określenie Jarosława Kaczyńskiego sprzed 20 lat, z czasów pierwszego PiS u władzy; znowu okazało się użyteczne, aby przypomnieć, kto jest naprawdę odpowiedzialny za zło, które się dzieje. Wszystko połączyło się ze wszystkim: „Niemcy już nie mordują polskich elit, oni je sobie wychowują", „Elity nie są ani prawicowe, ani lewicowe, one są zdegenerowane i zajmują się ideologią". „Elity wmawiają wam, że Boga nie ma, śmieją się z Biblii, zacofania, a za waszymi plecami kultywują Szatana (...). I dalej: „Słowo elita w Polsce stało się karykaturą samego siebie. (...) nie wyrasta z mądrości – ona jest produkowana jak towar".

I jeszcze: „Polacy widzą, że wielu z tych, którzy udają elitę, to po prostu zwykłe pały – głośne, puste i nadęte". „Liberalizm nie istnieje, był ideologią służącą przejęciu władzy przez nowe elity i dziś nie jest im już potrzebny". I dalej, żeby się utrzymać w klimacie: „Poziom bezczelnej arogancji przedstawicieli liberalno-lewicowych środowisk politycznych i medialnych jest zatrważający. Ci ludzie naprawdę myślą, że stanowią jakąś »elitę« narodu i są uprawnieni do rządzenia pustymi, biednymi i przemocowymi »Polaczkami«?". „Elity tzw. kolektywnego zachodu to zdemoralizowane szumowiny. Czas tych gadów dobiega końca, a oni o tym doskonale wiedzą", „elity europejskie: zboki, narkomani, mordercy".

Odezwał się i Leszek Miller, który napisał po aktach Epsteina: „Ta sprawa pokazuje zgniliznę nie tylko amerykańskiej, ale także europejskiej elity, bo przecież ona swoimi mackami sięga do krajów europejskich (...)". Bronisław Wildstein w „Sieciach" rzucił sprawę na szersze tło: według niego ta sprawa „pokazuje, do czego prowadzi globalizm, jeden z wykwitów ideologii emancypacji. Ludzie wyzwoleni z tradycyjnych wspólnot nie rozkwitają. Degenerują się". I jeszcze jeden cytat z Wildsteina: „Oto spełnienie, które proponuje liberalna ideologia. Globalne elity wyzwoliły się z jakiejkolwiek partykularnej tożsamości, z wszelkich ograniczeń związanych z rolą społeczną i kulturowym modelem". Prof. Andrzej Nowak zaś w Kanale Zero zauważył: „mamy najgorsze elity w Europie".

„Byliśmy głupi" w nowych wersjach. Pojawiły się też całe teorie w wersji skróconej: „Są na świecie dwa rodzaje zdegenerowanych elit: 1. Elity złodziejskie, ale wciąż patriotyczne. 2. Elity złodziejskie, uprawiające prywatę po trupie państwa". Pierwszy typ to podobno Putin, bo jednak mimo wszystko „dba o interes narodowy". Drugi typ zaś „mamy w Polsce". Potem następują wyjaśnienia, „dlaczego polskie elity to parszywcy sprzedający kraj". ▶

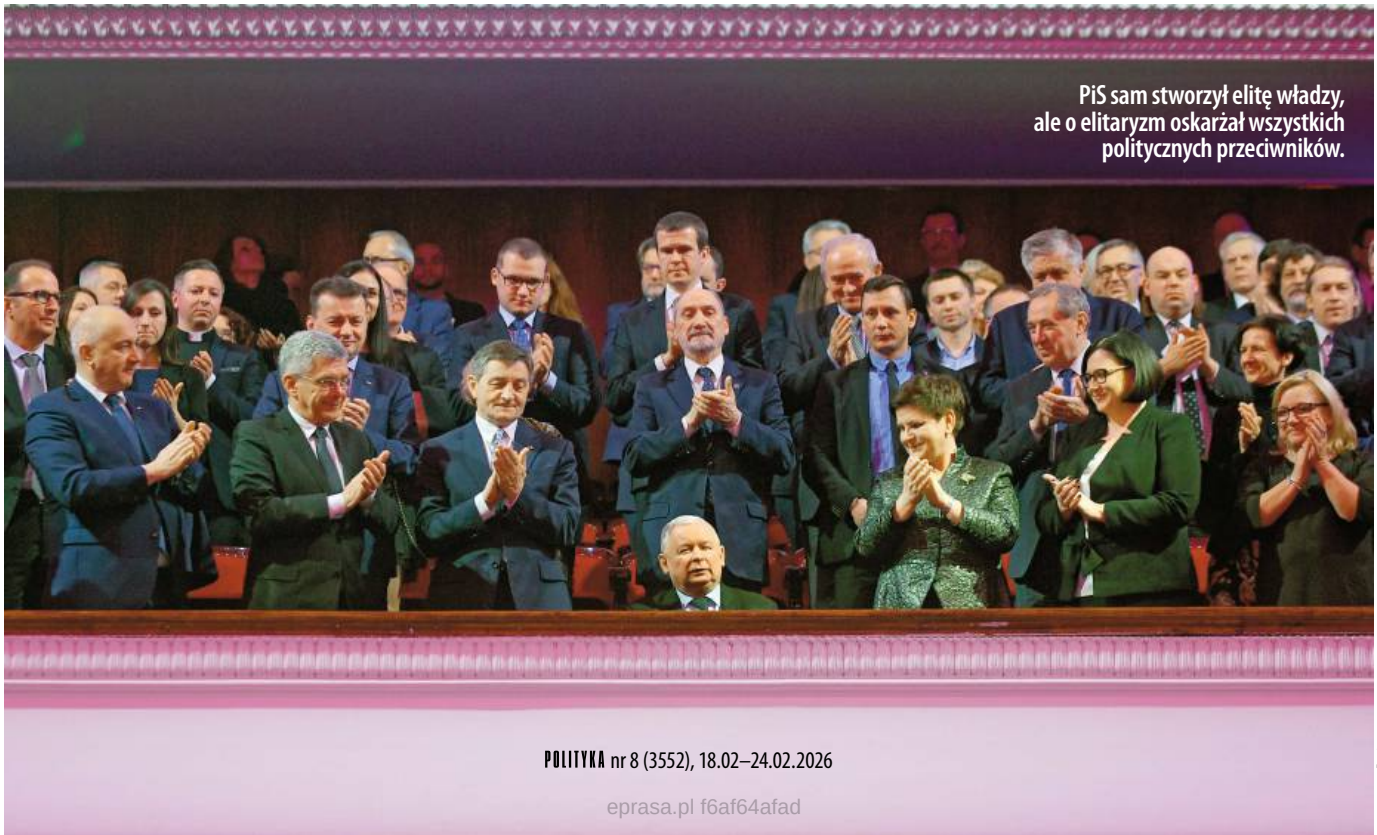

PiS sam stworzył elitę władzy, ale o elitaryzm oskarżał wszystkich politycznych przeciwników.

© ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

eprasa.pl f6af64afad

▶ Pierwsza odpowiedź: „bo na patologię i zdradę kraju mają przyzwolenie społeczne". Poza tym ma istnieć „zmowa milczenia między partiami", z których każda ma coś za uszami, więc siedzi cicho i się nie wychyla. Marusz Zielke napisał na X: „Elity są brudne, zepsute, popełniają czyny obrzydliwe i przekupują media, żeby te to kryły i nie robiły swojej pracy. Wielki szok teraz?".

Pękła zatem kolejna tama, zza której wylały się wszystkie stare żale i nowe zarzuty wobec tzw. elit, i to w zdwojonej dawce, podczepienie polskich realiów pod globalną aferę przyszło łatwo. Grunt został zrobiony już dawno, a na dobre od czasu, kiedy PiS powrócił do władzy w 2015 r. Wówczas powstała czarna legenda o gardzeniu ludem, wywyższaniu się warszawsko-krakowskiego salonu, o tym, że tamto zwycięstwo partii Kaczyńskiego było prostą konsekwencją niezrozumienia „nastrojów prowincji", a odczucia tego elektoratu są z natury rzeczy ważniejsze, ponieważ duże miasta zawsze miały słabszą pozycję moralną.

To wtedy pojawiły się bardzo żywotne przekazy, że „dobrzy ludzie głosują na PiS", że „elity są antyreligijne" (ostatnio tę tezę wygłosił prof. Marcin Matczak, twierdząc, że liberałowie napędzają wyborców Grzegorzowi Braunowi), czy że elity nie pojmują cywilizacyjnych aspiracji do wielkości kraju, mierzonych projektami w rodzaju CPK.

Nieco ponad dekadę temu, po zwycięstwie PiS w 2015 r., podobną w duchu tezę sformułował prof. Marcin Król, głosząc – jak można było zrozumieć – w imieniu inteligenckich elit znaną wtedy i dość powszechnie aprobowaną w środowisku frazę: „byliśmy głupi". Choć to stwierdzenie zapewne było szczere i powiedziane w dobrej intencji, otworzyło drogę do całego cyklu samobiczowania się i korzenia środowisk demokratycznych przed „pogardzaną" nacjonalistyczną prawicą i „konserwatywną wrażliwością"; aż do dzisiaj.

Dobrzy ludzie głosują na Brauna. Teraz znowu można przeczytać np. o tym, że przy takim zachowaniu elit właściwie wszystko sprzyja Braunowi i jego formacji, zarówno atakowanie go, jak i przemilczanie, nie ma właściwie sposobu, aby mu się przeciwstawić, wszystko go wzmacnia. Czyli ponownie „coś w tym jest", jakoś należy do tego sukcesu „ludowego" Brauna nawiązać, coś można podpatrzeć, bo mainstream, jak to on, zdaje się znowu coś przegapił. Jeden z użytkowników X napisał, że Braun „piętnuje elity oderwane i niespełniające woli narodu, dlatego elity go nienawidzą".

Bo „elity" w ideologicznym ujęciu prawicy w zasadzie stale są winne, podejrzane, z nieusuwalnie złymi intencjami, a przy tym nieudolne. Choć nie wiadomo do końca, skąd się bierze ta wola zniszczenia narodowej tkanki, jaką z tego korzyść mają elity osiągnąć, dlaczego tak koniecznie chcą zguby, oddania kraju Niemcom, skąd ta zawzięta perfidia. Prawica nigdy nie zadała sobie trudu, aby podać tu jakikolwiek motyw poza wrodzonym, genetycznym złem tego „trzeciego pokolenia UB".

Nowe etykiety, stare podziały. W gruncie rzeczy to zawsze było szukanie nowej nazwy na tego samego wroga prawicy. Zmieniały się tylko daty i okoliczności. Po demokratycznym przełomie w 1989 r. mówiono o elitach postkomunistycznych, z którymi dogadała się elita postsolidarnościowa. Wyraźnie chodziło jednak także o wymiar finansowy, czyli wzbogacenie się ludzi dawnego systemu, którzy pozyskali do tego poparcie lewicowej części dawnej opozycji.

> „Dół" może być sobą, iść z podniesionym czołem, bez maski, ale „góra" musi się skradać, nie drażnić i przepraszać.

Na tym ekonomicznym motywie wkrótce potem ukuto etykietkę „elita liberałów", niewiele lepszych w tej narracji od postkomunistów. Ten wątek zaczął się wyczerpywać w minionej dekadzie, kiedy ludzie PiS po dojściu do władzy i obsadzeniu spółek, banków i agencji zaczęli się gwałtownie dorabiać, wielu zostało milionerami, to była nowa elita pieniądza.

Ciągnięcie dalej opowieści o nieprzyzwoicie majętnych liberałach i ubogich patriotach stało się mało wiarygodne chyba także dla pisowskiego elektoratu. Od tamtej pory do takiej retoryki częściej nawiązuje partia Razem. Prawica podnosi też wątek „świętości rodziny" jako elementu antyelitarnej tradycji, ale i tu nastąpiła zmiana, kiedy głośne stały się przypadki przemocy domowej, także rozwodów w atmosferze skandalu, dotyczące znanych postaci z tego środowiska. Także tu więc wiarygodność spadła.

Starcie przeniosło się zatem na poziom bardziej abstrakcyjny, ogólnych wartości, bez wdawania się w indywidualne historie. Dla prawicy krytykującej elity liczą się trzy główne wątki: narodowy, społeczny i kulturowy – przerobione na propagandowe potrzeby. Pojawiło się określenie „elity kompradorskie", czyli zaprzedane siłom zewnętrznym, uległe wobec zwłaszcza Niemiec, kosmopolityczne i wynarodowione. Podkreślany jest „kolonializm" elit, ich uległość wobec Brukseli, Niemiec i Ukrainy (podporządkowanie interesom USA jest traktowane znacznie łagodniej). To stąd się wzięło dawniejsze „kondominium rosyjsko-niemieckie", a ostatnio określenie Kaczyńskiego o Koalicji Obywatelskiej, że to „partia zewnętrzna".

Kluczowe dwie płcie. Oprócz tej pierwszej linii podziału są inne. Modne ostatnio jest podkreślanie, że rozróżnienie na lewicę i prawicę nie ma już takiego znaczenia, bo liczy się tylko podział góra–dół. Przez swoją niejasność i skrótowość to przeciwstawienie jest politycznie wydajne, bo wystarczy powiedzieć, że zeszłoroczne wybory prezydenckie wygrał „dół" i było to ostrzeżenie dla „góry". Bo „góra" zawsze dostaje lekcje pokory, nie uczy się i powtarza stare błędy. Nie rozumie, że aby wygrać, musi stać się „dołem". Ale jeśli chciałaby nim zostać, to będzie w tym od razu niewiarygodna i nieszczera jako marna podróbka. „Dół" może być sobą, iść z podniesionym czołem, bez maski, ale „góra" musi się skradać, nie drażnić, nie chwalić się niczym i przepraszać, bo społeczeństwo „jeszcze nie dojrzało do pewnych rozwiązań".

Aż dziwne, że ten psychopolityczny szantaż, który rozpoczął się gdzieś około 2005 r., po pierwszym sukcesie wyborczym PiS, zachował swoją żywotność do dzisiaj, po 20 latach obecności w Unii, po wielu sukcesach ekonomicznych kraju i wzroście stopy życiowej. Jednak te wdrukowane kiedyś przez PiS propagandowe skrypty wciąż drążą zbiorową świadomość: nadal trzeba się przed „ludową" prawicą tłumaczyć, raportować, nie przesadzać, nie wychylać, bo się zdenerwuje słynny konserwatywny środek, którego elity nigdy nie doceniały, i ucieknie do Kaczyńskiego, Mentzena i Brauna. Pytanie

eprasa.pl f6af64afad

tylko, ilu ucieknie zirytowanych kunktatorstwem demokratów. To lawirowanie i kamuflowanie się obozu liberalnego trwa przez dekady. Już za pierwszych rządów Platformy i PSL Donald Tusk musiał się liczyć z tym, „co powie na to PiS", i nie przeprowadził wielu modernizacyjnych projektów przy prezydencie ze swojego politycznego obozu, bo z boku dyszał mu „tradycyjny" Kaczyński.

Ale może najbardziej w rozprawie z elitami liczy się teraz pakiet ideologiczny: klimat, LGBT, aborcja, związki partnerskie, obca kulturowo imigracja, kwestia płciowości itp. Dwie płcie leżą absolutnie w centrum prawicowej wyobraźni – to, co się dzieje wokół tego pojęcia, przybiera wręcz poziom obsesji i staje się być może najważniejszą deklaracją polityczną tego środowiska (ostatnio w Sejmie o dwóch płciach mówił poseł Błaszczak w dyskusji na temat programu zbrojeniowego SAFE). Jarosław Kaczyński kilkakrotnie podnosił ten wątek, usprawiedliwiając rozmaite kontrowersje wokół Donalda Trumpa właśnie tym, że amerykański przywódca jest przez polską prawicę postrzegany jako największy obrońca tego tradycyjnego podziału, może zaraz po Orbánie. Według konserwatystów to właśnie zdegenerowane elity opowiadają się za niejednoznaczną identyfikacją seksualną, co ma prowadzić do zniszczenia tkanki społeczeństwa.

Kto właściwie jest elitą? Z sondażu POLITYKI i Kantara z 2017 r. na temat społecznego postrzegania elit wynikało, że dla blisko 80 proc. zapytanych to po prostu ludzie najbogatsi, a dla 70 proc. znani artyści, celebryci i właściciele mediów, niewiele pod nimi politycy i lekarze, zaraz potem przedsiębiorcy, a kilka procent niżej oficerowie wojska i policji. Ale najciekawsze było to, że respondenci badania zapytani, czy sami siebie zaliczyliby do jakiejkolwiek elity, w 94 proc. odpowiedzieli gremialnie „nie", tylko 2 proc. było innego zdania. To było już po rozpoczęciu drugiej pisowskiej rewolucji, gdzie tzw. elity były przedstawiane jako wrogowie społeczeństwa, co zapewne wpłynęło na wyniki sondażu. Ale też świadczyło, i tak jest do dzisiaj, o kompletnym wykrzywieniu i zakłamaniu tego pojęcia przez prawicę, która oderwała je od socjologii i wtłoczyła w czystą politykę, gdzie elitą nie był bogaty partyjny aparatczyk PiS, ale była nią emerytowana nauczycielka protestująca przed gmachem sądu przeciw reformom ministra Ziobry. W rozszerzającej interpretacji, jaką chce narzucić prawica, pod elitę dałoby się podciągnąć właściwie całe 10 mln wyborców Rafała Trzaskowskiego z ostatnich wyborów prezydenckich. Na tym polega ta narracyjna operacja.

Wciąż skuteczny chwyt na antyelitarność. Na przeciwstawieniach „elita kontra lud", „góra" kontra „dół", „ludzie kontra klasa chroniona" ostatnie wybory prezydenckie wygrał Karol Nawrocki. Wszystkie przymioty Trzaskowskiego działały na jego niekorzyść: pochodzenie, wykształcenie, znajomość języków, doświadczenie na państwowych stanowiskach. W każdej z tych kategorii Nawrocki miał przewagę właśnie dzięki temu, że wypadał gorzej, czyli lepiej, bo na tym polega dzisiejsza odwrócona logika polityczna. Trump jest rzecznikiem biednych, bo jest miliarderem, Orbán broni prawdziwej Europy, ponieważ jest sojusznikiem Putina, Europa będzie tym silniejsza, im będzie słabsza itd. Prawicy to się składa, ponieważ uwolniła się od wymogu niesprzeczności.

> Według prawicy elitą staje się w zasadzie całe 10 mln wyborców Rafała Trzaskowskiego z ostatnich wyborów prezydenckich.

Opowieści o elitach o podobnej zawartości logicznej z pewnością pojawią się w przyszłym roku w kampanii parlamentarnej, ponieważ nieraz zdały egzamin. Elitą zostaną nazwani wszyscy przeciwnicy trzech obecnych formacji prawicowych, to będzie największa procentowo elita w skali światowej, mniej więcej połowa społeczeństwa. Część publicystów ze strony liberalnej znowu będzie powtarzać stare przekazy o wywyższaniu się „młodych, wykształconych, z wielkich miast" (to określenie jest używane szyderczo) i pomagać w budowaniu obrazu dobrodusznych, swojskich konserwatystów, których każdy ma przecież w rodzinie.

Prawica będzie mówić o cenionej przez Polaków normalności, zagrożonej przez zepsute unijne elity, mające swoich popleczników w kraju, a „elity" dostaną łatkę tych, którzy „znowu niczego nie zrozumieli", działają tak, że prawica „już nic nie musi robić". Ponownie połowa wyborców będzie zawstydzana, stawiana do kąta, wpędzana w poczucie winy, że nie jest prowincją, nie szanuje tradycji, wstydzi się polskości, ulega obcym wzorcom, w dodatku nieamerykańskim itd.

Stare kompleksy, nowi wyznawcy. Zastanawiająca jest każdorazowa skuteczność tej narracji i jej długofalowy wpływ. Widać to choćby po reakcji części zdeklarowanych wcześniej w mediach społecznościowych wyborców Trzaskowskiego po jego przegranej. Zaczęli chwalić Nawrockiego, stwierdzili, że okazał się znacznie lepszy, niż sądzili. Tak jakby obrazili się na swoje poprzednie poglądy i dotychczas popieranych polityków, nie dostrzegając, że w istocie przechodzą na drugą stronę i realizują wizję Bielana i Szefernakera, którzy doliczają sobie teraz nowo pozyskanych zwolenników do politycznego biznesplanu.

Bez wyzbycia się kompleksu gorszości, w który liberalne środowiska wpędza „ludowa" prawica, nadchodzące wybory mogą zostać przegrane w przedbiegach. „Elitarność" jest w tej grze tylko politycznym wytrychem, instrumentem bez realnej społecznej treści, ten epitet ma tylko wzbudzać niepewność wartości, powiększać poczucie demobilizacji. Bo cały czas chodzi o posiadanie przewagi psychologicznej, a demokratyczna „elita" bardzo rzadko ją w ostatnich latach miała. Straciła tę przewagę już pewnie około 2012 r., kiedy zaczął zyskiwać PiS, i odzyskała – na krótko jak się okazało – w 2023 r.

Teraz trwa intensywna operacja marketingowa, aby – zwłaszcza po porażce Trzaskowskiego – znowu wytrącić tzw. elity, jak je definiuje prawica, z równowagi. Nie powinny mylić niezbyt teraz imponujące wyniki sondażowe PiS. Ten atak na „górę", także przy wykorzystaniu ohydnej afery Epsteina, ma charakter ogólniejszy, służący całej prawicy, która potem jakoś podzieli się swoimi wpływami i dogada. A druga strona będzie znowu po czasie rozważać, jak to była za mało prawicowa i tradycyjna, jak się wywyższała i nie doceniała „zwykłych ludzi". Przełamanie tego powtarzalnego dotąd schematu będzie kluczem do zwycięstwa obecnej koalicji w 2027 r.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl f6af64afad

Mowa

ILUSTRACJE **MARTA FREJ**

eprasa.pl f6af64afad

nie mową

Czy ludzie w przyszłości będą jeszcze mówić? Wygląda na to, że fundamentalna umiejętność, która uczyniła nas prymusami ewolucji, jeśli nie zanika, to jest w poważnym kryzysie.

EWA WILK

Coraz częściej i coraz liczniejsi spośród nas mamroczą odwróceni bokiem do rozmówcy, ledwie otwierają usta. Pewnie równie liczni popadają w słowotoki bez kropek i przecinków, wplatają w monotonne paplaniny rozmaite wypełniacze i podpórki (z przekleństwami w przewadze), pokrzykują i pohukują (z kolejnymi prezydentami kraju na czele).

W kryzys popada wszystko, co z wysławianiem się jest związane: artykulacja, intonacja, akcentacja, gramatyka, kultura języka, a przede wszystkim dbałość o sens i treść tego, co ludzie z siebie wydobywają. Magdalena Zawadzka, sławna aktorka, uhonorowana tytułem Mistrzyni Mowy Polskiej, powiada, że sposób wysławiania się rozciąga się na skali między mową elegancką a prostacką. I rozpowszechnia się ta niewyraźna, niechlujna, pełna złych nawyków i rażących (a raczej mało już kogo rażących) błędów.

Przyczyny? Splot okoliczności społecznych, technologicznych, medycznych, psychologicznych, które – można zaryzykować tezę – pchają *Homo sapiens* w kierunku *Homo mutus* – człowieka milczącego. Zaczyna się to od współczesnego dzieciństwa.

Ciche dzieci

Dr hab. Natalia Siudzińska, prof. UW, która na polonistyce kieruje Zakładem Logopedii i Emisji Głosu, a także od lat pracuje jako logopeda z młodzieżą i małymi dziećmi, spotyka się wcale nierzadko z przypadkami mutyzmu w sensie ścisłym, tak jak go definiuje psychologia: zaburzenie lękowe, objawiające się zazwyczaj niemożnością mówienia np. w szkole, gdy w bezpiecznych, domowych warunkach nie ma z tym problemów. – *Logopedzi* – mówi prof. Siudzińska – *są dziś maksymalnie obciążeni pracą. Coraz powszechniejsze wśród dzieci opóźnienia i zaburzenia rozwoju mowy, a także towarzyszące temu wady słuchu mają liczne, nakładające się na siebie źródła.*

Podstawowe to styl życia codziennego – ustawiczny pęd, wieczny niedoczas, wielozadaniowość, niecierpliwość. Ginie w tym coś, co powinno być oczywiste: nauka mówienia. – *Rodzice, nawet ci świadomi i dbający o rozwój dziecka, często nie zdają sobie sprawy, że mowa nie kształtuje się samoistnie* – mówi prof. Siudzińska. – *Nie nauczy jej telewizor, smartfon, tablet. Potrzebna jest tu interakcja. A na to często nie ma czasu.*

Pokolenie współczesnych rodziców to ludzie, dla których sieć i przyrządy gwarantujące do niej dostęp to naturalny ekosystem. Dom nie jest miejscem, w którym z niego się wydostają. Ekrany i ekraniki świecą, ciszę mąci plumkanie komunikatorów. Prof. Siudzińska obserwuje, że pogląd, iż dziecko do drugiego roku życia nie powinno mieć nawet epizodycznego kontaktu z ekranem, nie znajduje zrozumienia – coraz młodsze dostają w ręce urządzenia elektroniczne. Szybka akcja bajek, filmików i gier, nieustanny emfatyczny wrzask dobiegający ze ścieżki dźwiękowej wystawia ich mózgi na próbę, której nie są w stanie sprostać. Te bodźce są za szybkie, pobudzone nimi emocje zbyt gwałtowne, więc trudne do wyhamowania.

Na to nakładają się chroniczne infekcje kataralne i alergie – zdrowotne plagi współczesnego dzieciństwa. Prof. Siudzińska objaśnia, jak bywają zgubne dla umiejętności mówienia, ale i słyszenia: dziecko z zatkanym nosem oddycha przez usta, odruch ten staje się nawykiem, w efekcie nie dochodzi do tzw. pionizacji języka, która niezbędna jest dla prawidłowej wymowy wielu głosek w polszczyźnie. – *Efektem może być nienaturalny rozrost tzw. trzeciego migdałka, co czyni oddychanie przez usta jeszcze trwalszym nawykiem. To z kolei może prowadzić do zaburzeń drożności trąbek słuchowych, co skutkuje zaleganiem płynu oraz pogarszaniem się słuchu. Zubożony lub zniekształcony sygnał dźwiękowy docierający do mózgu, zwłaszcza u małych dzieci, może istotnie wpływać na rozwój mowy oraz przetwarzanie słuchowe (ucho odbiera dźwięki, ale mózg niewłaściwie je analizuje i interpretuje). Nieprawidłowy tor oddechowy sprzyja też powstawaniu wad zgryzu. Do tego dochodzi powszechna dziś dziecięca dieta oparta na gotowych papkach, przecierach, musach. Dzieci za rzadko gryzą, co osłabia naturalny rozwój aparatu żucia. W efekcie zęby wyrzynają się nieprawidłowo, wady zgryzu są na porządku dziennym, a to też źle wpływa na prawidłową artykulację.*

Mamrocząca młodzież

Te problemy są do rozwiązania, pod warunkiem że dziecko w odpowiednim czasie spotka się z logopedą, audiologiem, foniatrą, ortodontą, psychologiem itd. Te konieczności czynią współczesne rodzicielstwo nieznośnym wyścigiem z zagrożeniami. Wielu rodziców poddaje się walkowerem z powodów czasowych i finansowych. I rośnie kolejne pokolenie, coraz bardziej milczące, a gdy już milczeć się nie da, mówiące nieznośnym, monotonnym tokiem bez otwierania ust i patrzenia w oczy rozmówcy.

Dr Wojciech Rutkiewicz, nauczyciel filozofii i WOS, jest dyrektorem zarządzającym w kameralnym, prywatnym Liceum LIFE SKILLS w Warszawie, gdzie umiejętność publicznego wypowiadania się traktowana jest jako jedna z niezbędnych umiejętności życiowych.

Młodzi ludzie, którzy stają w progach tej szkoły, to zwykle typowi przedstawiciele swojego pokolenia; jak obserwuje dr Rutkiewicz – z roku na rok coraz bardziej zagubieni. Coraz trudniej podjąć im decyzję, coraz trudniej wyartykułować nawet swoje oczekiwania wobec szkoły: czy chcą się tu intensywnie uczyć, czy spodziewają się świetnych kolegów, dobrych nauczycieli? Poprzestają na tym, że słyszeli – to fajna szkoła. Jakby pętała ich jakaś paraliżująca obawa. Nauczyciel ją precyzuje: to strach przed oceną. Młodzież jest pod ekstremalną presją psychiczną w wieku, gdy przynależność do grupy rówieśniczej jest fundamentalną ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ potrzebą psychiczną; przytłoczona nieznośnie ciężką chmurą obaw, że cię zobaczą, usłyszą, wyśmieją, wyszydzą, uczynią kozłem ofiarnym. Strategią obronną przed dyktatem oceny jest mowa – manierycznie bełkotliwa, niedbała i niechlujna, jakby miała być komunikatem: jestem sobą, mam w nosie konwencje. Konwencją stały się wulgaryzmy, chwilowo modne „młodzieżowe słowa roku" (które bardzo szybko stają się kompromitującymi archaizmami), ubogi kod językowy.

A tak w ogóle to najlepiej nie mówić, nawet przez telefon, nie dzwonić, nie odbierać telefonów. Jak już trzeba, to wysłać emotikona albo *głosówkę*, czyli się nagrać i poczekać na *głosówkę* w odpowiedzi. Absurd? Nie, bo zapewnia kontrolę nad tym, co człowiek mówi. Zmniejsza ryzyko kompromitacji, niezrozumienia. Jakby strach przed oceną zamieniał się w strach przed mówieniem w ogóle (o telefobii pisaliśmy w POLITYCE 49/25).

Stąd w programie szkoły znalazły się tzw. debaty oxfordzkie i mowy użyteczne. Pierwsze przedsięwzięcie polega na sformalizowanej debacie nad kontrowersyjną tezą, gdy jedna drużyna ma dowodzić jej prawdziwości, a druga ją podważać. Przypisanie drużyny do określonej strony następuje tuż przed samą debatą, więc każdy z zespołów powinien być przygotowany do prowadzenia sporu po obu stronach.

Natomiast tzw. mowy użyteczne to konkurs indywidualnych, przygotowywanych przez co najmniej kilka tygodni wystąpień po polsku i po angielsku przed publicznością (koledzy, nauczyciele, rodzice) na temat zadany lub przez siebie wymyślony, który młodych ludzi bardzo obchodzi. Przykłady tematów: „Unia Europejska powinna przyjąć cło klimatyczne", „Czy inne pokolenia rozumieją potrzeby młodzieży?".

Wojciech Rutkiewicz zaznacza, że liczy się forma wystąpień, choć aktorzenie jest tępione. Ale głównie chodzi o treść: uczciwość w sensie logiki wypowiedzi, szczerość, głębia. Te edukacyjne pomysły mają bowiem służyć nie tyle mówieniu dla ładnego mówienia, ile nauce podejmowania samodzielnych, świadomych decyzji i umiejętności ich uzasadniania; nauce radzenia sobie z emocjami, krytyką, porażką; wreszcie – nauce odróżniania prawdy od fałszu. Czyli wszystkiego, co w sensie psychologicznym stoi za niechęcią czy niemożnością wysłowienia się.

Prof. Siudzińska mówi, że niezażegnane w porę kłopoty z wczesnego dzieciństwa wpływają na dalsze życie człowieka. W młodości objawiają się one m.in. zaniżoną samooceną, postawą: „wiem, ale nie się wychylę", nadaktywnością i nadruchliwością, a także zbyt łatwo wyzwalaną agresją. A to młodzieńcze byle jakie mówienie bywa sposobem zamaskowania owej niezawinionej słabości psychicznej.

Niesłyszący dorośli

Bezpośrednia rozmowa – podkreśla prof. Siudzińska – wymaga nie tylko słyszenia (i słuchania), ale też odczytywania mimiki, języka ciała, patrzenia w oczy. I trafnej interpretacji tego, co słyszymy, czyli również odczytywania ironii, przenośni, porównania. A to dla mózgu duży wysiłek. Więc ludzie coraz częściej go unikają.

Prof. Waldemar Kuligowski, antropolog kulturowy z UAM, pisarz, publicysta i świetny nauczyciel akademicki, powiada, że ta ubogość komunikacyjna odbija się na jego pracy – jest zmuszony upraszczać językowo wykłady dla studentów, unikać niejednoznaczności, bo jest to coraz mniej czytelne i zrozumiałe. Musi być prosto: jest tak i tak, kropka. Miewa kłopot ze skłonieniem studentów do bezpośredniej rozmowy z nieznanym dotychczas człowiekiem, a jest to istota badań antropologicznych. Tłumaczą: nie dam rady, nie przeskoczę tego.

Uczą się i studiują dziś ci, dla których pokoleniowym doświadczeniem była pandemia Covid-19. Doświadczyli izolacji w wieku, gdy człowiek uczy się żyć z innymi ludźmi.

Jaka praca ich czeka? Coraz częściej zdalna. GUS podaje, że zdalnie pracuje trochę ponad 10 proc. Polaków, ale w innych źródłach można wyczytać, że w niektórych branżach – IT, marketing, media – ten odsetek sięga 70 proc. Niewiele tu zaznaje się kontaktu z przełożonymi, podwładnymi, kolegami. Narady, konferencje, odprawy, seminaria (nazywane webinarami) przeniesione na platformy w rodzaju Zoom czy Teams często polegają na prostym wygłoszeniu należnego komunikatu przez kolejnych mówców, którzy zaraz potem udają się w niebyt, wyłączając się z fonii i wizji. Przedłużanie telespotkań wymianą myśli, żartem, jakąkolwiek interakcją (chyba że na czacie) nie należy do dobrego tonu.

Nie sposób tu pominąć najbardziej oczywistych skutków pandemii, odczuwalnych nie wiedzieć jak długo jeszcze. Ewa Gacka, logopedka pracująca m.in. na Uniwersytecie Łódzkim, przeprowadziła niewielkie badania wśród byłych poważnie chorych na covid: 41 proc. jej respondentów przyznało się do problemu z odnalezieniem i użyciem właściwych słów w trakcie wypowiedzi, 39 proc. określiło te trudności jako „zapominanie słów", 36 proc. nazwało swą dolegliwość „mam to na końcu języka". Co piąty badany przyznał, że ma trudność z utrzymaniem wątku rozmowy, tyle samo zasygnalizowało kłopoty z pisaniem (mylenie, przestawianie, opuszczanie liter). Wydawać by się mogło, że pandemia skłoni ludzi do czytania literatury i dłuższych form pisarskich, a to właśnie obcowanie z nimi najskuteczniej wzbogaca słownictwo i uczy konstrukcji wypowiedzi od wstępu do pointy. Nic z tych rzeczy.

Wedle dorocznych badań Biblioteki Narodowej lekturę co najmniej jednej książki w ciągu roku deklaruje 41 proc. Polaków. To i tak postęp, bo w latach 2021–22 było to zaledwie 34 proc. (w szczycie pandemii!). Ale tych, którzy mieli w rękach ponad 7 pozycji, jest wśród nas zaledwie 7 proc. Oczywiście ci kształcący się i wykształceni na poziomie wyższym czytają więcej, ale i wśród nich odsetek kompletnie niekontaktujących się z dłuższą lekturą jest zadziwiający: ponad 40 proc. młodzieży 15–18 lat i prawie połowa magistrów. „W żadnej grupie społecznej lektura książek nie jest praktyką powszechną" – zaznaczono w raporcie. I dodano: „Lektura cyfrowa to margines – tylko co dwudziesty czytelnik wskazał książkę elektroniczną jako jedną z tych przeczytanych w ostatnim roku".

Co nie znaczy, że nie czytamy w sieci – jednak głównie siebie wzajemnie na platformach społecznościowych. Można odnieść wrażenie, że to nie ludzie uczą mówić wymyślone przez siebie narzędzia, coraz intensywniej kolonizowane przez AI, ale zaczyna być odwrotnie. Algorytmy, kierujące treści do zainteresowanych nimi ewentualnie odbiorców, działają na zasadzie wyławiania najczęściej „klikanych" słów.

Więc coraz częściej mówi się tak, jak się pisze na forach społecznościowych: dosadnie, bez grzecznościowych zahamowań, *wyraziście*, żeby być zauważonym. Wydaje się, że nikomu już się nie chce wymieniać poglądów, wyprowadzać z błędu, zwracać uwagi na nieścisłości. W przestrzeni publicznej dominuje głoszenie przekonań tonem nieznoszącym sprzeciwu i atak aż do *zaorania* przeciwnika. Co potwierdzają każdego

eprasa.pl f6af64afad

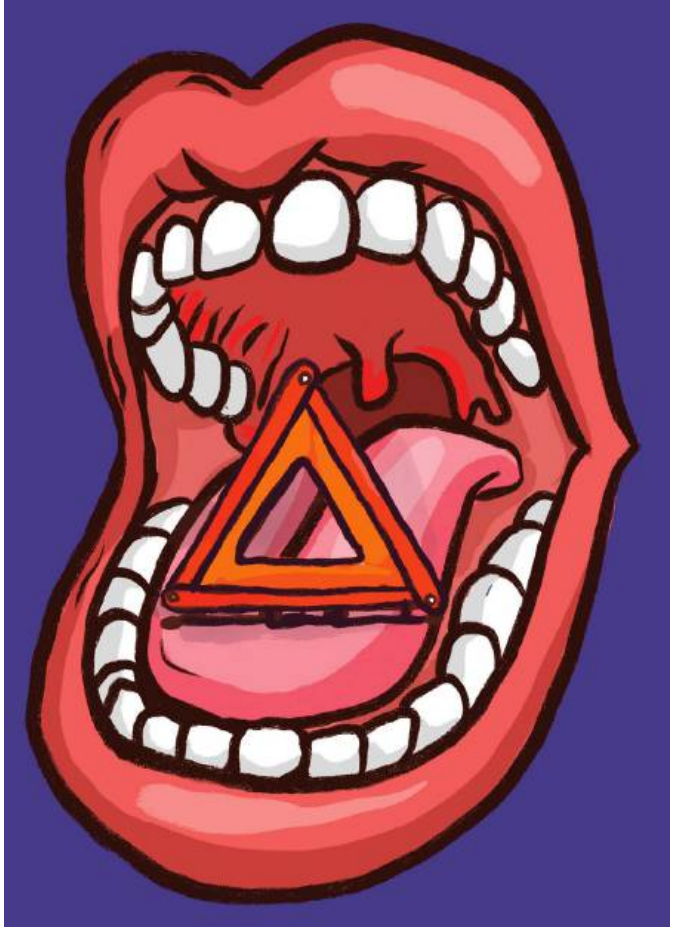

dnia politycy zapraszani do radia i telewizji, wchodząc sobie wzajemnie w słowo, odpowiadając na pytania tak, by nic nie powiedzieć, bezwstydnie kłamiąc. Ich tyrady i słowotoki jako żywo bywają kontynuacją tego, co głoszą w jadowitych internetowych wpisach. Jakby uważali, że mówiąc donośniej, brzmią donioślej.

Tylko 300 słów

Kulturalne i bezbłędne mówienie wypadło z zasad kindersztuby i savoir vivre'u. Magdalena Zawadzka wspomina, że w domu rodzinnym uczono jej mowy eleganckiej niczym jedzenia nożem i widelcem, a potem w PWST rzemiosła: wyraźnej wymowy, emisji głosu, dykcji, poprawnej akcentacji, szeptu scenicznego, który słychać na odległość.

Aktorka mówi, że nie chce się wpisać w ogólny trend mówienia po chamsku. A ono jest wszechobecne bez względu na zawód, status społeczny, wykształcenie. Jakby wszyscy zapragnęli być *cool*. Bo oto np. ktoś z jej fachu w wywiadzie prasowym powiada „zapierdzielam od rana do wieczora". – *Już lepiej, żeby powiedział bez tego zmiękczonka, takiej milusińskiej wersji* – wcale nie żartem mówi Magdalena Zawadzka. I przedstawia całą listę tolerowanych dziś bez specjalnego sprzeciwu błędów: włanczam/wyłanczam, półtorej roku, ubrać buty, takom/jakom, renkom/nogom, wrócić z powrotem, kontynuować dalej, wziąść i tak dalej bez końca. I zwraca uwagę na niechęć Polaków do korzystania z przebogatego w polszczyźnie zasobu przymiotników zredukowanych do jednego: zajebisty.

Słowniki języka polskiego zawierają od 140 tys. do nawet 200 tys. słów. Ile wystarcza współczesnemu Polakowi do codziennego komunikowania się z rodakami? 300 (słownie trzysta!) – tak wynika z badań prowadzonych nie tak dawno na uniwersytetach w Łodzi i Wrocławiu. Wśród słów najczęściej używanych cztery pierwsze miejsca zajmują wulgaryzmy, a kolejne – zaimek „ja".

Z ogromnego językowego zasobu przeciętnie rozpoznajemy znaczenie ok. 100 tys. terminów; im mniej – tym gorzej człowiek rozumie to, co słyszy i czyta. A tu Polacy ponoszą widowiskową klęskę. W 2012 r., a następnie w 2023 r. pod egidą OECD przeprowadzono międzynarodowe badania PIAAC (*Programme for the International Assessment of Adult Competencies*): Polska znalazła się w grupie państw o najniższych wynikach, jeśli chodzi o podstawowe umiejętności człowieka dorosłego, jak poprawne odszyfrowywanie np. instrukcji użycia rozmaitych sprzętów, map pogody, rozkładów jazdy. Zajęliśmy trzecie miejsce od końca pośród 31 państw. Lub inaczej: jesteśmy na podium, jeśli chodzi o tzw. analfabetyzm funkcjonalny. 39 proc. spośród nas miało trudności z rozumieniem tekstu. W ciągu dekady dzielącej obie edycje badań jeśli coś się zmieniło, to tylko na gorsze. Polscy magistrzy radzą sobie z tym wszystkim znacznie słabiej niż Skandynawowie czy Japończycy z wykształceniem średnim .

Cisza przyszłości

W wielu sytuacjach społecznych, gdy kilkoma słowami, przyjaznym gestem, delikatnym uśmiechem człowiek człowiekowi dawał sygnał dobrych intencji, zapadała cisza. Komórka stała się tarczą ochronną przed nawiązaniem jakiejkolwiek relacji z drugą osobą. Zwłaszcza młodzi ludzie zdają się stosować to urządzenie w funkcji społecznego izolatora w autobusach, tramwajach, metrze, pociągach – dziwne, jeśli ktokolwiek z nich nie ma słuchawek w uszach i kciuka w ustawicznym ruchu po klawiaturze. Odgradzają się, wyznaczają strefę nieprzekraczalną dla innych.

Bo trudno utrzymywać, że wszyscy na okrągło śledzą tam pilne informacje i załatwiają niecierpiące zwłoki sprawy. Zwykle oglądają memy (powstaje ich na świecie ok. 6 mln dziennie), zdjęcia, filmiki. Bywalcy platform społecznościowych wiedzą doskonale, że najbardziej finezyjny wpis nie zostanie tak olajkowany, jak byle obrazek. Na rzecz tezy, że ludzkość wraca do pisma i komunikacji obrazkowej, przemawia liczba wykreowanych dotychczas emotikonów: AI szacuje ją na 3,6 tys.

Słyszy się niekiedy, że świat ogarnia jakaś osobliwa epidemia autyzmu. To oczywiście metafora, bo autyzm żadną miarą nie jest przypadłością zakaźną. Ale coś jest na rzeczy. Dziesięć lat temu świat obiegła książka amerykańskiego pisarza i publicysty Steve'a Silbermana „Neuroplemiona. Dziedzictwo autyzmu i przyszłość neuroróżnorodności", będąca wnikliwym reportażem ze świata osób zmagających się z autyzmem, a jednocześnie rozprawą popularnonaukową. Jedna z tez autora wciąż wydaje się warta zastanowienia: osoby ze spektrum autyzmu w ogromnej mierze są architektami sieciowej komunikacji, a czołowe firmy z branży big tech otwarcie poszukiwały pracowników obdarzonych nieprzeciętnymi zdolnościami matematyczno-inżynieryjnymi, często idącymi w parze z zaburzeniami w relacjach społecznych, co charakteryzuje tzw. autyzm wysokofunkcjonujący. Byłby zatem ten cyfrowy świat czymś, co to „neuroplemię" stworzyło dla siebie tak, by podtrzymywać dystans społeczny, a jednocześnie jednak się komunikować? I milknąca reszta ludzkości z ochotą to podchwyciła.

To tylko hipoteza. Ale pogadać warto, dopóki tu i ówdzie jeszcze rozmawiamy.

EWA WILK

eprasa.pl f6af64afad

Dozwolone od lat 80

W tym konkursie nie miało znaczenia, czy najlepsze nogi politechniki wygrają z najlepszymi nogami z baru mlecznego. Koron było 13, tyle ile biorących udział w konkursie Miss 80+, bo wszystkie kandydatki miały piękne życie.

KATARZYNA KACZOROWSKA FOTOGRAFIE **LESZEK ZYCH**

Nie 18, ale 80 – tyle lat musiały mieć skończone, żeby powalczyć o koronę miss. No i musiały być mobilne, bo konkurs nie jest czystą uprzejmością. Najpierw intensywne próby w szkole tańca. Później swoje trzeba było przejść jeszcze u krawcowych. Przed jury i publicznością należało się zaprezentować w trzech kreacjach: sukni koktajlowej, wieczorowej, no i w stroju sportowym. Do tego jeszcze fryzjerka, makijażystka.

Konieczne były również zdjęcie z młodości i biografia, bo w tym konkursie piękne życie liczyło się niemniej niż piękne nogi. Z tą biografią też był głębszy zamysł, bo poproś 100-latkę, żeby w skrócie opowiedziała o swoim życiu. A później to już wodzirej, cekiny i trzecie ogólnopolskie wybory Miss 80+ w Bydgoszczy można uznać za otwarte.

Kiedy 1 lutego widownia Auditorium Novum Politechniki Bydgoskiej zaczęła się powoli zapełniać, kandydatki do tytułu Miss 80+ były już po próbie generalnej. Ćwiczono wejście i zejście ze sceny, co przecież nie zawsze jest łatwe. Było też ostatnie dogrywanie tanecznych układów i szlifowanie zalotnych machnięć do publiczności. Jakkolwiek patrzeć, miss musi skraść nie tylko jej oczy, ale też serca. A później się zaczęło.

eprasa.pl f6af64afad

❶ **Korony przewidziano dla każdej z kandydatek.** ❷ **Trzeba było zaprezentować się m.in. w sukni wieczorowej.** ❸ **Organizatorka imprezy Bernadetta Michałek i rektor Marek Adamski.** ❹ Od lewej: **I wicemiss Elżbieta Frankus, miss publiczności Kunegunda Gajewska oraz Miss 80+ Anna Fabisiak.**

Z gracją, bo pierwsze wejście było w kreacjach koktajlowych. Ale i z nutką szaleństwa, bo w rytm songu Maryli Rodowicz „Niech żyje bal". Kiedy pierwsze panie wychodziły na scenę tanecznym krokiem, Maryla śpiewała: „życie, kochanie, trwa tyle, co taniec". A publiczność wiwatowała.

Ruszyć się bez „mercedesa"

Dzień przed tym balem nad bale Rozalia Tubisz (82 lata) przy drzwiach wejściowych do mieszkania zaparkowała „mercedesa", jak nazywa swój chodzik. Ale w trakcie wyborów na scenę weszła bez swojego codziennego towarzysza. Tym razem miała lepsze towarzystwo – młodego tancerza, który prowadził ją pod rękę. Uśmiechnięta, z charakterystyczną koroną z warkocza na czubku głowy. Kandydatka nr 8.

Zanim stał się ten cud, bo jeszcze niedawno nie była w stanie samodzielnie wstać z łóżka, zgodziła się opowiedzieć o swoim życiu. O tym, jak pracowała w Bydgoskich Zakładach Gastronomicznych, czyli w barze mlecznym. O tym, jak ten bar z czasem zamieniła na bufet, gdzie karmiła bydgoskich dziennikarzy. I o tym, jak w początkach polskiego kapitalizmu jeździła w interesach do New Delhi i Karaczi. Opowiada, meandruje. Wesołe historie łączy z tymi mniej wesołymi, jak to w 82-letnim życiu. A wszystkiemu przysłuchuje się mąż Rysiu. Pełen godnego spokoju, który nadaje mu fotografia, bo zmarł już 11 lat temu. Zanim pani Rozalia dzień później wyruszy na wybory, powie do niego: „To ja idę, Rysiu, a ty pilnuj mieszkania". W sumie śmierć to za mało, żeby sobie nie porozmawiać z mężem.

A i o mężu też chętnie opowiada. Ona po szkole gastronomicznej, ale żaden tam garkotłuk, tylko szczuplutka wariatka rozbijająca się po mieście własnym motorem. On zakochany i lekko obrażony, że na tym motorze musiał siedzieć z tyłu. Miał chłop szczęście do kobiet, bo żonę wybrała mu matka. – *W barze, w którym zaczęłam pracę, byłam pierwszym kucharzem. I któregoś dnia przyszła do nas pani na wypomóżkę* – opowiada pani Rozalia. I tłumaczy, że wypomóżka polegała na tym, że jak gdzieś w stołówce robili remont, to pracowników rozsyłano po czynnych barach. No więc przyszła ta pani, zaczęła się przyglądać drobnej Rozalce ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ i z tego przyglądania któregoś dnia powiedziała jej: „taką żonę dla mojego syna chcę”. I jak powiedziała, tak się stało. Półtora miesiąca im zabrakło, by mogli świętować półwiecze małżeństwa. Życie zawodowe też jakoś szybko zleciało. Świat na emeryturze to był dom, działka, wnuki i prawnuki. I tak się to kręciło bez niespodzianek. Stąd ten pomysł z wyborami, stąd też siła, żeby ruszyć się bez „mercedesa”. Rozalia Tubisz, pytana o receptę na dobrą starość, po chwili milczenia mówi: – *Pokonać trudności z godnością. Nie oczekiwać, że ktoś coś za mnie zrobi, ale też nie odrzucać ręki, jak mi ktoś ją podaje. Bo wtedy łatwiej iść tą drogą.*

Korony dla Matki Boskiej

Bernadetta Michałek ze Stowarzyszenia Fordońska Kopalnia Pomysłów sprawdza, czy uczelniany akustyk zna plan, czy przygotowane prezentacje są gotowe i czy kandydatki są już umalowane i uczesane. – *Bodźcem do zorganizowania wyborów była babcia moich przyjaciół. Zawsze patrzyłam na nią z podziwem. Dzisiaj ma blisko 90 lat. Sama w wyborach udziału nie weźmie ze względu na stan zdrowia. Ale to jej dedykowałam to wydarzenie. W hołdzie wszystkim seniorkom.*

Hołd Bernadetty Michałek odbył się już po raz trzeci. Za pierwszym razem były łzy radości i niedowierzania, że w bydgoskim domu kultury był taki tłum, że nie dało się pomieścić wszystkich, którzy przyszli kibicować kandydatkom. Przed drugą edycją wyborów Miss 80+ nastąpiła przeprowadzka do Auditorium Novum Politechniki Bydgoskiej. A trzecie podejście pokazało, że może trzeba będzie szukać jeszcze większej sali, bo kandydatki przyjechały z całej Polski.

Choć na początku w ogóle były wątpliwości, czy imprezę organizować. Miał je nawet Piotr Wargowski, prowadzący wybory Miss 80+. – *Nie wierzyłem, że się uda. Pomysł fajny, ale czy będą chętne?* – wspomina. – *Zaskoczenie, jakie przeżyłem, to za słabe określenie. Przeżyłem szok. Pozytywny. Przy trzeciej edycji mogę powiedzieć, że jestem pod ogromnym wrażeniem każdej z pań, która wchodziła na scenę. I chciałbym mieć tyle energii co one, kiedy będę miał tyle lat.*

Po drugiej stronie też nie brakowało wzruszeń. Po pierwszych wyborach, gdy emocje już opadły, miss publiczności zadzwoniła do Bernadetty Michałek, by jej podziękować. „Dziecko, nie myślałam, że mnie jeszcze kiedyś w życiu takie szczęście spotka” – powtarzała pani Irena, która z tego wzruszenia (i głębokiej wiary) swoją koronę ofiarowała Matce Boskiej w kościele, w którym się modli. Koron dla Matki Boskiej może być więcej, bo pomysł organizatorów jest taki, żeby każda kandydatka dostała koronę. – *Te wybory to zwycięstwo każdej z kandydatek, bo każda, niezależnie od tego, że jury wybiera miss, wicemiss, a widownia miss publiczności, i tak dostaje koronę* – mówi Bernadetta Michałek.

Reżyserka Laura Sonik do Bydgoszczy przyjechała z operatorką Moniką Konarzewską. Dla Wajda School kręcą film dokumentalny o wyborach Miss 80+. Już rozmawiała z Kunegundą Gajewską, najstarszą z kandydatek, a pani Rozalia nakarmiła ją i Monikę domowymi kopytkami, bo zimno, więc trzeba się najeść, by nie zmarznąć. No i jeszcze pani Elżbieta, profesor, ta to ma niesamowite życie.

Elżbieta Mendryk ma nie tylko niesamowite życie, ale też nogi. Kiedyś były to najpiękniejsze nogi na Politechnice Warszawskiej. I nie tylko dlatego, że w jej czasach na politechnice ciężko było o jakiekolwiek kobiece nogi. Mendryk z rocznika 1956/57 studiowała na Wydziale Elektroniki. Tam to już w ogóle było krucho z nogami. Na 200 osób na roku było tylko 11 dziewczyn. Kiedy kończyła studia, była już tylko ona i koleżanka. W życiu postawiła na karierę naukową, ale i tak na uczelni mówili na nią nasza Gina Lollobrigida. Tyle że polska Lollobrigida ma na swoim koncie osiem patentów z zakresu elektroniki, dla fabryki TEWA zrobiła tranzystor, później kardiostymulator implantowany na układach scalonych. A na koniec kariery zaprojektowała jeszcze mikroprocesor 8080 (według Intela). – *Przez 36 lat pracy budowałam centrum naukowo-produkcyjne półprzewodników w Warszawie na Służewcu. 10 tys. zatrudnionych pracowników. Uruchamiałam licencje japońskie, byłam na stażach we Francji i w Stanach Zjednoczonych. Aż w 1991 r. zlikwidowano to centrum, jakbyśmy nie potrzebowali swoich technologii* – pani profesor kiwa głową z niedowierzaniem. Ale to nie śmierć jej zawodowego dziecka boli ją najbardziej. W eleganckiej zielonej bluzce, z perłami w uszach, opowiada o depresji po śmierci bliskich. Najpierw odszedł mąż. Dwa lata temu córka. Najwspanialsze dziecko, jakie można mieć, doktor weterynarii, taka zdolna i piękna dziewczyna. – *To jest straszna rzecz stać nad grobem własnego dziecka, ale trzeba dalej żyć* – mówi. I żeby dalej żyć, żeby wyjść z domu, żeby pójść do ludzi, dała się namówić własnej wnuczce Asi na udział w tych wyborach. – *Babcia potrzebowała czegoś, by wrócić do tej radości, jaką zawsze w sobie miała.* Więc wyszła, w wieczorowej sukni do kostek, błyszczącej cekinami, uśmiechając się kokieteryjnie do widowni, uważnie stawiając kroki, trzymana pod rękę przez chłopaka, który mógłby być jej wnukiem.

Stulatka może poszaleć

Kiedy Kunegunda Gajewska w pięknym bordowym spodnium wchodziła na scenę, widownia na chwilę wstrzymała oddech. Jeden stopień, drugi, jeszcze krok o lasce, choć przy boku męskie ramię. Wnuczka Katarzyna Sokołowska pilnowała, by w porę odebrać od babci laskę i szybko zejść ze sceny, aby nie skraść show. Gajewska na wyborach ma numer 13, ale to nie ta liczba przyciąga najbardziej uwagę. Kunegunda jest o sześć lat młodsza od niepodległej Polski. A gdy zaczynała składać literki, to Tadeusz Boy-Żeleński wymyślił i współorganizował pierwsze wybory Miss Polonia w 1929 r., wygrała je Władysława Kostakówna, która w konkursie Miss Europe w Paryżu zdobyła tytuł I wicemiss.

Kunegunda, nazywana przez bliskich Kundzią (wnuczka przyznaje, że babcia swojego imienia nie znosi), urodziła się w Barcinie w powiecie żnińskim. Jak wybuchła wojna, Kundzia miała już ukończone siedem klas szkoły powszechnej. Przyszli jednak Niemcy, wypędzili ich z domu do Generalnej Guberni. I o szkole nie było mowy – opowiada Kunegunda Gajewska. A po chwili zaczyna snuć opowieść o mężu Janie. Z jednej parafii byli. Ale z innej wsi. I poznali się w kościele, na nabożeństwie majowym. On pracował w gminie i jeszcze się uczył. I rowerem przyjeżdżał niby do kuzynów, którzy mieszkali po sąsiedzku, ale tak naprawdę do niej. A tak w ogóle to urodził się w Ameryce, a jak Niemcy zaatakowali Polskę, to walczył pod Mogilnem. – *Potem go Niemcy szukali. Ukrywał się w Sandomierzu, u rodziny. Aż go złapali i wywieźli do obozu. Do Auschwitz.* Kunegunda Gajewska wspomina, że jej przyszły mąż gehennę przeżył, że w tym Auschwitz to stał razem z ojcem Kolbem na apelu, że na stracenie miał pójść, ale śmierci uniknął. A jak się wojna

eprasa.pl f6af64afad

W garderobie: Krystyna Duniec, Elżbieta Mendryk, Rozalia Tubisz, Teresa Jerka i Zofia Szymeczko

skończyła, to pieszo wracał do Polski z obozu, do którego ich z Auschwitz popędzili. Do ich wsi, gdzie od razu zapytał, czy jest mężatką.

Kunegunda Gajewska z mężem Janem dorobili się syna i córki. A później czwórki wnuków i sześciorga prawnuków. Poprawiając aparat słuchowy, przyznaje, że ona to zawsze z uśmiechem do wszystkich. Ostatnio, jak miała 102. urodziny, to zorganizowali je w gminie u wójta. Wojewoda też przyjechał. Elegancko, kwiaty dostała, a na stole z białym obrusem stały filiżaneczki do kawy i ciasto. Kunegunda Gajewska mieszka teraz u wnuczki Kasi w Kruszynie w gminie Sicienko. I to wnuczka zgłosiła babcię do wyborów Miss 80+, żeby ludzie zobaczyli, że stulatka nie musi być zamknięta w czterech ścianach. A nawet że może poszaleć, bo w wyborach zdecydowała się na występ w kombinezonie. Kto nie ryzykuje, ten nie zostaje miss publiczności.

Życie potrafi zaskoczyć

Jeszcze jedno uważne spojrzenie makijażystki, korektor i puder. Na włosy lakier, żeby podtrzymać wcześniej ułożone dzieło. Kandydatce w srebrnej sukni numer 7 przyniesie szczęście, w które w pierwszej chwili sama nie uwierzy. Kiedy na scenie stanęli Bernadetta Michałek i rektor Politechniki Bydgoskiej prof. Marek Adamski – ona w różowej, tiulowej sukni z futrzaną etolą, on we fraku i cylindrze – i wyczytali nazwisko miss publiczności, a potem I wicemiss Elżbiety Frankus, po prostu siedziała na wyściełanym bordowym pluszem rzeźbionym krześle. I to chłopak, który jej towarzyszył, prowadząc do najsłynniejszych polskich przebojów, ścisnął jej dłoń i wyszeptał: „Pani Aniu, to pani". A potem już były tron, kwiaty, uśmiechy, koronacja, zdjęcia i konfetti. – *A wszystko z ciekawości i dla zabawy* – uśmiecha się Anna Fabisiak (83 lata), która chwali się Złotym Krzyżem Zasługi, aktywną emeryturą i pasją do turystyki.

Jak sama mówi, opatrzność nad nią czuwała od maleńkości. Bo kiedy uciekali z województwa tarnopolskiego na zachód Polski, na nowe ziemie, które ta Polska dostała zamiast Kresów Wschodnich, to ona – maleństwo opatulone w pierzynę – przeżyła, bo w wagonie bydlęcym, w którym jechała z rodzicami kilka tygodni, była krowa. A jak była krowa, to było i mleko, więc głód był niestraszny. Bo liczy się pozytywne myślenie. – *Do życia trzeba z humorem. Wstaję o 6 rano. Gimnastykuję się i tak planuję dzień, żeby mieć godzinę na spacer. Bo jak się nie będę ruszać, to padnę.*

Anna Fabisiak, emerytowana finansistka, wiele lat pracująca w bydgoskim urzędzie wojewódzkim, przyznaje, że ruch to recepta na wszelkie niedomagania, a turystką zapaloną była zawsze. Tak poznała swojego męża (tyle że jego zabrał po 30 latach małżeństwa trzeci zawał). – *Dojeżdżałam wtedy z Inowrocławia. I pech chciał, że mój pociąg się spóźnił w dniu wyjazdu na wycieczkę z pracy, więc cały autokar na mnie czekał.* Jak dotarła na miejsce zbiórki, pani Annie od razu opowiedziano, że przed tym autokarem stał młody mężczyzna i zdenerwowany domagał się, żeby odjechać bez niej. Ale kiedy stanęła przed nim, zamilkł. – *A potem na postoju usiadł koło mnie. Jak zagadywał, to trudno było milczeć...* – z tego niemilczenia zrobiło się więc 30 lat wspólnego życia. I syn, z którego jest dumna. Życie tak bardzo potrafi zaskoczyć. Na przykład miss można zostać.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl f6af64afad

Skazani na zakażenie

Młode pokolenie szuka bliskości w tabletkach, alkoholu i przypadkowym seksie. A HIV wchodzi do polskich szkół i atakuje coraz niższe grupy wiekowe.

PAWEŁ WALEWSKI

ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

Janek miał 17 lat, 190 cm wzrostu i ważył zaledwie 50 kg. Kiedy trafił do warszawskiej Kliniki Chorób Zakaźnych Wieku Dziecięcego, przypominał raczej cień człowieka niż nastolatka u progu dorosłości. Jego dramat zaczął się półtora roku wcześniej w rodzinnym domu, gdy odważył się powiedzieć prawdę o swojej orientacji. Jest gejem. Ojczym kazał mu zniknąć, a matka i rodzeństwo nie stanęli w jego obronie. Dom, który powinien być schronieniem, stał się obcy.

Chłopak podzielił się tajemnicą z przyjacielem, a ten ją upublicznił. Znów zamiast akceptacji kolegów – szyderstwa i izolacja. Przestał chodzić do szkoły, uciekał z domu na całe tygodnie. Nauczyciele zawiadamiali rodziców, ale na tym kończyło się ich zaangażowanie. Matka nie drążyła, czy ma co jeść, gdzie sypia. Przez półtora roku dryfował w próżni, znajdując sponsorów, którzy kupowali jego ciało i czas.

Gdyby nie wysypka, która zaniepokoiła matkę wizją zakażenia domowników, Janek prawdopodobnie nie trafiłby do lekarza. Odkryto, że to kiła, ale pod jej maską ukrył się HIV. Kiedy przyjmowano go na oddział, zakażenie było już zaawansowane, stwierdzono AIDS i chłoniaka mózgu. Chłopiec został uratowany, jednak – jak opowiada prof. Magdalena Marczyńska, szefowa wspomnianej kliniki – historia tego pacjenta to nie odosobniony przypadek, lecz wierzchołek góry lodowej.

Odlot bez recepty

Na ratunkowe i specjalistyczne oddziały w Polsce trafia coraz więcej nastolatków wymagających profilaktyki HIV. Jeszcze 2–3 lata temu interwencje po gwałtach czy napaściach zdarzały się sporadycznie – kilka rocznie, przynajmniej w Warszawie. Dziś normą jest kilkoro 13–17-latków w ciągu miesiąca. Coraz częściej przyczynami są: spotkania umawiane przez internet, imprezy w klubach, gdzie alkohol miesza się z narkotykami i lekami. Na SOR-ach lądują upojeni, po „miłych" wieczorach z nieznajomymi. Brak edukacji seksualnej, tabu wokół chorób przenoszonych drogą płciową – od HIV po HPV, EBV czy zapalenia wątroby – popychają ich w otchłań. – *To, co przydarzyło się Jankowi, też jest tego odpryskiem* – mówi prof. Marczyńska. – *Gdyby rodzina zaakceptowała,*

eprasa.pl f6af64afad

kim jest, a szkoła zainteresowała się przyczyną nieobecności na lekcjach, być może nie poszedłby szukać akceptacji tam, gdzie było to możliwe. Odrzucenie, brak edukacji i wiedzy o zagrożeniach otworzyły drogę złu.

Historia z innego miasta: 13,5-letni chłopiec trafił do szpitala z objawami mononukleozy, powszechnej wśród nastolatków infekcji, która przypomina grypę. Rodzice przyjechali z nim na SOR, zaniepokojeni wysoką gorączką i powiększonymi węzłami chłonnymi. Nie spodziewali się, że rutynowe badania krwi ujawnią HIV w ostrej fazie. Lekarze zgodnie z procedurami zawiadomili policję. – *Podejrzewano, że musiała być w tej rodzinie pedofilia i ktoś go zakaził* – wyjaśnia lekarka, która przyjmowała chłopca do szpitala. To naturalna reakcja pediatrów: dziecko z HIV? Musi być krzywda, nadużycie, coś, co wymaga interwencji. Jednak śledztwo nie ujawniło w domu przemocy ani zaniedbań. Dopiero na kolejnej wizycie, kiedy wywiad medyczny został uzupełniony – delikatnie, krok po kroku, bo zaufanie buduje się powoli – nastolatek się otworzył. Przyznał, że umawiał się na seks z nieznajomymi w galerii handlowej. Twierdził, że robił to świadomie: dla pieniędzy, dreszczyku, poczucia dorosłości. Prof. Marczyńska: – *Czy naprawdę było to świadome? Prawo jest jasne: gdy dziecko poniżej 15 lat wchodzi na taką drogę, nawet z własnej inicjatywy, nie ma mowy o świadomej decyzji. To zawsze jest wykorzystanie.*

Najbardziej uderza beztroska chłopca. Po zdiagnozowaniu przerywał terapię antyretrowirusową, która daje szansę na normalne życie (dzięki skutecznej terapii osoba z HIV nie jest zakaźna, może mieć zdrowego partnera). – *Stał się zagrożeniem, bo dalej oferował się na portalach randkowych* – mówi lekarka, która się nim zajmowała. Może to wina mediów społecznościowych, które bombardują dzieci obrazami „ekscytującego" życia? Prof. Marczyńska podkreśla, że w ostatnich latach widzi na oddziale coraz więcej nastolatków, którzy eksperymentują lub regularnie przyjmują środki psychoaktywne i alkohol, bawią się, kończąc w ramionach nieznajomych, ryzykując zdrowie i nieplanowaną ciążę.

Dr Eryk Matuszkiewicz ze Szpitala Miejskiego im. F. Raszei w Poznaniu na oddziale toksykologicznym ratuje dorosłych pacjentów uzależnionych od środków odurzających, ale często dzwonią do niego pediatrzy, pytając, jak postąpić z nastolatkami. – *Dzisiaj znaleziono na przystanku 16-latkę bez bielizny, na mrozie, z utrudnionym kontaktem. Nie wiadomo, co zażyła ani kiedy. Na razie jest w trakcie badań. Dzieje się to niestety na okrągło.*

Leki OTC, czyli dostępne bez recepty, wciąż są dla nastolatków łatwym łupem wykorzystywanym w celach pozamedycznych. Traktują je jako legalną alternatywę dla zakazanych substancji psychoaktywnych czy też dodatkową formę odurzania się, łączoną z innymi środkami. – *Nadużywanie ich nie wiąże się ze społecznym potępieniem, jak przy klasycznej narkomanii* – zauważa dr Matuszkiewicz. – *Bo nie ma tu igieł, strzykawek, wodnych fajek, czyli atrybutów, które kojarzą się rodzicom i nauczycielom z uzależnieniem.*

Wymianę informacji zapewniają media społecznościowe. Na forach można spotkać pytania: „Znacie jakieś leki, po których ma się fazy jak po nark...? Szukam czegoś tańszego od speeda, bo chwilowo brak kasy, a słyszałam, że po lekach jest faza jak po speedzie". Do takich substancji należą: pseudoefedryna (składnik leków łagodzących uczucie zatkanego nosa podczas kataru), kodeina (w mieszankach przeciwkaszlowych i przeciwbólowych), dimenhydrynat (zapobiega chorobie lokomocyjnej), dekstrometorfan (składnik preparatów łagodzących przeziębienie i grypę). – *Popularność niektórych z nich może wynikać z przeświadczenia o działaniu psychostymulującym, ułatwiającym przyswajanie wiedzy, jako tzw. smart drugs* – wyjaśnia dr n. farm. Dariusz Andrzejczak z Zakładu Farmakodynamiki Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Najwyższa Izba Kontroli już kilka lat temu odkryła nieprawidłowy obrót pseudoefedryną w aptekach i punktach aptecznych, które były w ramach jednego podmiotu rejestrowane na jakiś czas, a potem z rynku dość szybko znikały. Niewiele zmieniło wprowadzone w 2016 r. ograniczenie liczby preparatów wydawanych w aptekach. Młodzież urządza pielgrzymki po okolicznych punktach albo śledzi dyżury farmaceutów, żeby nie trafić na osobę, która będzie ich pamiętać z poprzedniej wizyty.

Co jednak ma zrobić aptekarz w sytuacji, gdy klient przyjdzie po z gruntu niewinny proszek do sporządzania roztworu dopochwowego? Dziesięć saszetek na stan zapalny i świąd można kupić za 30 zł. Jest w nim benzydamina, jedna z substancji przeciwzapalnych. Łatwo taką saszetkę „wciągnąć" do nosa. I tu ciekawostka – jedno z pierwszych doniesień na ten temat, opisane na łamach międzynarodowego periodyku „Clinical Toxycology", pochodzi właśnie z Polski: 20-letni mężczyzna po przyjęciu ginekologicznej saszetki odczuwał halucynacje wzrokowe, nadpobudliwość i euforię.

Między 2020 a 2022 r. wzrosła liczba leczonych z powodu zatruć lekami nastolatków w wieku 12–18 lat – aż o 76 proc. (z 3977 do ponad 7 tys. pacjentów). – *Gros tych zatruć mogło być związane z lekami dostępnymi bez recepty, zdobywanymi pokątnie* – nie ma złudzeń dr Andrzejczak. – *Młodzi nie zdają sobie sprawy, że jak nadużyją nawet raz, może skończyć się to pobytem w szpitalu. Te środki wpływają na układ krążenia, nerwowy i oddechowy* – uzupełnia dr Matuszkiewicz. – *A w dalszej perspektywie rozwija się uzależnienie psychiczne, na co w tak młodym wieku organizm jest bardzo podatny.*

Był gwałt czy nie?

Stąd bierze się wśród młodzieży moda na chemsex – jeszcze jedną formę stymulacji, niezwykle popularną w klubach w większych miastach. Pewna 17-latka bawiła się z grupą rówieśników w jednym z takich miejsc w Katowicach (bramkarze nie legitymują gości, wiek oceniają na oko). Tak jej się spodobało napotkane tam towarzystwo, że nawet kiedy jej grupa po północy zakończyła zabawę, postanowiła zostać dłużej. Wylądowała z nieznajomym w jego mieszkaniu. Wróciła do domu bez bielizny. Coś brała, ale nie wie co.

– *Zdobywany w internecie mefedron i tego typu psychostymulanty wzmagają pobudzenie seksualne i są tańsze niż alkohol* – wylicza dr Matuszkiewicz. – *Ale ten kij ma drugi koniec: rano, po dojściu do siebie i odzyskaniu przytomności, młodzi ludzie odczuwają niesmak, lęk i niepokój: z kim się było, co się działo, czy był gwałt?*

Matka jednego z nastolatków wyznała, że zdobywał niebezpieczne substancje na aplikacjach zakupowych. Przez aplikacje geolokalizacyjne umawiał się z dilerem, który dostarczał mefedron w umówione miejsce. Kryje się za tym szerszy trend, który eksperci nazywają „modą ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ na pigułki", widoczną w coraz bardziej popularnym wśród nastolatków leczeniu przeciwdepresyjnym.

Z ostatniego raportu Narodowego Funduszu Zdrowia wynika, że w 2013 r. z pomocy związanej z diagnozą depresji skorzystało ok. 17 tys. dzieci, a w 2024 r. liczba ta wzrosła do 315 tys. Łatwiejszy dostęp do świadczeń to zjawisko pozytywne, jednak alarmujący jest wzrost wykupu leków przeciwdepresyjnych dla dzieci poniżej 18. roku życia – o 455 proc. w ciągu 12 lat. W 2013 r. recepty na refundowane antydepresanty wykupiono dla 16 tys. nastolatków, a w 2024 r. już dla 88 tys.! Prof. Marczyńska tłumaczy, że samo łyknięcie pigułki nie wystarczy. Trzeba pracować nad dzieckiem i z dzieckiem, budując relacje, jakich często brakuje w pozornie dobrze funkcjonujących rodzinach. Gdy przyjaciele istnieją tylko na TikToku lub innych aplikacjach, tabletka staje się iluzorycznym ratunkiem.

Diabeł tkwi w paragrafach

Każdy przypadkowy kontakt seksualny, zwłaszcza pod wpływem stymulantów, powinien zakończyć się testem w kierunku HIV. W 2025 r. w 29 punktach konsultacyjno-diagnostycznych w całym kraju wykonało je 47,5 tys. osób. Nastolatki stanowią zaledwie ułamek: zdecydowało się na nie 50 nieletnich poniżej 15. roku życia i 124 w wieku 16–17 lat. Od 2015 r. liczby te są właściwie niezmienne.

Odpowiedź, dlaczego mimo rosnącej liczby zachowań ryzykownych nie widać w tych punktach młodzieży, kryje się w paragrafach. Dr n. społ. Magdalena Ankiersztejn-Bartczak, prezeska Fundacji Edukacji Społecznej, wskazuje na absurdalną lukę: prawo pozwala na aktywność seksualną od 15. roku życia, ale odbiera młodym ludziom autonomię w dbaniu o zdrowie w związku z tą aktywnością. Do 16 lat zgodę na badanie musi wyrazić wyłącznie rodzic lub opiekun prawny, między 16. a 18. rokiem życia obowiązuje tzw. zgoda równoległa – podpisać muszą się i rodzic, i nastolatek.

W anonimowych punktach testowania, gdzie nikt nie legitymuje klientów, doradcy muszą polegać na deklaracjach. Jeśli młody człowiek przyzna, że nie ma 18 lat, doradca kierujący na test bierze na siebie odpowiedzialność prawną. – *Młodzież unika więc punktów ze strachu przed koniecznością sprowadzenia rodzica do swojego intymnego świata* – tłumaczy dr Ankiersztejn-Bartczak. Symbolem tego impasu jest historia chłopca, który dowiedział się o zakażeniu przed siedemnastką, ale leki antyretrowirusowe zaczął przyjmować dopiero w dniu 18. urodzin – tylko dlatego, że nie był w stanie wyznać prawdy w domu.

W szpitalach sytuacja jest podobna, ale lekarze stosują wobec nastolatków dyskretne taktyki. Rutynowo włączają test na HIV do szerszego panelu badań – gdy diagnozują gorączkującego nastolatka z podejrzeniem mononukleozy zakaźnej, nie omawiają z jego rodzicami potrzeby wykonania konkretnego testu. Obowiązuje zasada, że rozpoznanie jednej choroby przenoszonej drogą płciową (a mononukleoza to tzw. choroba pocałunków, ponieważ przenosi się przez bliski kontakt ze śliną zakażonej osoby) jest wskazaniem do diagnostyki pozostałych. Rodzice podpisują więc zgodę na cały pakiet badań, w tym HIV.

> To absurdalna luka: prawo zezwala na aktywność seksualną od 15. roku życia, ale do 18. roku zgodę na badanie zakażeń muszą wyrazić rodzice.

– *Nie omawiamy z nimi tego oddzielnie, ponieważ jest to jedna z chorób współczesnego świata i ten test niczym nie różni się np. od wykrywania wirusa zapalenia wątroby typu B, przenoszonego tą samą drogą* – tłumaczy prof. Marczyńska. – *Wykonując te badania, nie seksualizujemy dzieci, lecz poważnie je traktujemy i udzielamy pomocy medycznej. Podejście, zgodnie z którym choroba nie jest karą, a badanie nie służy ocenie życia pacjenta, wychodzi na dobre. W ten sposób zdiagnozowaliśmy już sześcioro nastolatków z mononukleozą i równoczesnym HIV.*

Kolejnym polem bitwy jest farmakologiczna profilaktyka: poekspozycyjna (PEP) i przedekspozycyjna (PrEP), ale dostęp do nich dla nastolatków też jest ograniczony. Pierwsza, darmowa jest dostępna do 72 godzin po ekspozycji, traktowana jest jako wypadek, np. po gwałcie czy ryzykownym seksie. W szpitalach nastolatki dostają wtedy pełny pakiet: tabletkę „dzień po", antybiotyki na choroby weneryczne i PEP na HIV. Wymaga to jednak zgody opiekuna. Problemem są powtarzające się wizyty.

– *Mamy 16–17-latków, którzy wracają po raz kolejny po PEP, więc powinni mieć zaleconą profilaktykę przedekspozycyjną, aby uniknąć zakażenia w przyszłości. Nie możemy jednak jej podać, ponieważ w Polsce jest zarejestrowana tylko dla dorosłych, na pełnopłatną receptę* – mówi prof. Marczyńska. W krajach zachodnich, np. w Wielkiej Brytanii, rozumieją, że nastolatki też jej wymagają – u nas jest możliwa ewentualnie za zgodą rodziców, co praktycznie się nie zdarza. Zdaniem lekarzy to dramatyczna luka systemowa.

Jak to złapałaś?

Na ten sam problem zwraca uwagę Krajowe Centrum ds. AIDS. Jego wicedyrektorka dr Barbara Daniluk-Kula podkreśla, że poziom wiedzy uczniów o HIV/AIDS w ciągu ostatnich 20 lat znacząco się pogorszył, a młodzież nie umie odróżnić realnych dróg zakażenia od mitów: – *Na warsztatach okazuje się, że licealiści za bezpieczne uznają wspólne używanie igieł czy antykoncepcję hormonalną jako ochronę przed HIV. To pokazuje, jak bardzo brakuje edukacji.*

Stygmat robi resztę. Dr Ankiersztejn-Bartczak porównuje HIV do HPV: oba wirusy przenoszą się drogą seksualną, ale tylko jeden wywołuje społeczną panikę. – *Przy HPV nikt nie pyta: „Jak to złapałaś?". Przy HIV to pierwsze pytanie* – zauważa. – *Młoda osoba z dodatnim wynikiem testu zostaje z nim sama, bez wsparcia, bo boi się komukolwiek powiedzieć.*

Wszyscy rozmówcy są zgodni, że bez powszechnej edukacji zdrowotnej i seksualnej ta spirala się nie zatrzyma. Nie chodzi o moralizowanie ani straszenie, lecz o elementarną wiedzę: czym jest ryzyko, jak się badać, gdzie szukać pomocy i że test na HIV jest tak samo normalny jak badanie poziomu cukru. Szkoła, która tego nie uczy, wysyła młodych ludzi w dorosłość z fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. A szpitalny oddział ratunkowy staje się miejscem pierwszego zderzenia z rzeczywistością.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl f6af64afad

Ośrodek Zen Kwan Um

Widok na ścianę

Zen – w tę podróż wyrusza się z rozmaitych powodów. W Polsce z roku na rok coraz liczniej. Jedni medytują na receptę lekarską, inni odtruwają się od telefonów, wszyscy szukają sensu.

MARTYNA BUNDA

Spotkanie w sandze, czyli grupie wspólnie medytujących, dla podejmujących postanowienia noworoczne. Piętro kamienicy w centrum miasta, herbata i ciasteczka. Rozmowy i śmiechy. Miło. Pierwsza próbka medytacji – tylko tyle, żeby posmakować, góra 20 minut, żeby nikogo nie wystraszyć, plus drobne instrukcje. Na przykład ta, że w medytacji nie chodzi o to, żeby przestać myśleć. Wystarczy, że potraktuje się tę myśl jak chmurę płynącą po niebie. Wspólne wejście do zendo, czyli miejsca medytacji: na sali w większości 18–20-latkowie, ale widać też bardzo dojrzałe twarze. Dwie panie z uniwersytetu trzeciego wieku obawiają się, czy fizycznie dadzą radę usiąść na tych poduszkach. Wysportowana kobieta około sześćdziesiątki nieśmiało się rozgląda. Nikt z zebranych nie wie jeszcze, co go niebawem czeka. To lepiej.

Coś wreszcie poczuć

Tomasz i Konrad przyjechali, bo czytali o buddyzmie. Tomasz mówi, że to tak, jakby coś ważnego przeczuwał, już to wcześniej wiedział – i wreszcie to znalazł, klarownie wyłożone, w książce „Zen – Świt na Zachodzie". Pytania, na które odpowiedzi nie dawało ani AI, ani Kościół, nagle ułożyły mu się w spójny system, więc przyjechał. Konrad, na którego półce stoją teraz wszystkie książki przeczytane przez Tomasza, dodaje, że medytacja zawsze go ciekawiła, ale bał się spróbować.

Teresa, pani mniej więcej 60-letnia, mówi, że nie ma żadnych oczekiwań. Dwa miesiące temu przeszła na emeryturę. Koleżanki, nieco starsze emerytki, już zaczęły szukać dla niej i dla siebie tanich połączeń lotniczych. Ale Teresa wie, jak to będzie wyglądało w praktyce: ▶

© BORI SA CENTRE

eprasa.pl f6af64afad

▶ tysiące pomysłów, krzyżujące się oczekiwania, wieczny pośpiech, stres i nerwy. A ona po odchowaniu dzieci i odhaczeniu kariery chce mieć spokój. Wie, że na medytację koleżanki się nie skuszą.

Jerzemu, mężczyźnie w średnim wieku, zen zalecił lekarz. Po pierwszym wylewie w wieku 40 lat wzięty prawnik w dużej korporacji, chcąc nie chcąc, zwolnił. Doktor wspomniał, że pod wpływem medytacji mózg lepiej się regeneruje, a Jerzy podszedł do sprawy pragmatycznie: postanowił poszukać najlepszych nauczycieli. Znalazł japońskiego mistrza w Niemczech, ale odesłano go na początek do polskiej sangi, na próbę. Jerzy jest na spotkaniu już chyba z 20. raz. Medytuje regularnie w domu. Nie sądził, że na tym etapie życia coś go jeszcze tak wciągnie, a już na pewno – że to będzie siedzenie twarzą do ściany. Chciał się tylko wyciszyć, a może ratować, okazało się jednak, że w rok tych wewnętrznych wycieczek przeżył więcej niż przez ostatnich 20 lat w kancelarii. Coś wreszcie poczuł.

Medytację nierzadko zalecają klientom terapeuci. Zen i psychologia to nienowe połączenie, wielu znanych polskich terapeutów, jak choćby Wojciech Eichelberger, wywodzi się z tej szkoły. Łączenie narzędzi zen i wiedzy psychologicznej ma coraz więcej zwolenników, na tej kanwie powstają nowe szkoły w psychologii.

– *Ale też trzeba pamiętać, że to psychologia wykorzystuje techniki zen, a nie odwrotnie* – mówi Aleksandra Porter, mistrzyni zen w szkole Kwan Um, rezydująca w ośrodku w Falenicy. – *Wykorzystuje się zresztą nie tylko samą medytację, ale również np. rytualne pokłony. Naturalne jest, że wielu praktykujących zen psychologów korzysta ze swojej wiedzy terapeutycznej, jednak bardzo ważne jest, żeby jasno rozumieć, że proces w terapii nie ma nic wspólnego z procesem w praktyce medytacji zen. Żeby naprawdę zagłębić się w zen, w żadnym razie nie można czynić z tej praktyki narzędzia terapeutycznego. To nieporozumienie.*

Co wymowne, zarówno na ścieżkę zen, jak na psychoterapię często trafia się pod wpływem życiowego kryzysu. W jednym i drugim wypadku to wyjątkowo dobry motywator do pracy. W zen nic tak skutecznie nie napędza, jak Duże Pytanie; obsesyjna wręcz potrzeba znalezienia sensu. Wychodząc z kryzysu, łatwiej znieść trudy i niewygody, stanąć twarzą w twarz z własnymi demonami. I w terapii, i w zen.

Polskie zen

Spotkania wprowadzające odbywają się dziś praktycznie w każdym miesiącu, w każdym większym mieście, od Szczecina po Wrocław, od Rzeszowa po Lublin. Kiedyś przychodziła jedna, dwie osoby, ostatnio w Szczecinie było kilkanaście. Ludzie pytają na Facebooku, zaczepiają, więc trzeba się organizować.

Nowym zen zwykle kojarzy się z mindfulness; słowem, które parę lat temu weszło do mainstreamu, albo z większą kreatywnością i sukcesem; na Netflixie wciąż widać kolejnych prezesów czy wizjonerów medytujących w chatce z widokiem na góry. Bywa, że ktoś trafił na książkę „Zen i mózg" o tym, jak medytacja działa na umysł ludzki – w największym skrócie: rozbudowuje go i zmienia częstotliwości fal. Mózg dłużej i częściej funkcjonuje na falach delta i gamma. Delta dają nam głęboki relaks. Z kolei gamma odpowiedzialne są za kreatywność i olśnienia. Ale bardzo wielu przychodzących do sangi szuka po prostu czegoś głębszego w życiu. Tego, czego nie ma w tradycyjnej religii, Kościele, pogrążonym w rutynie i kryzysach.

Europejski wariant azjatyckiej praktyki bardzo oddalił się od korzeni, uzachodnił. W Japonii, Korei czy Chinach buddyzm i jego techniczny aspekt zen są uwikłane w religie, które młodszemu pokoleniu kojarzą się z powierzchownością, odklepywaniem formułek – jak u nas katolicyzm. Z zen w Europie jest dokładnie na odwrót. Także trendy związane z rozwojem osobistym sprzyjają tej praktyce. Ktoś, kto próbował już pracować z oddechem, zaliczył kurs mindfulness i jogi, prędzej czy później trafia do sangi.

W dodatku przejście na online otworzyło niespotykane dotąd możliwości; można się uczyć, prowadzić sesiny, czyli długie, wielodniowe odosobnienia albo robić poranne medytacje na odległość. Infrastruktura budowana od ponad pół wieku własnymi siłami, za składkowe pieniądze tworzących pierwsze w Polsce sangi hipisów intelektualistów, też bardzo się przydaje. Każde większe miasto w Polsce ma przecież swoje zendo (miejsce do praktykowania), czasem więcej niż jedno. Czasem tak duże, że mogłoby pomieścić ponad setkę osób.

We Wrocławiu zendo jest niewielkie, za to sang jest aż pięć. Ludzie dzielą się tą przestrzenią, jak mogą, przekazując

sobie klucze. W Szczecinie mają całe piętro kamienicy podarowane przez jedną z adeptek. W Poznaniu zen wyszło na ulice. Dobek Pałeczka, który od lat zajmuje się propagowaniem medytacji, co kilka tygodni urządza siedzenie wprost na bruku; łączy medytację z działaniami proekologicznymi. Ludzie się zatrzymują, dołączają. Czasem tak właśnie trafiają do sangi.

Zachodnie zen jest utylitarne; sangi skupiają się wokół nauczycieli i nawet najwięksi, jak niemal 90-letni, pracujący w Niemczech i regularnie bywający w Polsce, Japończyk Rosi Harada, są dostępni dla każdego. W ośrodku Harady pod Bremą bywa kilkudziesięcioosobowa grupa Polaków. Niejeden słynny japoński klasztor ma stałych rezydentów z Polski.

Wspólne milczenie

Część adeptów, zjawiających się na wprowadzeniu do zen, prędzej czy później trafia na dłuższe odosobnienie, czyli sesin. Te, niezależnie od sangi czy odłamu, przebiegają według podobnego schematu, sięgającego korzeniami jeszcze średniowiecznych azjatyckich klasztorów. Tydzień, czasem dłużej, a czasem krócej, spędza się w milczeniu,

eprasa.pl f6af64afad

Sesin w Paprotnie prowadzone przez mistrza Rosiego Haradę. Wzięło w nim udział prawie 50 osób.

bez kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. A bywa, że i przy zasłoniętych lustrach, jak w sandze Bodhidharma w Falenicy. Przez większość doby się siedzi. Na poduszkach do medytacji, a jeśli zdrowie nie pozwala, to na krześle. Przesiedziane godziny przeplata się medytacją podczas chodzenia albo w trakcie przydzielonej człowiekowi powtarzalnej prostej pracy. Chodzi o to, aby medytacji – albo przynajmniej skupienia – ani na chwilę nie porzucić.

Rozkład dnia też jest jak spisany z klasztorów. Pobudka bardzo wcześnie, zdarza się, że latem już nawet od 3.30 rano. Zakończenie dnia po godz. 22. Człowiek dobrowolnie wchodzi w rolę trybika, elementu większej układanki. Robi się tylko to, co potrzeba. Odwzorowuje się nawet gesty. Nim zacznie się jeść, wszystkie sztućce leżą ułożone pod identycznym kątem. Podnosi się łyżkę czy pałeczki z jedzeniem do posiłku równocześnie ze wszystkimi, wstaje się na sygnał, siada na sygnał, nie zmienia się kolejności wychodzenia czy wchodzenia do sali.

Czasem przyjmuje od innych uczestników sesin nietypowe prezenty, jak uderzenie kijem w plecy – to po to, żeby odegnać senność, pobudzić przepływ energii (w Europie – tylko na prośbę medytującego). Jest trochę rytuałów wywodzących się wprost z buddyzmu, jak pokłony czy śpiewy, a właściwie rytmiczne recytowanie sylab japońskich sutr, czasem tak starych, że niemal niezrozumiałych już dla współczesnych Japończyków (co ciekawe, przez wielu uznawanych za przystępniejszą formę medytacji).

Bywa, że w tym odosabnianiu się trzeba zbliżyć się do innych ludzi bardziej, niż człowiek mógłby się spodziewać. W bliźniaczym do Hokouzan domu w Japonii uschematyzowane i zrytualizowane są nawet kąpiele – w oznaczonym czasie, we wspólnej balii z innymi kobietami albo mężczyznami. Ale też praktycy podkreślają z zaskoczeniem, że wspólne sesin, tydzień bez patrzenia na siebie, w pełnej w ciszy, zbliża z ludźmi bardziej niż czas przegadany przy butelce wina.

Sesin bywa też fizycznym wyzwaniem. W niektórych sangach na ten czas przykręca się ogrzewanie, także zimą. W sypialniach jest 12–13 stopni. Albo w słotny, deszczowy dzień maszeruje się na zewnątrz, by następnie w tych samych ubraniach siedzieć w bezruchu jeszcze kilka godzin. Nie każda szkoła medytacji wymaga takiego umartwiania, ale też wśród praktykujących zen niemała jest grupa ludzi, którzy tego właśnie szukają: samurajskiego ducha, wyzwania, przetrwania.

Droga do oświecenia

Trzymać bezruch, wyciszyć umysł, nie podążać za myślami. Bezruch ciała nie jest w tym wszystkim przypadkowy. Jest warunkiem zatrzymania tej karuzeli, która pędzi w głowie. Nie chodzi o całą kolekcję, nieraz arcyciekawych albo wręcz wstrząsających człowiekiem doświadczeń, co o ten jeden konkretny stan – oświecenie. Trudno opisywalny i traktowany przez różne szkoły w różny sposób.

Rosi Harada jasno instruuje uczniów, że liczy się tylko to jedno doświadczenie, cały ich wysiłek jest po to. Wszystko, co ich spotyka poza oświeceniem, jest właściwie bez znaczenia. Harada twierdzi, że finalny sukces to tylko kwestia woli i wysiłku. W covidzie prowadził sesin w Japonii. Wśród uczestników – jak zwykle w większości Europejczycy. Mieli tam spędzić dwa tygodnie. Z powodu przymusowej izolacji zostali kilka miesięcy. Po tym czasie intensywnego sesin, posypały się – twierdzi Rosi – wglądy, czyli stany odmiennego, głębszego widzenia świata.

A jeśli chodzi o technikalia: praca z nauczycielem zwykle prędzej czy później oznacza wejście na drogę *koanów*. Trudno je nazwać zagadkami, łamigłówkami. To np. pytanie o prawdziwą naturę ściany, do której twarzą siedzi się długie godziny. Odpowiedzi bywają tyleż precyzyjne, co nie zawsze logicznie powiązane z pytaniem. W stanie głębokiej medytacji jest tak, jakby usłyszało się gdzieś w kosmosie odpowiednie słowo, jakby odpowiedź przyszła i nagle wszystko staje się jasne. Ale dlaczego? Nie wiadomo. Być może największym osiągnięciem szkoły zen jest fakt, że prawidłowe odpowiedzi nigdy nie wyciekły do internetu.

Mimo swojej elitarności zen jest względnie tanie. Krótkie spotkania są darmowe, koszt dłuższych medytacji, i w Polsce, i za granicą, to wydatek rzędu 300–400 euro za tydzień. Ośrodki utrzymują się ze składek członków sang, dobrowolnych wpłat, a czasem działalności prowadzonej na niewielką skalę.

Jedno jest pewne: wielu ludzi uważa dziś zbiorowe i indywidualne medytacje za najtańszą formę psychoterapii i samodoskonalenia. I coraz popularniejszą alternatywę dla gabinetowych sesji.

MARTYNA BUNDA

© MACIEJ SOJA

eprasa.pl f6af64afad

Gaz do dechy

W lutym pobiliśmy historyczny rekord dobowego zużycia gazu. Ale gazu nie brakuje, nawet obniżono jego cenę. Eksperci ostrzegają, że uzależniamy się od gazu tak jak w przeszłości od węgla.

ADAM GRZESZAK

Rekord padł 2 lutego: w ciągu doby do odbiorców popłynęło 114,8 mln m sześc. gazu ziemnego, dwukrotnie więcej niż w przeciętny dzień roku. Poprzedni rekord (96 mln m sześc.) utrzymał się zaledwie miesiąc. – *To efekt wyjątkowo mroźnej zimy, ale także wzrostu eksportu, głównie do Ukrainy. Mimo rekordowego zużycia nie było jednak problemu z przepustowością sieci i dostępnością gazu. W podziemnych magazynach było jeszcze 2 mld m sześc. gazu* – tłumaczy Sławomir Hinc, prezes zarządu Operatora Gazociągów Przesyłowych Gaz-System.

Polska w ciągu roku zużywa ok. 20 mld m sześc. gazu. Z czego do 2022 r. ponad 60 proc. kupowaliśmy w Rosji, ale po wybuchu wojny w Ukrainie import ustał. – *W naszych rurach nie płynie już ani jedna molekuła rosyjskiego gazu* – zapewnia prezes Hinc. W krótkim czasie Polska radykalnie zmieniła kierunki dostaw. Dziś błękitne paliwo dociera do nas w formie skroplonej, czyli

eprasa.pl f6af64afad

Gazoport w Świnoujściu. Widok na statek gazowiec z namiotu rozstawionego na konferencję prasową. Gaz, tak jak węgiel, staje się tematem politycznym.

© ROBERT STACHNIK/REPORTER

LNG, poprzez gazoport w Świnoujściu, a także tłoczone podmorskim gazociągiem Baltic Pipe z Norwegii. Zaopatrujemy się też poprzez interkonektory, czyli transgraniczne gazociągi z Niemiec, Czech, Słowacji i Litwy. 15 proc. zapotrzebowania pokrywamy z krajowego wydobycia, które w dużym stopniu wykorzystywane jest lokalnie w odrębnych sieciach, bo jest to gaz zaazotowany.

Trwa intensywna rozbudowa infrastruktury gazowej. Przybywa gazociągów, połączeń międzysystemowych, podziemnych magazynów. Przez działający od dekady świnoujski gazoport do sieci trafiło już 32 mld ton LNG, który po regazyfikacji zamienił się w 42 mld m sześc. gazu. Dowożą go „Józef Piłsudski" oraz „Ignacy Jan Paderewski", statki gazowce zbudowane przez stocznie Hyundaia. Tylko w 2025 r. rozładowano 81 statków z LNG, głównie z USA i Kataru, ale także z Trynidadu i Tobago, Senegalu, Japonii, Turcji, Wielkiej Brytanii, Egiptu.

Możliwości świnoujskiego gazoportu wzrosły z 5 do ponad 8 mld m sześc. rocznie, a jednocześnie trwają prace nad stworzeniem w Zatoce Gdańskiej drugiego terminala LNG. Będzie to FSRU (*Floating Storage Regasification Unit* – jednostka magazynująco-regazyfikacyjna), statek na stałe zacumowany do nabrzeża, którego zadaniem jest odbieranie LNG z przypływających gazowców, magazynowanie go, a następnie po przywróceniu do stanu gazowego, tłoczenie do sieci na lądzie. – *Budowa FSRU już się rozpoczęła w koreańskiej stoczni, dno Zatoki Gdańskiej zostało pogłębione, budowa gazociągu na lądzie jest już zaawansowana* – wylicza prezes Hinc. Gdański terminal gazowy ma ruszyć na początku 2028 r. Tymczasem już trwają przymiarki do zacumowania obok drugiej takiej jednostki. Na razie rynek jest badany pod kątem zapotrzebowania na tranzyt gazu do krajów sąsiednich.

Marzenie o hubie

Unia Europejska w ramach sankcji nakładanych na Rosję eliminuje rosyjski gaz. Jeśli przed lutym 2022 r. dostawy z Rosji pokrywały 45 proc. potrzeb, to w 2025 r. już tylko 12 proc. W grudniu 2025 r. zapadła decyzja, że import rosyjskiego LNG ostatecznie musi ustać do końca 2026 r., a do listopada 2027 r. mają się zakończyć dostawy rurociągami. Dziś bowiem rosyjski gaz trafia do państw bałkańskich jedynym czynnym jeszcze gazociągiem Turecki Potok. I właśnie z myślą o wypełnieniu tej luki i zaopatrywaniu osieroconych bałkańskich odbiorców planowany jest drugi terminal FSRU w Gdańsku.

Dziś głównym zagranicznym odbiorcą gazu tłoczonego przez Polskę jest Ukraina, do której w 2025 r. trafiło 2 mld m sześc. – *Zamierzamy dojść do zdolności importowych ponad 37 mld m sześc. gazu, co pozwoli na tranzyt do zagranicznych odbiorców ponad 12 mld m sześc. Powstaną warunki do stworzenia regionalnego hubu gazowego* – tłumaczy prezes Hinc.

Zapotrzebowanie polskiej gospodarki na gaz będzie rosło, bo energetyka musi pożegnać się z węglem i czymś go zastąpić. Unia Europejska uznała gaz ziemny za paliwo przejściowe w drodze do neutralności klimatycznej, którą mamy osiągnąć w 2050 r. Dlatego już działa kilkanaście elektrowni i elektrociepłowni gazowych, w tym największe Dolna Odra, Stalowa Wola, Żerań, a jeszcze więcej jest w planach.

Gaz ma wiele zalet, w tym jedną szczególną: elektrownia gazowa świetnie współpracuje z zależnymi od pogody elektrowniami wiatrowymi i fotowoltaicznymi. Gdy wiatr słabnie albo zachodzi słońce, bloki gazowe, zwane peakerami, mogą błyskawicznie uzupełnić bilans energetyczny. Elektrownie węglowe w tej roli słabo się sprawdzają, bo częstego włączania i wyłączania nie lubią, trwa to zresztą za długo. No i emitują o wiele więcej szkodliwego dla klimatu CO_2, za który trzeba coraz drożej płacić, kupując prawa do jego emisji. Drogi węgiel i drogi dwutlenek węgla sprawiają, że elektrownie węglowe są coraz większym obciążeniem dla ich właścicieli, dlatego ci oglądają się za gazem.

Pod ochroną monopolu

Jest tylko jeden problem: gaz ziemny też jest drogi, a dziś na polskim rynku hurtowym najdroższy w UE. LNG, które stanowi połowę importowanego paliwa, jest droższe od gazociągowego już tylko z tego powodu, że trzeba go skroplić w temperaturze minus 162 st. C, załadować na statek, pokonać ocean, rozładować, zregazyfikować. Drugi powód jest taki, że nasz rynek gazu jest praktycznie zmonopolizowany przez Orlen (który wchłonął PGNiG), a państwo zadbało, aby tego monopolu nikt łatwo nie naruszył. Ostatni powód to drogi przesył, bo musimy spłacać koszty budowanych od dwóch dekad tysięcy kilometrów rur, podziemnych magazynów, gazoportu itd.

Jak w tej sytuacji myśleć o stworzeniu w Polsce gazowego hubu, czyli regionalnego centrum handlu gazem, dokąd trafiałby on z różnych stron świata i rozpływał się w różne strony Europy? ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ Najsłynniejszym takim hubem jest Holandia, gdzie na giełdzie TTF dzień i noc trwa handel, własne wielkie huby mają Brytyjczycy i Niemcy. Polscy eksperci, nawet ci entuzjastycznie nastawieni do wizji Polski jako rozgrywającego na europejskim rynku gazu (jak prezes Sławomir Hinc czy Wojciech Wrochna, pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej), przyznają, że niezbędne byłyby wcześniejsza demonopolizacja rynku, dopuszczenie prywatnych i zagranicznych firm, liberalizacja przepisów i całodobowy handel giełdowy, bo dziś na polskiej Towarowej Giełdzie Energii (TGE) handel gazem ustaje o godz. 14.

Zresztą przez TGE przepływa nieco ponad połowa importowanego gazu, resztę odbiorcy muszą kupować bezpośrednio od dostawców, czyli w praktyce od Orlenu. Jak działa monopol, mogliśmy przekonać się w ostatnich dniach, gdy prezes Urzędu Regulacji Energetyki zmusiła orlenowską gazową spółkę dystrybucyjną myOrlen (dawniej PGNiG OD) do obniżki taryfy (o 3,4 proc.), wskazując na spadające ceny gazu. Odbiorcy domowi, na których przypada ok. 25 proc. polskiego zużycia gazu, mogą się cieszyć skromną ochroną URE. Pozostała część rynku tego luksusu jest pozbawiona.

Zapłać za moc

Generalnie polscy odbiorcy na tani gaz raczej nie mają co liczyć. Firmy energetyczne świadome tego gotowe są budować elektrownie gazowe, ale pod warunkiem że poza wynagrodzeniem za prąd dostaną dodatkowe pieniądze. Chodzi o tzw. opłatę mocową, czyli wynagrodzenie za utrzymywanie elektrowni w stałej gotowości. Bo sama produkcja będzie incydentalna, w pikach zapotrzebowania, przez kilkadziesiąt, może kilkaset godzin rocznie. Unia, uznając gaz za najmniej emisyjne paliwo kopalne, zgodziła się, by przejściowo można było wspierać produkowanie z niego energii, ale program REPowerEU przewiduje redukcję zużycia, by nie uzależniać się od importu. W efekcie udział gazu w bilansie UE wolno, ale maleje.

My opłatę mocową mamy już dziś dopisywaną do rachunku za prąd, ale trafia ona do elektrowni węglowych. Bruksela świadoma naszej skomplikowanej sytuacji zaakceptowała dotowanie energii z węgla do 2028 r., a na zasadzie wyjątku pięć najsprawniejszych bloków węglowych przetrwa z dotacjami do 2035 r.

3 lutego – dzień po gazowym rekordzie – o godz. 9.30 padł historyczny rekord zapotrzebowania Polski na prąd – 27,7 GW. – *Nie było problemu z pokryciem tego zapotrzebowania, nawet możliwy był eksport 2 GW* – wyjaśnia Grzegorz Onichimowski, prezes Polskich Sieci Elektroenergetycznych. Jak ustalił portal wysokienapiecie.pl, w szczytowym momencie energetyka węglowa dostarczyła 49 proc. energii, fotowoltaika 22 proc., gaz 14 proc., a wiatr 10 proc. Szczytowe momenty, do jakich dochodzi zimą, są dobrą ilustracją malejącej roli węgla. W styczniowym szczycie 2019 r. elektrownie węglowe dostarczyły 89 proc. energii, w lutym 2021 r. 79 proc., w styczniu 2024 r. 69 proc., a w tym roku w lutym już poniżej 50 proc.

W czerwcu 2025 r. po raz pierwszy w historii Polski odnawialne źródła energii (OZE) zapewniły w sumie więcej energii niż węgiel. Udział OZE w polskim miksie energetycznym szybko rośnie, choć wciąż jesteśmy poniżej średniej UE, która w 2025 r. doszła już do 50 proc. W ślad za OZE rośnie udział gazu, który służy jako stabilizator systemu elektroenergetycznego.

Jeszcze niedawno Gaz-System prognozował, że zużycie gazu w Polsce wzrośnie do 34–37 mld m sześc., i pod taką ilość planowana jest infrastruktura. Dziś prognozy nieco zredukowano i stąd pomysł, by poza Polską znaleźć chętnych na nasze moce gazowe. W grudniu 2025 r. Ministerstwo Energii opublikowało nowy projekt Krajowego Planu w dziedzinie Energii i Klimatu do 2040 r., podstawowego dokumentu wymaganego od każdego członka UE. Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej, czytając dokument, przecierał oczy ze zdumienia: planowana produkcja energii elektrycznej z gazu do 2040 r. ma być wyższa o ponad 600 proc. w stosunku do tego, co kilka miesięcy wcześniej zakładał projekt Ministerstwa Klimatu i Środowiska.

– *Polska energetyka zostanie zagazowana na dekady. Bloki gazowe będą się nawzajem kanibalizowały, ucierpią również źródła odnawialne. Nie wiem, jak politycy sobie to wyobrażają, przecież uzależniamy się od dostawców gazu i od zagranicznych wytwórców bloków gazowych, z których dostępnością już dziś są problemy. To wszystko przekłada się na ceny energii. W efekcie mamy najdroższy gaz, najdroższą energię elektryczną i ciepło. I to się nie zmieni* – ostrzega prezes Wiśniewski, dodając, że już dziś przemysł z trudem dźwiga ceny gazu i energii.

– *Ostatnie polskie elektrownie węglowe zostaną zamknięte w 2035 r. Jeśli w najbliższych latach politycy nie przyspieszą budowy wiatraków, to automatycznie sprawią, że zwiększy się zużycie drogiego gazu z importu. Będziemy tracić suwerenność energetyczną i na długie lata zostaną z nami wysokie ceny prądu* – przekonuje Marek Józefiak, ekspert Greenpeace Polska. Organizacja sporządziła bilans: nowe bloki gazowe o mocy 16 GW będą kosztowały 64 mld zł. Gaz-System tylko w latach 2025–28 na sieć przesyłową oraz FSRU zamierza wydać 10 mld zł. 15-letni kontrakt wyczarterowania pływającego terminala LNG będzie kosztował 3,5 mld zł, czyli ok. 0,5 mln zł dziennie. Orlen w latach 2024–35 na rozwój sieci dystrybucyjnej gazu wyda 20 mld zł. W sumie, jak wyliczył Greenpeace, w ciągu najbliższych dziesięciu lat na rozwój energetyki gazowej wraz z zakupem importowanego paliwa wydamy 200–300 mld zł. Dlatego obrońcy środowiska najgłośniej protestują przeciwko wysypowi inwestycji w energetyce gazowej. Greenpeace złożył też wniosek do NIK o przeprowadzenie kontroli polityki inwestycyjnej spółek energetycznych.

W pułapce gazowej

Pojawiło się już pojęcie grożącej nam „pułapki gazowej", czyli gigantomanii inwestycyjnej, której efektem są elektrownie, gazociągi, gazoporty i infrastruktura, która straci sens ekonomiczny i będzie ciężarem wymagającym finansowania. Trochę jak CPK, gigantyczne lotnisko budowane na fundamentach dumy narodowej, ale bez pewności, czy będzie potrzebne.

Michał Hetmański, prezes think tanku Instrat, tłumaczy: – *Wkrótce będziemy musieli wyłączyć elektrownie na węgiel brunatny, w tym największe w Turowie i Bełchatowie i brakującą moc skądś musimy pozyskać. Po to powstają nowe elektrownie gazowe w Dolnej Odrze, Grudziądzu, Ostrołęce, Gryfinie, Adamowie. Jednak tak duża produkcja energii z gazu jak z węgla to rozwiązanie tymczasowe, dopóki nie pojawi się na większą skalę energetyka wiatrowa na morzu i lądzie, a potem atom. Nie można tych inwestycji odkładać, bo za chwilę gaz stanie się dla nas problemem jak dziś węgiel* – przekonuje ekspert.

A powstająca dziś infrastruktura będzie niepotrzebna i kłopotliwa jak śląskie kopalnie.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl f6af64afad

Nadchodzi nowa era zakupów internetowych. Jak AI zmienia e-commerce

Ekspertka: **Małgorzata Domagała**, VP, dyrektorka ds. produktów i rozwiązań Mastercard na Polskę, Czechy i Słowację, Mastercard Europe.

Rynek e-commerce w Polsce ewoluuje i dojrzewa, a do 2028 r. ma osiągnąć wartość **192 mld zł**[1]. Rozwój marketplaceów oraz automatyzacja procesów z wykorzystaniem AI napędzają konkurencyjność branży i wymagają od e-sprzedawców poszukiwania efektywności i przewagi. Niezmiennie, kluczowe pozostają pytania: jak dotrzeć z ofertą do nowych klientów i jak poprawić ich doświadczenia zakupowe?

Na dynamikę e-handlu wpływają: niezawodność procesów, szybkość i wygoda oraz spersonalizowane, „mikrosegmentowe" podejście. 97% kupujących online uważa, że możliwość szybkiego i łatwego znalezienia produktu w e-sklepie jest kluczowa, a brak takiej funkcji często skutkuje porzuceniem strony[2]. Klienci nie chcą spędzać godzin na poszukiwaniach produktu ani przeglądać setki ofert. Idą o krok dalej - **chcą, aby zrobiono to za nich**.

Z pomocą nadchodzą **cyfrowi agenci**, czyli wirtualni doradcy zakupowi, którzy wykonują tę pracę za użytkowników – są w stanie rozpoznać potrzeby klienta, porównać oferty tysięcy e-sklepów z wielu krajów i wybrać najlepiej dopasowany produkt, w odpowiednim rozmiarze i budżecie, a następnie **zrealizować jego zakup w imieniu użytkownika**. W ten sposób oszczędzają czas i poprawiają doświadczenia zakupowe kupujących. Z perspektywy sprzedawców natomiast, cyfrowi agenci pozwalają im przebić się z ofertą „skrojoną na miarę" potrzeb klienta, co oznacza lepsze dopasowanie, poprawę UX, wzrost konwersji i szansę na powrót do e-sklepu.

Eksperci przewidują, że w 2025 roku **asystenci AI będą obsługiwać do 20% zadań w sektorze e-commerce**[3]. *Agentic commerce* nie jest zatem eksperymentem, ale dynamicznie rosnącym trendem, który już teraz zmienia sposób w jaki robimy zakupy. 39% amerykańskich respondentów **już skorzystało z generatywnej AI do zakupów online**, a 53% planuje to zrobić w tym roku[4]. Badania Mastercard pokazały również, że 42% ankietowanych używa narzędzi AI do kupowania prezentów[5].

Rosnąca rola sztucznej inteligencji nie tylko zmienia krajobraz e-handlu, ale wzmacnia również potrzebę budowania zaufania do nowoczesnych rozwiązań – również w obszarze płatności. W Mastercard, wspólnie z naszymi partnerami, rozwijamy skalowalne, bezpieczne i niezawodne rozwiązania dla e-sklepów oraz klientów końcowych. Chcemy wyznaczać również **kierunki rozwoju nowego standardu płatności obsługiwanych przez agentów AI**, co oznacza m.in. weryfikację agentów AI i sprzedawców, zgodność ich działań z intencją zakupową użytkownika, a także rozwój tokenizacji w płatnościach agentowych. Sedno sprawy to zapewnienie bezpieczeństwa, budowanie zaufania opartego na zgodzie użytkownika i zachowanie przejrzystości informacji o zakupie realizowanym przez agenta AI. Transparentność całego procesu – od inicjacji po rozliczenie – pozostaje kluczowa również z perspektywy wydawców kart.

1 Prognozy Strategy&, raport "E-commerce w Polsce: konkurencja i rosnące oczekiwania napędzają rozwój", PwC, 2024 r.

2 The Commerce Shop. (n.d.). Top 5 Predictive Search Functionalities for CRO. Retrieved April 15, 2024.

3 „Agentic AI and Personalized Shopping Experiences Will Dominate 2025", 23 grudnia 2024.

4 Blog Adobe, „Adobe Analytics: Traffic to U.S. retail websites from Generative AI sources jumps 1,200 percent", 17 marca 2025 r.

5 Badanie Mastercard 2025: https://www.mastercard.com/europe/en/news-and-trends/stories/2025/mastercard-holiday-shopper-snapshot.html

eprasa.pl f6af64afad

© SHUTTERSTOCK

Zwrotowy ból głowy

CEZARY KOWANDA

Niedziałające automaty, niedouczeni pracownicy, niewygodne bony zamiast gotówki... Gdy system kaucyjny wreszcie się rozpędza, wychodzą na jaw wszystkie problemy. Łącznie z największym: drugie życie butelek okazuje się nieopłacalne.

Sławomir Pacek, prezes Stowarzyszenia Polski Recykling, od kilku tygodni intensywnie testuje jako zwykły klient system kaucyjny w Otwocku i okolicach. Jego obserwacje?

– W Biedronkach dominuje zbiórka ręczna butelek i puszek – bardzo uciążliwa, bo trzeba znaleźć kierownika sklepu, który skanuje opakowania, a potem prowadzi klienta do kasy po odbiór vouchera. W połowie sklepów tej sieci udało mi się uzyskać zwrot za kaucję w gotówce, w reszcie nie. Wygodniej jest w Lidlu, bo tam stoją maszyny. Ale zdarza się, że nie czytają dobrze kodu kreskowego i zamiast 50 gr zwracają tylko 10 za opakowanie, bo uważają, że nie

eprasa.pl f6af64afad

jest jeszcze objęte systemem kaucyjnym. W Carrefourze butelkomat był, ale nie działał, a pracownicy nie chcieli przyjąć opakowań. Podobnie w Stokrotce. Co ciekawe, bez problemów zwrot butelek działa w małych Żabkach – opisuje swoje doświadczenia Sławomir Pacek.

Według niego są trzy najczęstsze problemy, z jakimi muszą się mierzyć klienci. Pierwszy: gdy maszyna do przyjmowania pustych opakowań nie działa, a pracownicy sklepu nie chcą odebrać ich ręcznie (to niezgodne z przepisami). Drugi: sklep nie zgadza się oddać kaucji w gotówce, a tylko w formie bonu, który trzeba rozliczyć przy okazji zakupów (to też niezgodne z przepisami). Trzeci: pracownicy upierają się, że nie muszą przyjmować opakowań zakupionych w innej sieci handlowej (niezgodne z przepisami).

Oficjalnie system kaucyjny ruszył w październiku 2025 r., ale przez pierwsze trzy miesiące butelek plastikowych PET i puszek ze znakiem kaucji praktycznie nie było jeszcze na półkach. W styczniu jednak dokonał się przełom. Najszybciej w dużych sklepach, przede wszystkim w dyskontach, gdzie jest największa rotacja produktów. Trochę wolniej kaucyjna rewolucja odbywa się w mniejszych punktach, gdzie klienci kupują mniejsze ilości napojów. Jednak dla każdego konsumenta przychodzi w końcu ten pierwszy raz – trzeba oddać gromadzące się w domu puste opakowania, żeby odzyskać kaucję. Ten właśnie pierwszy kontakt z systemem kaucyjnym bywa różny.

Niektórzy się przygotowali z dużym wyprzedzeniem. Sieci Lidl i Kaufland nie dość, że postawiły przy każdym swoim sklepie automaty do zbiórki jeszcze w ubiegłym roku, to przyjmowały i wciąż przyjmują także butelki plastikowe i puszki bez znaku kaucji. Za takie opakowania płacą klientom po 10 gr z własnych funduszy. Cele takiej polityki są dwa. Po pierwsze, sieci chcą się wyróżnić na tle konkurencji i liczą na to, że zadowoleni klienci będą z pustymi opakowaniami iść czy jechać właśnie do nich. A przy okazji zrobią tam oczywiście zakupy. Po drugie, Lidl i Kaufland należą do niemieckiej grupy Schwarz, która w Polsce powstała z operatora systemu kaucyjnego. Zależy jej zatem, aby zebrać jak najwięcej pustych opakowań.

Zupełnie inną postawę prezentuje lider polskiego rynku, czyli portugalska Biedronka. Chociaż tak często w reklamach porównuje się z Lidlem, tym razem poszła swoją drogą. Nie ma własnego operatora systemu kaucyjnego, a automaty stawia dużo wolniej niż jej najpoważniejszy konkurent. Na razie w większości sklepów można spotkać wielkie tekturowe pudła, które Biedronka nazywa recykloboksami. Korzystanie z nich jest niewygodne, bo zanim wrzuci się butelki, trzeba znaleźć pracownika, który zeskanuje opakowania i wyda bon. Dopiero on uprawnia do odbioru kaucji przy kasie. Biedronka tłumaczy się srogą zimą, która opóźnia montaż wygodniejszych automatów do zwrotu.

Tymczasem to właśnie pierwsze doświadczenia przy zwrocie opakowań zdecydują, czy Polacy zaakceptują system kaucyjny. – *Niestety, na razie widzimy, że nie jest on łatwo dostępny, szczególnie dla seniorów. Wiele osób idzie z pustymi butelkami do sklepu i z nimi wraca. Często nie wiedzą, że nawet gdy maszyna do zwrotu nie działa, i tak mają prawo oddać opakowania.. Co gorsze, nie wiadomo, do kogo składać reklamacje. Do sklepu? Do producenta napoju? Do Inspekcji Handlowej? Zabrakło spójnego systemu informacyjnego i szerokiej kampanii, organizowanej wspólnie przez rząd i handel* – punktuje Monika Kosińska-Pyter, prezeska Federacja Konsumentów.

Z pewnością przed nami jeszcze dużo pracy w edukowaniu klientów. – *Ludzie przynoszą do automatów różne opakowania, jednak nie wszystkie są przyjmowane. Na sklepowych półkach stoją obok siebie produkty, które wyglądają identycznie, ale pochodzą z różnych partii – starsze, sprzed wejścia producenta do systemu, nie mają znaku kaucji. Kupując taką butelkę, nie płaci się za nią kaucji, więc automat jej nie przyjmie. Efekt? Ktoś patrzy na dwie niemal identyczne butelki i nie rozumie, dlaczego jedna jest przyjmowana, a druga nie* – mówi Magdalena Markiewicz, prezes zarządu operatora PolKa – Polska Kaucja.

W szerzeniu wiedzy nie pomaga fakt, że nasze przepisy nie są logiczne. Kaucją zostały objęte butelki plastikowe PET (o pojemności do trzech litrów) oraz puszki metalowe. Jednak są wyjątki, nie zbiera się na przykład opakowań po produktach mlecznych czy olejach. Wyjątkowo skomplikowane są zasady dotyczące szkła. Butelki szklane zwrotne (głównie po piwie) na razie są zbierane na dotychczasowych zasadach, kaucja w tym przypadku wynosi złotówkę. Za to butelki szklane jednorazowe (np. małpki) w ogóle nie zostały włączone do systemu kaucyjnego. – *To poważny błąd. Nasze akcje sprzątania różnych miejsc pokazują, że pustych butelek szklanych jest coraz więcej, a rozbite małpki widzimy przecież bardzo często. Mam nadzieję, że opakowania szklane zostaną włączone do systemu kaucyjnego, mimo że sprzeciwiają się temu sklepy. Warto* ▶

REKLAMA

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
FUNDACJI TYGODNIKA POLITYKA
KRS 0000104137

Fundacja Tygodnika POLITYKA wspiera następujące przedsięwzięcia:
PASZPORTY POLITYKI
NAGRODY NAUKOWE POLITYKI
HISTORYCZNE NAGRODY POLITYKI im. Mariana Fenrychowa
NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI
pulsar

eprasa.pl f6af64afad

© WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

▶ *byłoby również objąć kaucją kartonowe opakowania po napojach, które można przecież poddawać recyklingowi* – mówi Paweł Pomian, wiceprezes Stowarzyszenia Eko-Unia.

Skomplikowane przepisy skłaniają producentów do obchodzenia – w zgodzie z prawem – systemu kaucyjnego. Obowiązek zbiórki pustych opakowań dotyczy wszystkich sklepów o powierzchni ponad 200 m kw., które sprzedają napoje w butelkach i puszkach objętych kaucją. Część sklepów niespożywczych (np. drogerie) ogłosiła, że wycofuje ze sprzedaży wszystkie produkty w opakowaniach ze znakiem kaucji, bo nie chce zbierać pustych butelek. Niektórzy zaczęli zatem oferować swoje napoje w kartonach typu Tetra Pak, aby nie zniknąć z drogerii czy ze sklepów specjalistycznych. Tak zrobiły np. Oshee czy koncern Maspex. Jedyne sensowne rozwiązanie to ujednolicenie przepisów – sok, woda czy cola powinny być objęte kaucją bez względu na to, w jakiego typu opakowaniu się znajdują.

Na razie zdecydowana większość błędów w działaniu systemu to efekt opóźnień w jego budowie. Jednak z doświadczeń innych krajów wiadomo, że nie brakuje drobnych oszustów, którzy próbują wyłudzać kaucję. Zwłaszcza w okresie przejściowym pojawia się taka pokusa – otrzymać 50 gr za opakowanie, które zostało zakupione jeszcze bez kaucji. Jednak operatorzy systemu przekonują, że są przygotowani na wszelkie scenariusze. – *Mamy specjalne algorytmy wychwytywania oszustw, w których wykorzystujemy sztuczną inteligencję. Recyklomaty są wyposażone w kamery i analizują każdą wrzuconą butelkę czy puszkę, sprawdzając nie tylko kod kreskowy, ale także kształt i masę* – wyjaśnia Piotr Okurowski, prezes zarządu Krajowego Systemu Kaucyjnego Kaucja.pl.

Skomplikowane przepisy skłaniają producentów do obchodzenia (w zgodzie z prawem) systemu kaucyjnego.

Niektórzy próbują przechytrzyć małe maszyny, które nie ważą opakowań. Słaby punkt systemu to również zbiórka ręczna, w której może dojść do oszustw za wiedzą czy nawet z udziałem pracowników sklepów, jeśli na butelkach niekaucyjnych znajdą się fałszywe etykiety. Jednak operatorzy ostrzegają, że nie warto ryzykować. – *Podrabianie czy przerabianie etykiet to fałszerstwo, za które kara może wynieść od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności* – podkreśla Magdalena Markiewicz, prezes zarządu PolKa – Polska Kaucja.

Mimo początkowych problemów system kaucyjny powinien jednak zacząć działać. – *Sądzę, że już za dwa czy trzy miesiące osiągniemy wskaźnik zwrotów butelek i puszek na poziomie ok. 90 proc. Trzeba oczywiście przyzwyczaić się do nowych zasad, ale przecież jeszcze kilka lat temu chodziliśmy na zakupy zazwyczaj bez żadnych toreb, a dzisiaj prawie wszyscy biorą je ze sobą do sklepu, bo plastikowe reklamówki są drogie i nieekologiczne. Cieszy mnie to, że do zbiórki opakowań przystępuje też coraz więcej małych punktów, chociaż nie są do tego zobowiązane. Wiedzą jednak, że jeśli tego nie zrobią, mogą stracić klientów* – zauważa Zygmunt Ochał, członek zarządu Krajowego Systemu Kaucyjnego Zwrotka.

Jednak największy kłopot jest zupełnie inny. Dotyczy głównego powodu, dla którego budujemy drugi największy w Europie (po niemieckim) system kaucyjny, przez który będzie przechodzić między 12 a 14 mld opakowań rocznie. Powstaje on przede wszystkim po to, żeby ponownie wykorzystywać cenne surowce: plastik z butelek i metale z puszek. Zwłaszcza w tym pierwszym przypadku na razie nie mieliśmy się czym pochwalić, bo recyklingowi poddaje się w Polsce ok. 40–45 proc. butelek PET, uzyskując w ten sposób recyklat. System kaucyjny ma zwiększyć ten wskaźnik przynajmniej do 90 proc.

Niestety, w tym miejscu pojawia się poważny problem. Producenci mają w coraz większym stopniu używać recyklatu do wytwarzania nowych opakowań, ale wcale im się to nie opłaca. – *Obecnie recyklat kosztuje ok. 1500 euro za tonę – takie są koszty jego wytworzenia. Tymczasem surowce pierwotne są dużo tańsze – ich cena to ok. 800–850 euro za tonę. Dochodzi do absurdalnej sytuacji, bo chociaż producenci muszą, zgodnie z unijną dyrektywą, wykorzystywać do wytwarzania nowych butelek PET przynajmniej 25 proc. recyklatu, opłaca im się tego nie robić i zapłacić karę* – tłumaczy Sławomir Pacek.

Co zatem robić? Zdaniem Packa powinniśmy pójść śladem Francji, która dopłaca producentom używającym recyklatu (500 euro za każdą tonę). Jednak surowiec wtórny musi pochodzić z obszaru odległego maksymalnie 1500 km od fabryki. W ten sposób Francuzi chcą się zabezpieczyć przed zalewającym Europę recyklatem z Chin, którego pochodzenia nie da się ustalić. To on destabilizuje rynek i chociaż nie używa się go do produkcji opakowań z żywnością, jest stosowany na przykład w branży odzieżowej czy zabawkowej.

Jeśli szybko nie zmienimy przepisów, będziemy mieć niedługo co prawda mnóstwo polskiego recyklatu, ale nie będziemy mieli co z nim zrobić.

Sam system kaucyjny w Polsce wielokrotnie przekładano i opóźniano. Było zatem mnóstwo czasu nie tylko na to, żeby w porę postawić automaty i je przetestować, Teraz musimy w biegu ten dziś uciążliwy system naprawiać.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl f6af64afad

AKADEMIA **zwierciadła** ZAPRASZA NA WYDARZENIE

wolni od stresu
edycja szósta

Temat: **DOBRA ENERGIA**

Skąd czerpać siły i jak żyć spokojnie? Podczas kolejnej edycji „Wolnych od stresu" porozmawiamy o dobrej energii – potrzebnej nam na co dzień, tej, którą sami tworzymy i która nas otacza. Bądź z nami!

Katarzyna Miller

14 MARCA 2026
GODZ. 9–19
SOBOTA

WARSZAWA
MULTIKINO ZŁOTE TARASY
UL. ZŁOTA 59

Anna Kopańczyk

Dr n. med. Luiza Napiórkowska

Joanna Flis

Anna Dymna

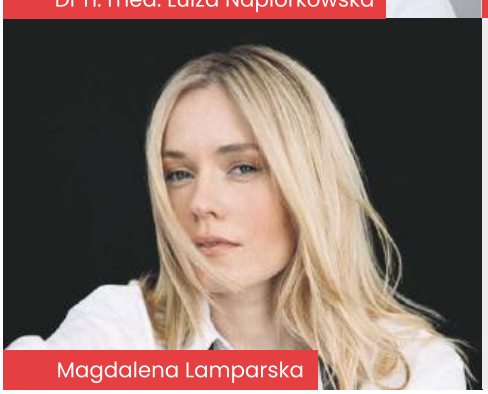
Magdalena Lamparska

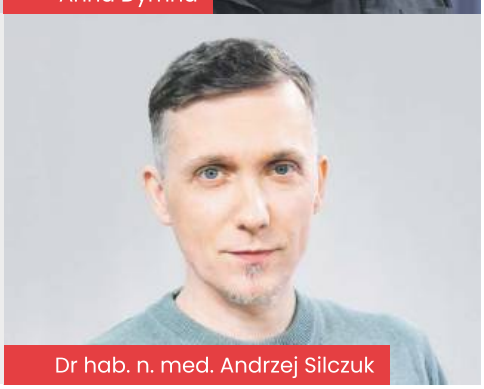
Dr hab. n. med. Andrzej Silczuk

ZDJĘCIA: KRZYSZTOF OPALIŃSKI, MICHAŁ ŻEBROWSKI/EAST NEWS, HELENA STEIGER, KATARZYNA STEFANOWSKA, MICHAŁ WOŹNIAK/DDTVN/ EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE, ARCHIWUM PRYWATNE.

UDZIAŁ STACJONARNY
Z KODEM **P200**
~~390 zł~~
BILET KUPISZ ZA **190 ZŁ**
DO 03.03.2026
Najniższa cena z 30 dni: 290zł

UDZIAŁ ONLINE
Z KODEM **P100**
~~190 zł~~
BILET KUPISZ ZA **90 ZŁ**
DO 03.03.2026
Najniższa cena z 30 dni: 90zł

KUP BILET
Bilety dostępne na
sklep.zwierciadlo.pl

PARTNERZY: Dr Irena Eris HOTELE SPA · LogosTour BIURO TURYSTYKI ZNP · ORLEN · Przedsiębiorstwo SANPROBI · SOLAR

eprasa.pl f6af64afad

Peter Mandelson – kiedyś gwiazda brytyjskiej lewicy, dziś bohater afery Epsteina – uosabia wszystko to, co złego dzieje się z zachodnimi demokracjami. I jest w tym podobny do Donalda Trumpa.

Peter Mandelson w swoim domu w Wiltshire – sesja dla magazynu „The Times"

© TOM JACKSON/NI PROFILE/FORUM

Uwodziciel

ŁUKASZ WÓJCIK

Peter Mandelson wciąż twierdzi, że ledwie znał Jeffreya Epsteina. Że „był na krawędzi jego życia". Przeczy temu ich wieloletnia korespondencja, naszpikowana biznesowymi intrygami, politycznymi plotkami, pełna niemal młodzieńczych wynurzeń i wulgarnych aluzji seksualnych. „Czy jesteś pewien, że presja wynikająca z braku seksu nie zamienia twojego mózgu w foie gras?" – pisze Epstein do Mandelsona.

Brytyjczyk wielokrotnie korzystał z nowojorskiej rezydencji Epsteina, nawet gdy ten ostatni przebywał już za kratkami. W 2009 r. finansista pedofil odmówił mu jednak gościny, a potem

eprasa.pl f6af64afad

czule przepraszał. Mandelson odpowiedział: „Bez obrazy, nie martw się! Nadal cię kocham”. Nieco później Epstein narzekał jednak w mailu, że ich przyjaźń jest zbyt jednostronna. Tym bardziej że wcześniej – jak pokazują ujawnione dokumenty – wysyłał Mandelsonowi dziesiątki tysięcy dolarów. Raz nawet obiecał przelać 3225 funtów, aby pomóc partnerowi Mandelsona w opłaceniu studiów osteopatii.

Ale nie ma nic za darmo. Mandelson m.in. poinformował Epsteina o terminie zbliżającej się interwencji finansowej europejskich rządów w celu ratowania strefy euro: „Zostanie ona ogłoszona dziś wieczorem”. W drugim roku kryzysu finansowego bardzo przejmował się opodatkowaniem premii dla pracowników sektora finansów. Przekonywał Epsteina, że jest „w pogotowiu”, aby w razie możliwości zablokować tę inicjatywę premiera. Gdy Epstein zapytał, czy Jamie Dimon, prezes finansowego giganta JPMorgan, powinien zadzwonić do ówczesnego kanclerza Alistaira Darlinga, aby poruszyć tę kwestię, Mandelson odpowiedział: „Tak i powinien delikatnie pogrozić”.

1 Najnowsza transza dokumentów ze śledztwa w sprawie Epsteina – a szczególnie jego kontaktów z Mandelsonem, do września ambasadorem Zjednoczonego Królestwa w Waszyngtonie – niemal obaliła brytyjski rząd. Kilka dni temu premier Keir Starmer był w stanie politycznej śmierci klinicznej. Niektórzy twierdzili nawet, że świadomie wysłał za ocean zdrajcę ujawniającego poufne informacje z posiedzeń rządu. Starmer ostatecznie się wybronił, ale zdaniem naszych rozmówców to tylko odracza wyrok.

Według Paula Holdena, dziennikarza śledczego i autora bestsellera „The Fraud: Keir Starmer, Labour Together and the Crisis of British Democracy”, po zeszłotygodniowym kryzysie premier jest jak kurczak, który stracił głowę. Może jeszcze przez chwilę biegać i machać skrzydłami, ale to już tylko iluzja życia, podtrzymywana przez resztkowe impulsy nerwowe. Tym bardziej że w ostatnim tygodniu z pracy zrezygnował najbliższy doradca premiera Morgan McSweeney (złośliwi twierdzą, że to on był tą odciętą głową). A lider szkockiej Partii Pracy Anas Sarwar publicznie przekonuje, że „ten projekt polityczny jest już skończony”.

Problem w tym, że Starmer doskonale wiedział, kogo wysyła do Waszyngtonu: człowieka, z którym Trump świetnie się dogada. Aby to zrozumieć, trzeba spojrzeć na politykę tak, jak patrzył na nią Epstein. Miał on trzy kręgi „zainteresowań”: krąg pieniędzy, krąg władzy i krąg seksu. Jego pozycja wynikała z tego, że działał na polu wspólnym dla tych kręgów. Przez lata mógł beztrosko przenikać między nimi w ślad za pieniędzmi. To właśnie świetnie potrafią Epsteinowie tego świata. I właśnie pod tym względem Mandelson i Trump, choć pozornie tak różni, są politycznymi bliźniakami.

2 Zacznijmy od obserwacji, że to, co dziś nazywamy elitą, w zasadzie składa się z dwóch elit. A do największej korupcji dochodzi właśnie na ich styku. Elita biznesowa oferuje elicie publicznej (politykom, ale też urzędnikom, artystom itd.) życie ponad stan. A w zamian elita publiczna okrywa blichtrem „prostackie” fortuny tej pierwszej elity. Dlatego Mandelson, nawet gdy już nie był w rządzie, uwodził wielki biznes dostępem do wielkiej polityki.

Obie strony potrzebują siebie nawzajem. Jak napisał niedawno Janah Ganesh w „Financial Times”, bogaci zyskują dzięki temu swego rodzaju „zastępczą estymę”. Mandelson był w tym mistrzem – uwielbiał swoje publiczne życie, te wszystkie gierki frakcyjne, strategie komunikacyjne. A jednocześnie pogardzał (relatywną) nędzą polityków. Dlatego próbował połączyć obie wspomniane elity obietnicą obopólnych korzyści.

Trump w zasadzie robi to samo, tylko z drugiej strony tego elitarnego podziału. Często realizuje politykę pozbawioną strategicznego sensu, ale tylko do momentu, gdy uznamy, że prezydent USA wcale nie kieruje się dobrem Ameryki (jakkolwiek rozumianym), ale własnym zyskiem. Jego synowie robią biznesy w zaskakujących miejscach na świecie (m.in. Azerbejdżan, Bułgaria, Mongolia), ale zaskakują one tylko do momentu, gdy uwzględnimy polityczne korzyści, jakimi Ameryka obdarowała te miejsca.

Mandelson doskonale rozumiał ten układ: obie elity mają sobie wiele do zaoferowania, a polityka odgrywa tylko rolę populistycznej przykrywki do robienia interesów, co nigdy nie działo się tak otwarcie jak za czasów Trumpa. Dodatkowo posiadał niezwykły zmysł do identyfikowania, a potem wykorzystywania ludzkich kompleksów. Doskonale rozumiał, że ludzie, którzy dorabiają się fortun, nie do końca czuli się panami świata. Zawsze im czegoś brakowało, mieli wrażenie, że omija ich najważniejsza impreza. On zatem zapraszał ich na tę imprezę, mimo że nie wszyscy otrzymali na nią zaproszenia od wyborców.

3 Peter Mandelson to kwintesencja wszystkiego złego, co stało się z polityką w zachodnich demokracjach. To przez takich jak on kolejne państwa wpadają w ręce szalonych populistów, następnych Trumpów, Farage'ów i Orbánów. W rękach takich jak Mandelson demokratyczna polityka, zamiast być narzędziem osiągania dobra wspólnego – znów: wszystko jedno jak rozumianego – stała się celem samym w sobie. Doprowadziło to do patologii: jeśli bowiem w takiej polityce chodzi o technikę, a nie o wartości czy moralność, to sposób postępowania w zasadzie nie ma znaczenia – i z pewnością nie należy się martwić konsekwencjami.

Mandelson akurat nigdy się nimi nie przejmował. Ten 72-latek na początku publicznej kariery był specem od piaru. A potem m.in. ministrem rządu, europejskim komisarzem, członkiem Izby Lordów, a w międzyczasie również świetnie płatnym doradcą firm chińskich i rosyjskich. Z trzymania się blisko bogaczy uczynił sztukę. – *Schlebia tym, których uważa za ważnych, i poniża tych, których uważa za nieważnych – to jego zasada naczelna* – uważa Paul Holden.

Jego postawa życiowa przekracza podziały ideologiczne, czego dobrym przykładem są relacje Mandelsona z ruchem MAGA. Teoretycznie dla jego członków powinien być antychrystem. Jako liberał, homoseksualista, internacjonalista i zwolennik wolnego handlu Mandelson uosabia wszystko to, czego nie tylko MAGA, ale – szerzej – amerykańscy Republikanie nie lubią w Europie. Jeden z doradców Trumpa określił go mianem absolutnego idioty. A mimo to Trump i Mandelson pasowali do siebie. Prezydent USA żalił się nawet, że Brytyjczyk nie może pracować dla niego.

4 Dorastał w Londynie, część jego żydowskiej rodziny przyjechała z Polski. Jest wnukiem Herberta Morrisona – jednej z najważniejszych postaci lewicowego rządu Clementa Attlee z 1945 r. Pierwszy raz błysnął jako dwudziestoparoletni producent telewizyjnego talk-show o polityce. Wtedy jego talent zauważył ówczesny lider Partii Pracy Neil Kinnock, który ściągnął go do swojego sztabu. Lata 80. Mandelson przecierpiał z resztą partii w głębokiej opozycji wobec rządów Margaret Thatcher. ▶

eprasa.pl f6af64afad

Z Donaldem Trumpem (jeszcze jako ambasador). Prezydent USA żałował, że Brytyjczyk nie może pracować dla niego.

© EVAN VUCCI/AP/EAST NEWS

▶ Po czterech porażkach wyborczych Partia Pracy była w głębokim kryzysie, przekonana, że „Wielka Brytania to konserwatywny kraj", jak z rozpaczą twierdził wspomniany już Kinnock. Dlatego młodsze pokolenie aktywistów uznało neoliberalizm za nowe status quo, które można jedynie przypudrować socjaldemokratyczną retoryką. Mandelson był jednym z architektów tego zwrotu, który przyjął nazwę New Labour. „Nowa" partia nie tylko bez słowa przyjęła status quo, ale też wprowadziła komercjalizację w obszary, gdzie nawet Thatcher bała się zapuścić. Symbolem tego myślenia będą później tzw. inicjatywy prywatnego finansowania (PFI), które sprowadzały się do tego, że państwo powierzało swoje kolejne ustawowe obowiązki prywatnym firmom w ramach przetargów.

Mandelson współtworzył zwycięską kampanię Tony'ego Blaira z przełomu 1996 i 1997 r. Ale choć – w uproszczeniu – odpowiadał za nagłówki w prasie o swoim przełożonym, to prasa często pisała o samym Mandelsonie. W 1998 r. Blair wymusił na nim rezygnację ze stanowiska sekretarza skarbu, bo zataił bardzo korzystny kredyt, który zaciągnął u jednego ze swoich bogatych znajomych. Niecały rok później znów był w rządzie – tym razem jako sekretarz ds. Irlandii Północnej, na czym się zupełnie nie znał. Kolejny raz zrezygnował, gdy wyszło na jaw, że załatwił brytyjski paszport tajemniczemu biznesmenowi – w zamian za wsparcie jednego z rządowych projektów.

W 2004 r. Mandelson został – jak pisano o nim w Brukseli – „niewidzialnym" komisarzem UE ds. handlu. A gdy w 2010 r. Partia Pracy na długie lata straciła władzę, rozpoczął karierę w biznesie. Założył firmę konsultingową Global Counsel i zgodnie z jej nazwą, a także dzięki kontaktom zdobytym w rządzie, zaczął działać światowo, również w Rosji i Chinach.

5 Oczarowanie bogactwem innych – nie tradycyjnych przemysłowców, ale raczej rekinów finansjery – tak charakterystyczne dla Mandelsona i kilku innych jego kolegów z New Labour, było centralnym elementem ich projektu politycznego i stało się nieodłączną częścią ich stylu życia. Stworzyli coś na kształt niewypowiedzianego sojuszu między dawną socjaldemokratyczną lewicą, globalnymi elitami i wielką finansjerą.

Lewicą pozostali z nazwy. W rzeczywistości pogodzili się z liberalizmem rynkowym, a w życiu prywatnym brylowali z oligarchami i despotami. Z ich strony – jak pisze znany dziś podkaster Rory Stewart w swojej książce „Politics on the Edge" (Polityka na krawędzi) – nie był to tylko polityczny pragmatyzm: „oni byli tym nie swoim bogactwem upojeni". Czuli się ważni, bo uważali się za jedyne ogniwo łączące brytyjski lud i zapyziałych działaczy partyjnych z prowincji z nowoczesnym światem finansjery i jego właścicielami, którzy „rządzą przyszłością".

Mandelson tłumaczył wspomnianym działaczom, którzy drżeli o słabnące poparcie klasy robotniczej, że nie trzeba się martwić o jej polityczne względy, ponieważ ona „nie ma dokąd pójść". W odróżnieniu od samego Mandelsona, który mógł polecieć na wyspę Epsteina, przespać się w jego nowojorskiej rezydencji lub wypożyczyć od niego odrzutowiec. Ale okazało się, że owa klasa robotnicza – o ile jeszcze istnieje – jednak ma dokąd pójść: do Reformy Nigela Farage'a, do Zielonych.

Nie tak miało być. Partia Pracy pod wodzą Keira Starmera, po triumfie wyborczym z 2024 r., szykowała się do czterech długich lat rządzenia i zmieniania Wielkiej Brytanii. Tym bardziej że przed zderzeniem z realną władzą Starmer był przedstawiany jako wcielenie kompetencji: postać oddana służbie publicznej, miał stanąć na czele grupy „dorosłych", co było dużą zmianą po schyłkowych rządach torysów. Plan był jasny – koniec z obniżkami podatków dla najbogatszych, koniec z demontowaniem państwa opiekuńczego, koniec z wyżywaniem się na imigrantach.

Fakt, że Starmer, prawnik specjalizujący się w prawach człowieka i prokurator, nie miał żadnego politycznego zaplecza, był postrzegany jako atut. Nudna, metodyczna skuteczność miała wystarczyć. Po objęciu stanowiska lidera partii Starmer zaczął ją oczyszczać z lewicowych zwolenników Jeremy'ego Corbyna i zatrudniać twórców dawnej potęgi partii z czasów Blaira, w tym Mandelsona. – *Okazało się jednak, że Starmerowi brakuje charyzmy i politycznego zmysłu Blaira. W przeciwieństwie do niego*

eprasa.pl f6af64afad

szybko też stracił kontrolę nad własną partią – tłumaczy Mike Slaven, politolog z Uniwersytetu w Lincoln.

6 Skandal wokół Mandelsona dokończył dzieła. Procedura parlamentarna, do której odwołała się opozycja, wymusza na rządzie ujawnienie całej komunikacji między ministrami i Epsteinem. Przez kolejne miesiące będą więc wypływać nowe wątki skandalu. Zapowiada to katastrofalne skutki dla pogrążonej w kryzysie Partii Pracy, której notowania spadły poniżej 20 proc. A kolejne wybory, choć raczej nie przed 2029 r., mogą mieć dla tego ugrupowania rangę wręcz egzystencjalną. „Partia Pracy albo będzie moralną krucjatą, albo jej wcale nie będzie" – te słowa Harolda Wilsona, dwukrotnego premiera z tego ugrupowania, brzmią dziś złowrogo dla jego następców.

Labourzyści – otoczeni „odorem rozkładu", jak powiedziała liderka Partii Konserwatywnej Kemi Badenoch – rozmyślają więc już o przyszłości bez Starmera. Premier na razie się obronił, ale już 26 lutego odbędą się przyspieszone wybory w okręgu Gorton i Denton pod Manchesterem, w mistycznej kolebce Partii Pracy, gdzie to ponadstuletnie ugrupowanie nigdy nie przegrało. Teraz jego kandydat przegra tam zapewne nie tylko z przedstawicielem Reformy Farage'a, ale także z kandydatem Zielonych. – *Wszyscy wiedzą, jaki będzie wynik w Gorton i Denton. Ale dopiero jego ogłoszenie wywoła szok, który może strącić Starmera* – dodaje Mike Slaven.

Główną kandydatką do zastąpienia Starmera zdaje się Angela Rayner, była wicepremier. Jej ubogie dzieciństwo przemawia do wielu działaczy, stęsknionych za prawdziwą ludową historią na czele partii. Ale i ona nie jest „czysta": we wrześniu musiała odejść z rządu po tym, jak nie zapłaciła należnych podatków od drugiego domu. Na krótkiej liście następców jest też Wes Streeting, minister zdrowia, choć zarzuca mu się, że to protegowany Mandelsona. Najbardziej dziś popularny polityk Partii Pracy, burmistrz Wielkiego Manchesteru Andy Burnham, ma zablokowaną drogę do premierostwa po tym, jak kierowany przez Starmera zarząd partii nie pozwolił mu wystartować w przyspieszonych wyborach w Gorton i Denton.

7 Sam Mandelson po aferze Epsteina oczywiście nie wystartuje już w tym wyścigu. Ale może powinno nas zastanowić, dlaczego taki mózg polityczny w zasadzie nigdy nie rywalizował o wysokie stanowiska. Popularna opowieść mówi o „księciu ciemności", który wolał rządzić z tylnego siedzenia. Ale jest też inna – Mandelson po prostu nigdy nie był dobrym politykiem. Jest może skutecznym taktykiem wyborczym i harcownikiem frakcyjnym. Mistrzem w obsłudze partyjnej machiny. Ale to człowiek bez intelektualnego zaplecza i ideologicznego fundamentu.

Z papierów Epsteina wynika, że Mandelson był po prostu człowiekiem zniewolonym przez własną chciwość, niepewność i starannie wykreowany, makiaweliczny wizerunek. Sama jego relacja ze skazanym finansistą pedofilem jest tego koronnym dowodem. Bo jaką polityczną przenikliwość może mieć ktoś, kto raz za razem – w obiektywie aparatu i w przenośni – daje się złapać bez spodni?

ŁUKASZ WÓJCIK

REKLAMA

POLITYKA **Zaprenumeruj nasz tygodnik przez** InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę** do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka** przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz** niż w punktach sprzedaży

679 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~16~~ 13 zł za numer

359 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~16~~ 13,80 zł za numer

blik PayU

InPost

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl f6af64afad

Róż bez pudru

Zwycięscy zwolennicy Sanae Takaichi też noszą czerwone czapki. Ale nie z hasłem – jak trumpiści w Ameryce – o czynieniu kraju wielkim, tylko znacznie prostszym: Japonia wróciła.

JĘDRZEJ WINIECKI

Japońska premierka potrzebowała raptem stu dni, by zdobyć władzę, jakiej w Japonii nie miał nikt od drugiej wojny światowej. Choć nie tak to miało wyglądać. W październiku jej partyjni koledzy – bo dotąd to wyłącznie mężczyźni zajmowali się japońską polityką na najwyższych szczeblach – chcąc nie chcąc, zgodzili się, by kobieta przejęła stery Partii Liberalno-Demokratycznej, w istocie prawicowo-konserwatywnej. Wcześniej ubiegała się o to kilka razy, aż wreszcie została wybrana, by dźwignąć ugrupowanie pogrążające się w coraz głębszym kryzysie. LDP rządziła od 1955 r., z małymi przerwami. Teraz zapowiadało się na dłuższą pauzę. Po latach nieudolnego przywództwa bezbarwnych premierów i skandalach korupcyjnych partia traciła poparcie na rzecz bardziej radykalnych i wyrazistych odmian prawicy, aż straciła większość w parlamencie.

I tak jesienią Sanae Takaichi została pierwszą premierką w historii kraju. Stanęła na czele koalicyjnego rządu mniejszościowego, więc wydawało się, że jej pozycja polityczna będzie taka sobie. Splot kilku czynników niespodziewanie zapewnił jej sondażowe wzrosty. Jednym ze źródeł sukcesu Takaichi okazały się japońskie nastroje po wielkiej paradzie wojskowej, którą 3 września Xi Jinping, przywódca Chińskiej Republiki Ludowej, zorganizował w Pekinie. Na trybunę honorową wdrapali się wraz z nim Władimir Putin i Kim Dzong Un. Widok tej trójki oklaskującej maszerujących chińskich żołnierzy celebrujących wojenne pognębienie Japonii miał wzbudzić w Japończykach przekonanie, że pora przeciwstawić się osi zawiązanej przez wrogich autokratów z kontynentu.

Sygnał do zerwania z pielęgnowaną od 80 lat uległością dała Takaichi. W listopadzie oświadczyła w parlamencie, że Siły Samoobrony, czyli japońska armia, nie będą bezczynnie przyglądać się rozwojowi najgorszych scenariuszy wokół Tajwanu. Np. blokada morska byłaby „sytuacją zagrażającą japońskiemu przetrwaniu". Faktycznie Xi prze do przejęcia wyspy i nie wyklucza akcji zbrojnej, a działania wojska chińskiego z ostatnich miesięcy wyglądają tak, jakby pętla wokół demokratycznego Tajwanu coraz bardziej się zaciskała. W odpowiedzi Chiny próbowały zastraszenia bojkotem gospodarczym. MSZ wydał ostrzeżenia, by nie jeździć do Japonii, bo nasilają się tam przestępstwa przeciw Chińczykom i trzęsienia ziemi. Czołowe chińskie linie lotnicze zachęcały, by bez opłat przekładać rezerwacje lotów. A chiński konsul w Osace napisał w serwisie internetowym X, że „brudny łeb trzeba odciąć bez wahania".

Sondaże wystrzeliły i zadziałał efekt flagi, o którym wiadomo, że bywa krótkotrwały. Takaichi wykorzystała okazję i rozpisała przyspieszone wybory. Mimo trzaskającego mrozu i śniegu Japończycy brnęli do urn. Dali LDP samodzielną większość konstytucyjną w izbie niższej i dobrą pozycję wyjściową do szukania takiej większości w izbie wyższej. Premierce udało się przedstawić wybory nie tyle jako sąd nad partią, ile plebiscyt nad stu dniami występującej coraz bardziej solo szefowej rządu. Taka taktyka się narzucała, bo równolegle wybuchła *sanakatsu*, szczególna popularność polityczki.

Sondaże wskazują, że 64-letnia Takaichi zachwyca – tak, to nie błąd – ponad 90 proc. wyborców przed trzydziestką. W całej populacji notuje ok. 60-procentowe poparcie. To, że zdobyła uznanie o niebo wyższe niż bezpośredni poprzednicy, nie jest szczególnym osiągnięciem, wszyscy byli pozbawionymi ikry starszymi technokratami. Takaichi symbolizuje zerwanie z ich fizycznym i mentalnym skostnieniem. Mówi wprost,

© KIM KYUNG-HOON/POOL/REUTERS/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl f6af64afad

co sprawia wrażenie nieustępliwości. Do tego nurkuje, lubi szybkie motory i wyścigowe samochody, słucha heavy metalu i grywa na perkusji.

Młodzi wzorują się na niej do tego stopnia, że używane przez premierkę dodatki produkcji japońskich firm – w tym czarna skórzana torba o tradycyjnym fasonie, do kupienia za równowartość ok. 3 tys. zł, oraz długopis w różowej oprawce, wart ok. 25–35 zł – stały się przebojami rynkowymi. Pracowitym rodakom przypadło do gustu, że zadeklarowała, iż poświęci się wyłącznie pięciu rzeczom: „pracy, pracy, pracy, pracy i pracy" dla dobra kraju. Śpi od dwóch do czterech godzin na dobę. A jeszcze opiekuje się mężem, który przechodzi rehabilitację po udarze. Jedyny relaks to poranne i wieczorne kąpiele w jacuzzi.

Mając komfortową większość, zamierza realizować obietnice. W tym na dwa lata znieść miejscowy odpowiednik VAT na żywność. Dla zwykłych Japończyków oznaczałoby to poważne wytchnienie, bo budżet klasycznego gospodarstwa domowego składa się z trzech części przeznaczanych na żywność, utrzymanie domu i wydatki związane z edukacją. Rząd pomoże branży gier komputerowych i anime, to mają być nowe silniki gospodarki. Mandat jest jednak tak silny, że Takaichi może zmienić trajektorię Japonii. Wzrost wydatków na zbrojenia do 2 proc. jest już pewien. Z Chinami chce się mierzyć na własnych warunkach. Za rogiem czeka rewizja narzuconej przez Amerykanów konstytucji.

Duża większość oznacza, że obóz premierki jest wewnętrznie zróżnicowany. Nie wszystkie frakcje z jednakowym entuzjazmem będą przyjmować decyzje szefowej. Prawe skrzydło będzie krzywo patrzeć na uszczuplanie dochodów budżetu, lewe na spełnianie ideologicznych życzeń prawego. Różowy z wierzchu długopis premierki ma cztery wkłady (czarny, niebieski, czerwony i zielony) oraz ołówek. Podobnie niejednorodny jest jej konserwatyzm.

Przyznaje, że wzorem dla niej pozostaje Margaret Thatcher, brytyjska premierka z lat 1979–90. Zaczytuje się w jej pamiętnikach, choć w przeciwieństwie do Żelaznej Damy nie jest zwolenniczką dyscypliny budżetowej, woli rozkręcać gospodarkę wydatkami państwowymi. Nie zgadza się na wprowadzenie małżeństw osób tej samej płci, na dziedziczenie cesarskiego tronu przez kobiety i na zniesienie obowiązku przyjmowania wspólnego nazwiska przez pary małżeńskie, najczęściej męża. Przy czym sama posługuje się nazwiskiem panieńskim, robiła tak przez całą karierę dziennikarki telewizyjnej i parlamentarzystki. W młodości odbyła staż w biurze amerykańskiej kongresmenki, która miała nadzieję, że z jej prochów powstanie „cegła, która innym kobietom przytrzyma uchylone drzwi". Tymczasem Takaichi nie toruje drogi innymi kobietom, gabinet i klub parlamentarny nadal zmonopolizowane są przez mężczyzn.

Startowała z jawnym błogosławieństwem prezydenta Donalda Trumpa. I choć darzy go rewerencją, nie jest jasne, ile w tym faktycznego szacunku, a ile rachub, że bez amerykańskiego wsparcia Japonia nie poradzi sobie w konfrontacji z Chinami czy Rosją. Na razie na archipelagu Ameryka ma dziesiątki tysięcy żołnierzy. Z Thatcher Takaichi łączy pogląd, że politykę zagraniczną należy prowadzić bezkompromisowo. Konsekwencją konserwatyzmu premierki powinny być odwiedziny w Yasukuni, sanktuarium ku czci 2,5 mln poległych za cesarza, w tym zbrodniarzy wojennych.

Tradycyjne daty wizyt w świątyni to przede wszystkim 15 sierpnia, czyli rocznica ogłoszenia kapitulacji w drugiej wojnie światowej. Dwa inne terminy przypadają w kwietniu i październiku, w trakcie ceremonii upamiętniania. W dniu wyborów Takaichi spytano, czy pójdzie do Yasukuni. Odpowiedziała, że przygotowuje „odpowiednie warunki". Jeśli przekroczy świątynny próg w Chinach i obu Koreach, doświadczonych przez japońskie zbrodnie, podniesie się rwetes. Zwłaszcza zniechęcenie do siebie Koreańczyków z Południa byłoby trwonieniem sojuszniczego kapitału, który buduje także Takaichi. Na zakończenie styczniowej wizyty południowokoreańskiego prezydenta Lee Jae Myunga – który przyznał, że też kiedyś marzył, by zostać perkusistą – zorganizowała wspólne granie. Ubrani w jednakowe kurtki bębnili do rytmu hitów koreańskiego K-popu.

Rezultat przyspieszonych wyborów ma wskazywać, że Takaichi z powodzeniem rozwiązuje dylematy stojące przed tzw. mocarstwami średnimi, sporymi państwami próbującymi odnaleźć swoją drogę w warunkach rozpadu międzynarodowego porządku. Jedną z propozycji przedstawił w styczniu w Davos premier Kanady, wyznaczając kierunek tworzenia przeciwwagi dla imperialnej polityki mocarstwowej pierwszej ligi: Stanów Zjednoczonych, Chin i aspirującej do ich pozycji Rosji. Przemówienie Marka Carneya zrazu uznano za świetne, by później je niuansować. Zwrócono uwagę, że atakował Trumpa, ale odpuścił Chinom, do których niebawem pojechał, i pojawiły się zarzuty, że złożył Xi Jinpingowi hołd.

Carney powołał się na zapożyczoną od prezydenta Finlandii Alexandra Stubba maksymę o „realizmie opartym na wartościach". Sieroty po mijającym porządku światowym, zwłaszcza w Europie, w przyspieszonym tempie przepraszają się z realizmem. W zwulgaryzowanej formie przekonanie to każe sądzić, że wszyscy dążą do wojny, rzeczywistość jest grą o sumie zerowej, co oznacza, że zyski możliwe są tylko kosztem czyichś strat, a kompromisy i działania kooperacyjne, np. w ramach Unii Europejskiej, są przede wszystkim dla tchórzy. Liberalna demokracja miała problem z realizmem, stąd wariant Stubba realizmu „z ludzką twarzą". Czyli – mówią krytycy – kontynuowania dotychczasowej hipokryzji.

Japonia mierzy się z tym samym dylematem co Europa. Amerykańska hegemonia maleje, ale nie ma czym zastąpić USA. Narzucony po wojnie pacyfizm sprawił, że Tokio musiało postawić na wspieranie egzekwowania prawa międzynarodowego, by np. chronić swobodę żeglugi, bez której wyspiarski kraj nie przetrwa.

Ta rzeczywistość odchodzi do przeszłości. Takaichi chce zejść na ziemię. Japońska prasa pisze, że jest przedstawicielką „realizmu bezkompromisowego". Miała zrozumieć, że obywatele średnich mocarstw chcą dziś przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa i jasności kierunku. Dlatego w japońskich wyborach chodziło o sprawy najbardziej przyziemne, na czele z nierosnącymi płacami i drogim życiem. A kwestie tożsamościowe, w tym wyzwania związane z imigracją, zeszły na odległy plan. A skoro tak, to ma być bardziej przewidywalnie, podpowiada japoński komentariat. Politycy konserwatywni mogliby zrezygnować z pustych gestów (jak wizyta w sanktuarium), a liberałowie i lewica – z pouczania reszty społeczeństwa. To podpowiedzi dla tych, którzy chcieliby zostać współczesną drugą Japonią. ■

eprasa.pl f6af64afad

Dla Norwegów monarchia to symbol ich wciąż dość młodego państwa. U góry od prawej stoją książę Haakon i jego syn Sverre Magnus, poniżej córka Ingrid Alexandra i żona Mette-Marit.

Zwyczajna monarchia

Norwegią wstrząsa seria skandali i tylko za jeden z nich odpowiada Jeffrey Epstein. W innych okolicznościach skończyłoby się rewolucją, ale przecież królowie to też ludzie.

eprasa.pl f6af64afad

KATARZYNA TUBYLEWICZ

„Przyjdź tu i uratuj mnie, umieram z nudów!" – taki esemes wysłała norweska następczyni tronu Mette-Marit do swojego przyjaciela Jeffreya Epsteina w 2012 r. Czyli już po jego pierwszej odsiadce za przestępstwa seksualne i seks z 14-latką. Księżna była wówczas na jakimś oficjalnym wydarzeniu w Nowym Jorku. Kilka tygodni po nowojorskiej nudzie, którą ostatecznie umiliły jednak zakupy w towarzystwie jednej z przyjaciółek Epsteina, księżna nudziła się na królewskim ślubie w Luksemburgu, o czym także powiadomiła Jeffreya. Innym razem, ponownie deklarując nudę, pytała: „Odwiedzisz mnie niedługo? Tęsknię za moim zwariowanym przyjacielem!".

Sprawę wyroku przyjaciela za seks z nieletnią przyszła królowa Norwegii skomentowała: „Kiepsko to wygląda". I dodała uśmiechniętą buźkę. Czy usprawiedliwieniem będzie fakt, że zawsze miała słabość do *bad boys*? Ojciec jej pierwszego dziecka, Mariusa, handlował narkotykami i odsiadywał za to wyrok, kiedy ona – dziewczyna z ludu z mocno imprezową przeszłością – spotkała przyszłego króla Norwegii Haakona.

Poczciwiec ten chyba nie wiedział zbyt dużo o przyjaźni żony z seksualnym predatorem, a w opublikowanych 30 stycznia aktach Epsteina Mette-Marit pojawia się ponad tysiąc razy. Ton mailowych i esemesowych konwersacji jest intymny, często wręcz flirtujący. Kiedy Epstein leci do Paryża, Mette-Marit pisze, że to idealne miasto do małżeńskiej zdrady. W innym mailu dziękuje mu za kwiaty. Pisze, że jest czarujący. W 2013 r. zatrzymuje się na kilka dni w domu Epsteina na Florydzie – tym samym, w którym zgwałcono wiele młodych kobiet.

Czy naprawdę nie wie, z kim ma do czynienia? Czy jest raczej tak, jak sugeruje dziennikarka szwedzkiego „Dagens Nyheter" Johanna Fränden: przyjaźnie Epsteina z kobietami ze świecznika jak Mette-Marit, pokazują perwersyjną wersję patriarchatu, gdzie kobiety na szczycie społecznej drabiny nie mają problemu z tym, że mężczyźni, z którymi obcują, krzywdzą kobiety z niższych klas społecznych. Może norweska księżna czuła się jeszcze bardziej wyjątkowa, bo okazywał jej sympatię wpływowy i bogaty przestępca? Może czyniło ją to bardziej cool we własnych oczach?

O skandalu pisze cały świat, a Mette-Marit wydała na razie króciutkie oświadczenie, w którym przeprasza Norwegów, a przede wszystkim 88-letniego króla Haralda i jego żonę. Pisze, że „obraz jej osoby, jaki wyłania się z ujawnionej korespondencji, nie jest taki, jakiego by pragnęła". Nie pojawia się ostatnio publicznie, a jej mąż powtarza mediom, że od paru lat chora na zwłóknienie płuc żona chciałaby powiedzieć więcej, ale musi na razie odpoczywać.

Zgniły kraj

Kochający swoją monarchię Norwegowie nie zdążyli nawet zaczerpnąć tchu po tym iście królewskim ciosie w splot słoneczny, bo w pierwszych dniach lutego rozpoczęła się sprawa sądowa syna przyszłej królowej. Marius Borg Høiby ma dziś 29 lat i jest oskarżony o 38 przestępstw, w tym cztery gwałty, przemoc w związkach, przewóz narkotyków (chodzi o prawie 4 kg marihuany), grożenie bliskiej kobiecie śmiercią, wykroczenia drogowe, złamanie sądowego zakazu zbliżania się do osoby, którą wcześniej prześladował, i jeszcze parę innych temu podobnych historii.

Jakby tego było mało, przed rozpoczęciem procesu został aresztowany za grożenie komuś nożem. Jego rozprawa sądowa toczy się w obecności kilkuset dziennikarzy z całego świata, parę dni temu odwiedził go w areszcie ojczym – następca tronu. Czegoś takiego jeszcze nie było w historii Norwegii. „Całe Królestwo Norwegii toczy zgnilizna" – pisze dziennikarz „Dagens Nyheter". I dodaje, że Szwedom – trochę o Norwegię ostatnio zazdrosnym – trudno nie czuć pewnej satysfakcji.

Syn Mette-Marit miał cztery lata, gdy jego matka wyszła za mąż za księcia. A że był ślicznym dzieckiem, stał się ulubieńcem prasy i Norwegów wzruszonych bajką o współczesnym Kopciuszku z nieślubnym synkiem. Mariusa nazywają bonusowym księciem, bo oficjalnie nie jest członkiem monarchii, choć oczywiście należy do rodziny królewskiej. Z rodziną mieszkał zresztą na tyle długo, że w oficjalnej rezydencji następcy tronu Skaugum zdążył nie tylko urządzić kilka narkotykowych imprez, ale także prawdopodobnie zgwałcić jedną ze swoich ofiar.

Marius nie skończył żadnych studiów i nie ma żadnego zawodu. Ma natomiast dużo pieniędzy – norweska prasa zastanawia się teraz, czy aby nie korzystał z królewskich apanaży, czyli z pieniędzy podatników. Od dawna utrzymywał też kontakty ze światem przestępczym, np. z handlarzami kokainą z gorszych części miasta. Podobno norweskie służby bezpieczeństwa prowadziły z nim na ten temat ostrzegawcze rozmowy, ale Marius twierdził buńczucznie, że to tylko przyjaźnie z dzieciństwa. W końcu miarka się przebrała, a materiał dowodowy jest tak bogaty – są to np. sfilmowane gwałty – że syn następczyni tronu i pasierb przyszłego króla Norwegii raczej posiedzi w więzieniu.

W porównaniu z tym drugi ślub siostry następcy trony, księżniczki Märthe Louise, z kontrowersyjnym amerykańskim szamanem Durkiem Vereettem to naprawdę drobnostka. Zresztą Märthe Louise zrezygnowała z apanaży, bo zarabia na działalności ezoterycznej (prowadziła m.in. szkołę porozumiewania się z aniołami), więc traktowana jest przez Norwegów jako postać oryginalna, ale trochę osobna.

Kochany król

Na szczęście dla rojalistów nadal żyje kochany i szanowany król Harald, więc monarchia chwieje się, ale trwa. W dniu, w którym rozpoczął się zaplanowany na kilka tygodni proces Mariusa, w norweskim parlamencie Stortinget odbyło się głosowanie w sprawie utrzymania monarchii lub jej rozwiązania. Zdecydowana większość posłów zagłosowała za monarchią. Jej zwolennik, poseł Ola Svennby, podsumował to tak: „Wartość monarchii nie może i nie powinna być oceniana na podstawie aktualnych wydarzeń lub nagłówków prasowych. Rodzina królewska to projekt międzypokoleniowy. Najbardziej stabilne i demokratyczne kraje na świecie są monarchiami konstytucyjnymi. Nie sądzę, żeby to był przypadek".

Norwegowie rzeczywiście w to wierzą. Wystarczy wybrać się tu na sylwestra, żeby ze zdumieniem zobaczyć, jak balowicze włączają o północy telewizor ▶

© REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl f6af64afad

▶ i w nabożnym skupieniu słuchają mowy króla. Jednocześnie najnowsze badania NRK/Norstat pokazują, że aż 44 proc. Norwegów uważa Mette-Marit za osobę nienadającą się na przyszłą królową. Tylko 22 proc. nadal chce, żeby zasiadła obok męża na tronie.

Krytykowana jest także postawa generalnie lubianego i docenianego za spokój następcy trony Haakona. Komentator dziennika „Aftenposten" posunął się nawet do stwierdzenia, że dostarcza on argumentów na rzecz likwidacji monarchii, bo nieustannie powtarza, że w obecnej sytuacji najważniejszy jest dla niego spokój rodziny. „Z ludzkiego punktu widzenia jest to zrozumiałe. Jednak w przypadku członka rodziny królewskiej, której motto brzmi »Wszystko dla Norwegii«, wypowiedź ta jest zaskakująca" – pisze, przypominając, że monarchowie i przyszli monarchowie to ludzie, od których naród ma prawo wymagać, że będą przedkładać interesy publiczne nad prywatne.

Dziewczyny z Tirany

Wyjątkowość instytucji monarchii zobowiązuje, ale akta Epsteina pokazują dobitnie, że współczesne elity miewają nikłe poczucie obowiązku. I tyczy się to także oficjalnych reprezentantów kraju o tak wysokim mniemaniu o sobie jak Norwegia – według badań Pew Research Center prawie 60 proc. Norwegów uważa, że ich kultura jest lepsza niż inne kultury (to najwyższy poziom narodowego samouwielbienia w Europie Zachodniej). Norwegowie uważają swój kraj za wyjątkowo egalitarny, godny zaufania i po prostu dobry.

Tymczasem z dokumentów Epsteina wyłania się obraz tak fatalny, że obrażony za brak Pokojowej Nagrody Nobla Donald Trump może zacierać ręce. Były premier Thorbjørn Jagland, polityk socjaldemokratycznej Partii Pracy, został objęty śledztwem w sprawie korupcji. Chodzi o prezenty i pożyczki, które miał przyjmować w czasie, gdy pełnił funkcję przewodniczącego Komitetu Noblowskiego. Wiemy o tym z akt Epsteina, bo to on dawał te prezenty i pożyczał pieniądze.

W 2012 r., kiedy Jagland był sekretarzem generalnym Rady Europejskiej i zajmował się zawodowo kwestiami praw człowieka, pisał do Epsteina tak: „Byłem w Tiranie (w Albanii), fantastyczne dziewczyny". Pół roku później Jagland pisze do Epsteina, żeby ten zaprosił go na jego wyspę na Karaibach, zwaną dziś „wyspą pedofili". Chce wziąć ze sobą synów i żonę, która wkrótce będzie obchodzić 60. urodziny „Jak wiesz, nie mogę tylko latać za młodymi laskami" – wyjaśnia. A kiedy kupuje w Oslo luksusowe mieszkanie, Epstein żyruje mu pożyczkę.

Księżna Mette-Marit i jej pierwszy, nieślubny syn Marius Borg Høiby

Inny ważny norweski socjaldemokrata Terje Rød-Larsen, jeden z architektów porozumień z Oslo między Izraelem a Palestyńczykami, w 2013 r. pożyczył od Epsteina (czyli od skazanego przestępcy) 130 tys. dol. i często odwiedzał go w Nowym Jorku. Jedna z najbardziej doświadczonych dyplomatek kraju Mona Juul została właśnie zawieszona w funkcji ambasadorki Norwegii w Jordanii, bo wyszło na jaw, że Epstein zapisał jej w testamencie 10 mln dol.

W aktach Epsteina jest więcej wpływowych Norwegów. Jak pisze „The Guardian": „Akta Jeffreya Epsteina zburzyły norweskie iluzje na temat siebie samych". Podobnego zdania są liczni szwedzcy komentatorzy – dużo dziś w Szwecji pisze się o norweskiej arogancji i zadzieraniu nosa oraz o hipokryzji, bo przecież bogactwo

© SPLASHNEWS/EAST NEWS, ANE HEM/RITZAU SCANPIX NORWAY/FORUM

eprasa.pl f6af64afad

tego kraju, tak dbającego u siebie o środowisko, pochodzi z handlu ropą naftową.

Obszernie cytowana jest też książka Martina Bech Holtego „Kraj, który zrobił się zbyt bogaty". Autor przypomina w niej, że jeszcze w 2013 r. Norwegia miała wyższe dochody per capita niż Stany Zjednoczone: „Byliśmy najbogatsi, najszczęśliwsi i najzdrowsi na świecie". Jego zdaniem gigantyczne dochody z ropy naftowej spowodowały, że Norwegia przestała się rozwijać i rzetelnie pracować – zapanował czas arogancji.

Kat czy ofiara

Kłopoty norweskiej monarchii wydają się mieć podobne źródło. Arogancja tyczy się jednak młodszego pokolenia, bo nawet norwescy republikanie doceniają starego króla. „Król postępuje godnie. Ludzie współczują mu, że jest otoczony tą – przepraszam za wyrażenie – gównoburzą" – mówi w jednym z wywiadów Craig Aaen Stockdale, przewodniczący stowarzyszenia Norwegia jako Republika, któremu przybyło w ostatnich tygodniach sporo członków.

Król Harald porusza się o kulach i ma coraz większe problemy ze zdrowiem. Ale dopóki żyje, monarchia trwa. Zdaniem Stockdalego to właśnie jest słabością norweskiego ustroju – całkowita zależność od osobowości władcy. Co więcej, monarchia łamie prawa dziecka. Stockdale uważa, że dla przestępstw Mariusa Borg Høiby'ego nie ma usprawiedliwienia, widzi jednak w synu Mette-Marit nie tylko kata, ale też ofiarę: „Dzieci z rodzin królewskich traktuje się jak rekwizyty, bo są małe i słodkie. Marius dorastał w bardzo osobliwych warunkach. Mogę sobie wyobrazić, jak źle to na niego wpłynęło".

Są też komentatorzy, którzy podkreślają, że po stronie monarchów jest zawsze czas, bo każdy skandal może zostać po latach zapomniany. Norweski Czerwony Krzyż chce dziś zrezygnować z honorowego patronatu księżnej Mette-Marit, z podobnymi planami nosi się kilka innych organizacji pomocowych. Jednak do jej ewentualnej koronacji zostało jeszcze parę lat. Może nastroje w końcu się uspokoją? Poza tym jej wizerunkowi może pomóc ciężka choroba. Jeszcze w grudniu, kiedy wiadomo było, że Mariusa czeka rozprawa sądowa, księżna i jej mąż opowiadali w telewizji o pogarszającym się zdrowiu. I o tym, że księżną czeka transplantacja płuc. Haakon zwracał uwagę na to, że po jego żonie nie widać, w jak ciężkim jest stanie, ale jej najbliżsi widzą więcej. Zostało to wtedy bardzo ciepło przyjęte. Naród współczuł.

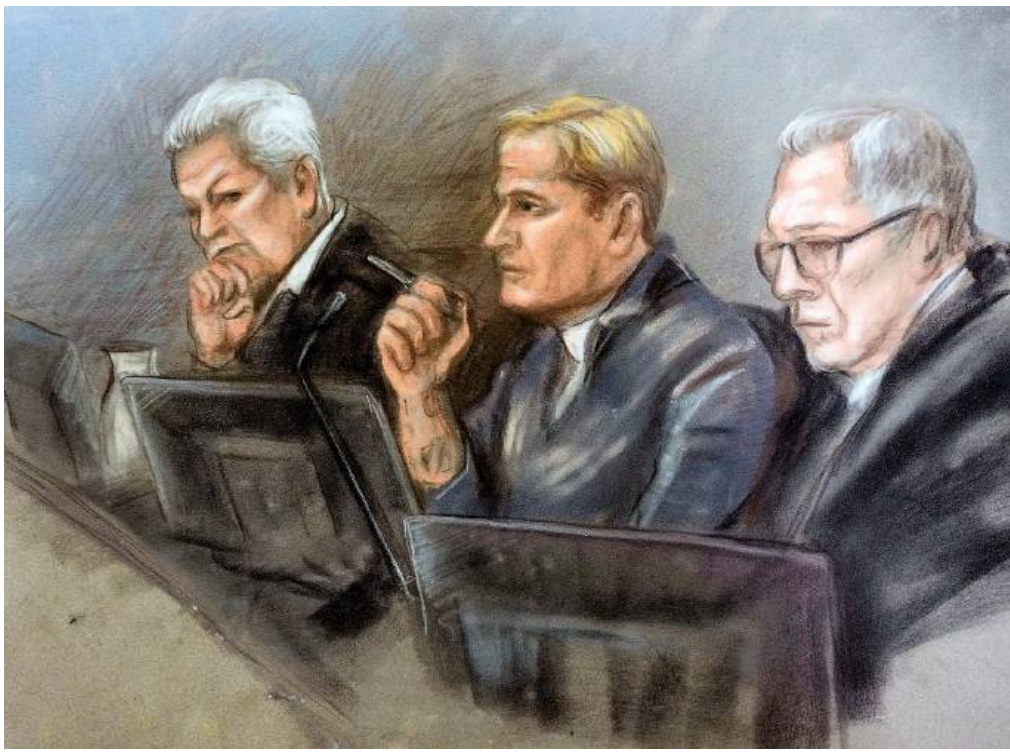

Marius (w środku) **przed sądem w Oslo. Jest oskarżony o 38 przestępstw, w tym cztery gwałty.**

Tacy zwykli

Monarchie z zasady słabo pasują do demokracji, bo przecież z demokratycznego punktu jest niepojęte, że można się urodzić po to, by zostać królem. W demokracji członkowie rodzin królewskich otrzymują też niezwykle dużo przywilejów i pieniędzy, choć nie mają prawdziwej władzy. A ich największym atutem i podstawowym narzędziem są otrzymane niejako awansem miłość i zaufanie ludu, na które niekoniecznie zasługują. Niczym piękne maskotki podnoszą rangę każdego wydarzenia.

Przypadek norweski pokazuje, że miłość do monarchów ma w dzisiejszym świecie charakter narcystyczno-nacjonalistyczny. Dla Norwegów monarchia to symbol ich wciąż dość młodego państwa. Ale także nieco bajkowe potwierdzenie ich wyjątkowości. A ponieważ żyjemy w kulturze terapeutycznej XXI w., w razie kłopotów monarchowie powołują się nie na konstytucję czy miłość do kraju, lecz na własną zwykłość, ludzkość i trudności psychiczne.

Następca tronu Norwegii nie może na razie martwić się o kłopoty wizerunkowe kraju, bo zajmuje się rodziną. Jego przyszywany syn Marius ma podobno liczne diagnozy, nie radził sobie nigdy ze sobą i źle się czuje podczas procesu. Księżna Mette-Marit nie tłumaczy narodowi swojej przyjaźni z Epsteinem, bo ma „potrzebę przestrzeni" na uporanie się z traumą po jej ujawnieniu.

Córka Mette-Marit i Haakona, Ingrid, kolejna w kolejce do tronu, napisała ostatnio w ostrym tonie na Instagramie, że ma dość mediów i pisania o jej rodzinie, i że powinno się to zakończyć. Jako dorosła już osoba i przyszła królowa powinna wiedzieć, że w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia, spadła więc na nią zasłużona krytyka. Ale jednocześnie przecież jest „tylko zwykłą, młodą kobietą", której mama i przyrodni brat mają kłopoty, więc jest jej trudno – współczują jej miłośnicy monarchii i internauci. Może więc jednak ma prawo? A może w ogóle jest tak, że norweska monarchia po prostu nie ma już specjalnych zobowiązań (ani praw). A istnieje tylko dlatego, że Norwegowie – tak jak wszyscy inni, nie bójmy się tego powiedzieć – kochają celebrytów i bogactwo?

KATARZYNA TUBYLEWICZ

eprasa.pl f6af64afad

Oziębienie wskutek ocieplenia

Skąd na ocieplającym się globie biorą się fale siarczystych mrozów regularnie docierających do średnich szerokości geograficznych? Naukowcy od ponad dekady próbują rozwiązać tę zagadkę.

ANDRZEJ HOŁDYS

Zima meteorologiczna obejmuje miesiące grudzień, styczeń i luty. Obecna zaczęła się u nas tak samo jak większość kilkunastu ostatnich zim: temperaturami znacznie przekraczającymi klimatyczną normę. Tak było przez cały grudzień, który – jak wyliczył IMGW – okazał się aż o 2,3 st. C cieplejszy od średniej wieloletniej. Dodajmy, że jest to średnia z okresu 1991–2020, który był znacznie cieplejszy od wcześniejszych dekad. Wydawało się więc, że reszta zimy będzie równie łagodna, a styczeń i luty pójdą w ślady grudnia. Były podstawy, by się tego spodziewać. Wszak średnia roczna temperatura na globie bije od trzech lat rekordy, zimy w Polsce są z dekady na dekadę coraz cieplejsze, a zeszłoroczny styczeń należał do najcieplejszych w historii pomiarów – przeskoczył normę wieloletnią o 3,2 st. C.

Gdy więc kilka dni po Nowym Roku temperatury w wielu regionach Polski zaczęły pikować, wielu sądziło, że – jak to się często zdarzało w ostatnich latach – wszystko skończy się na kilkudniowym wybryku pogodowym. Tym razem było jednak inaczej. Po pierwszej fali mrozów przyszła druga, a po niej trzecia, najsilniejsza jak dotąd, czyli ta z przełomu stycznia i lutego, gdy temperatura minimalna na Podlasiu i Suwalszczyźnie zjechała w pobliże –30 st. C. W efekcie cały tegoroczny styczeń okazał

eprasa.pl f6af64afad

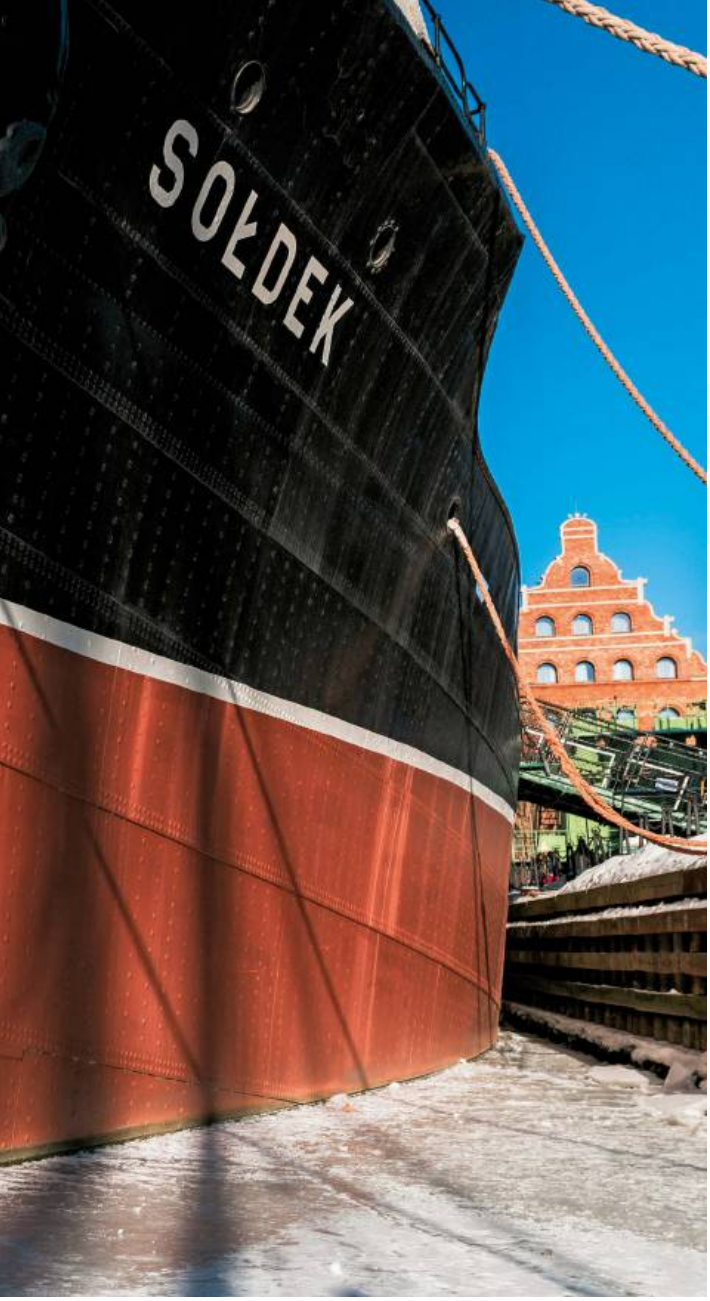

Podczas gdy w północnej Europie zima trzyma, na południu i zachodzie ulewne deszcze i nawałnice wywoływały groźne powodzie. Na zdjęciach: **Gdańsk – zamarznięta Motława, zwały lodowe, tzw. torosy, na plaży w Mikoszewie nad Zatoką Gdańską i zalane ulice hiszpańskiego Toledo.**

© OLIWIA DOMAŃSKA/EAST NEWS, PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI/REPORTER, MANU REINO/EPA/PAP

się w Polsce chłodniejszy od normy o ok. 3 st. C, a od poprzedniego stycznia aż o 6 st. C. Tak wskazują wstępne dane IMGW. Na ten wynik zapracowała głównie północno-wschodnia i centralna część kraju. W zachodniej i południowej Polsce styczniowy atak zimy był o wiele mniej dotkliwy, a mieszkający tam ludzie niekoniecznie będą wspominali tegoroczną zimę jako coś nadzwyczajnego.

Ekspres polarny

Faktem jest jednak, że takiej długiej i ostrej fali mrozów i opadów śniegu nie mieliśmy w Polsce od początku poprzedniej dekady (lata 2010-11). Skąd się wzięła, skoro klimat mamy coraz cieplejszy? Co ciekawe, w tej sprawie toczy się na świecie bardzo ożywiona debata. Zjawisko nie dotyczy bowiem tylko Polski, ale całej strefy umiarkowanej półkuli północnej. Potężne bąble chłodu spływające z Arktyki regularnie nawiedzają zimą również inne regiony Eurazji i Ameryki Północnej. Na początku lutego śnieżyce sparaliżowały wschodnią część USA, a mrozy dotarły aż do Florydy. W grudniu 2023 r. niezwykle mroźna masa powietrza przepłynęła znad Syberii do wschodniej części Chin, paraliżując transport, niszcząc uprawy i odcinając od prądu miliony ludzi w setkach miejscowości.

Za każdym razem, gdy przybywa taki „ekspres polarny", odzywają się ci, którzy powątpiewają w zmianę klimatu lub wręcz jej zaprzeczają. Po drugiej stronie są te osoby, które każdą skrajność pogodową gotowe są przypisać zmianie klimatu. Dla nich każda dłuższa fala ostrych mrozów to uboczny skutek podnoszenia się temperatur na globie. A jak jest naprawdę? Naukowcy nie kwestionują oczywiście samej zmiany klimatu na Ziemi, natomiast różnią się, i to dość zasadniczo, gdy przychodzi im odpowiedzieć na pytanie, jak ta zmiana przekłada się na częstotliwość i intensywność takich epizodów mroźnej pogody jak tegoroczny.

Dominują dwa poglądy. Wielu badaczy faktycznie jest zdania, że zmiana klimatu globalnego zwiększyła częstotliwość takich adwekcji arktycznych mas powietrza, które wybierają sobie jakiś kawałek lądu w umiarkowanych szerokościach geograficznych półkuli północnej, a następnie zmrażają go, zasypują śniegiem oraz raczą gołoledziami, marznącymi deszczami, oblodzeniami ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ i innymi zimowymi atrakcjami. Ci naukowcy jako bezpośrednią przyczynę wskazują szybko ocieplającą się Arktykę, która dzieli się chłodem z krainami sąsiadującymi z nią od południa.

Druga grupa nie podważa tego, że Arktyka się ociepla, ale nie dostrzega związku między tym zjawiskiem a częstotliwością fal mrozów spływających z północy na południe. Dla nich powroty mroźnych zim są przejawem naturalnej zmienności klimatu, która nakłada się na ocieplający trend. Ten ostatni jest niepodważalny, ale nie oznacza to przecież, że każdy następny styczeń czy luty będą cieplejsze od poprzedniego. Dwa ostatnie stycznie w naszym kawałku Europy – jeden znacznie cieplejszy od normy, a drugi znacznie chłodniejszy – są tego doskonałym przykładem. Naukowcy z tego obozu dowodzą zresztą, że ocieplenie ziemskiego klimatu stopniowo redukuje częstotliwość takich surowych zim w umiarkowanych szerokościach geograficznych: pół wieku temu były one normą, dziś zjawiają się od czasu do czasu, a w przyszłości zupełnie zanikną, jeśli temperatury na globie jeszcze bardziej się podniosą.

Klincz pogodowy

Spór zaczął się w 2012 r., kiedy Jennifer Francis z Rutgers University i Steven Vavrus z University of Wisconsin–Madison zwrócili uwagę na intrygującą zmianę w zachowaniu polarnego *jet streamu*. Jest to potężny strumień powietrza okrążający planetę z zachodu na wschód na wysokości 10–12 km. Jego trasa wiedzie mniej więcej nad południową Kanadą, a następnie nad północnym Atlantykiem, północną Europą i Syberią oraz północnym Pacyfikiem. Ta olbrzymia dmuchawa, w której powietrze porusza się ze średnią prędkością 150 km/h, powstaje w wyniku kolizji zimnych mas arktycznego powietrza z ciepłym powietrzem napływającym od zwrotnika. Im większa jest różnica temperatury i ciśnienia pomiędzy tymi dwiema masami, tym *jet stream* ma większą moc i mniej kręty przebieg. Pędzi wówczas wokół globu możliwie najkrótszą drogą, odgradzając arktyczne powietrze od reszty świata i zamykając je w potężnym niżu zwanym wirem polarnym, który sięga granicy stratosfery.

Francis i Vavrus zauważyli jednak, że od pewnego czasu z *jet streamem* dzieje się coś dziwnego – coraz częściej zdarza mu się wyhamować i zamiast pędzić prostą drogą, zaczyna meandrować. Na dodatek potrafi przysnąć na pewien czas i w efekcie cała cyrkulacja dostaje zadyszki. Fale upałów, susz, mrozów, śnieżyc czy też ulew mogą utknąć na wiele tygodni nad jakimś regionem. W tym samym czasie w sąsiednim regionie oddalonym o kilkaset kilometrów nie będzie nawet śladu ekstremalnej pogody. Takie blokady zdarzają się zwykle latem i jesienią, ale mogą się pojawić również zimą. Wówczas do jednej części kontynentu *jet stream* sprowadzi mroźną, wyżową pogodę, a do drugiej – korowód głębokich niżów barycznych z wichurami i ulewami. Tak właśnie było od połowy stycznia w Europie: u nas silne mrozy, a w Portugalii, Hiszpanii, Anglii i niektórych rejonach Francji uporczywe, największe od dekad nawałnice.

Skąd biorą się te pogodowe klincze? Francis i Vavrus za głównego winowajcę uznali błyskawiczny, znacznie szybszy od średniej globalnej, wzrost temperatur za kołem podbiegunowym północnym. W konsekwencji zmniejsza się różnica pomiędzy Arktyką a umiarkowanymi szerokościami geograficznymi, a to ona właśnie napędza *jet stream*. Dlatego coraz częściej zmienia się w leniwą rzekę z meandrami, które sięgają daleko na północ i południe. Jeśli to się dzieje zimą, pierwszy zawijas tłoczy cieplejsze powietrze w stronę bieguna północnego, drugi – zmraża arktycznym powietrzem, powiedzmy, połówkę Europy. Wszystko to z powodu szybko ocieplającej się Arktyki, która w najbliższych dekadach może częściej posyłać na południe takie pakiety zimna w meandrach leniwego *jet streamu* – prognozowali badacze.

Nasilenie rzekome

Zgrabna hipoteza tłumacząca pojawianie się nagłych i uporczywych ataków zimna – a także innych klinczów pogodowych w ciągu roku – zyskała wielu zwolenników. Do Francis i Vavrusa dołączyły dziesiątki badaczy. Topowe czasopisma naukowe, z „Science" i „Nature" na czele, od kilkunastu lat regularnie publikują prace, których autorzy dowodzą, że mniej więcej od początku tego stulecia bąble wiru polarnego wypełnione mroźnym, arktycznym powietrzem coraz częściej wędrują na południe za sprawą Arktyki rozgrzewanej generalną zmianą klimatu na globie, sprowokowaną – dodajmy – gigantycznymi emisjami gazów cieplarnianych. Sami autorzy hipotezy także nie próżnowali. W 2024 r. Francis w towarzystwie Judaha Cohena i Karla Pfeiffera opublikowała w „Nature Communications Earth & Environment" obszerną analizę danych z całej półkuli północnej, stwierdzając, że „wraz ze wzrostem temperatury w Arktyce rośnie prawdopodobieństwo bardziej surowych zim w północnej i wschodniej części USA, północnej i wschodniej części Europy oraz w północnej Azji, przy czym będą one pojawiały się zwykle w drugiej połowie sezonu".

Traf chciał, a może nie był to przypadek, że dzień wcześniej, w innym prestiżowym czasopiśmie „Science Advances" opublikowany został artykuł, którego autorzy twierdzili coś dokładnie przeciwnego. Dowodzili mianowicie, opierając się na analizach danych pomiarowych z setek stacji meteorologicznych, że od początku ostatniej dekady XX w. liczba zimowych ekstremów pogodowych w umiarkowanych szerokościach geograficznych półkuli północnej wcale nie wzrosła, ale zmalała. „Rzekome nasilenie się tych skrajności to artefakt wynikający ze sposobu interpretacji danych. W rzeczywistości zimy są coraz cieplejsze, a ekstrema temperaturowe coraz mniej ekstremalne" – skwitował zespół, któremu liderował Russell Blackport, klimatolog z kanadyjskiej rządowej agencji Environment and Climate Change Canada. Jego sojusznik, klimatolog Gavin Schmidt, dyrektor NASA Goddard Institute for Space Studies w Nowym Jorku, wyzłośliwiał się w swoim blogu „RealClimate": „Wielu ludzi od ponad dekady przeznaczyło mnóstwo czasu i wysiłku na udowodnienie, że jest inaczej. W dużym stopniu był to wysiłek i czas zmarnowany".

Blackport i badacze, którzy zapisali się do jego obozu, konsekwentnie twierdzą, że wszystkie te ostatnie odwroty i powroty surowych zim w umiarkowanych szerokościach geograficznych mieszczą się doskonale w zakresie zmienności naturalnej klimatu i nie ma powodu, by wiązać je tak jednoznacznie z ociepleniem Arktyki. Jej doborowe hufce, z mrozami na czele, będą nadal wyruszały na południe w sprzyjających warunkach, tyle że coraz rzadziej za sprawą globalnego ocieplenia. Co do tego, że tak może się stać w dłuższej perspektywie czasowej, zgadzają się obie grupy badaczy. „Jeśli szybko powstrzymamy wzrost temperatur na globie, to pewnie mroźne i śnieżne zimy będą do nas powracały od czasu do czasu. Jeśli jednak temperatury globalne wzrosną, wówczas Arktyka w obecnej postaci odejdzie w przeszłość, a wraz z nią zimy, jakie znamy" – mówi Blackport.

ANDRZEJ HOŁDYS

eprasa.pl f6af64afad

Pokoloruj moje zwoje

Rozmowa z dr. Michałem Januszewskim, naukowcem z Google Research w Zurychu, o tym, czy tworzone za pomocą AI mapy mózgu pozwolą w końcu zrozumieć, jak działa ten niezwykle skomplikowany organ.

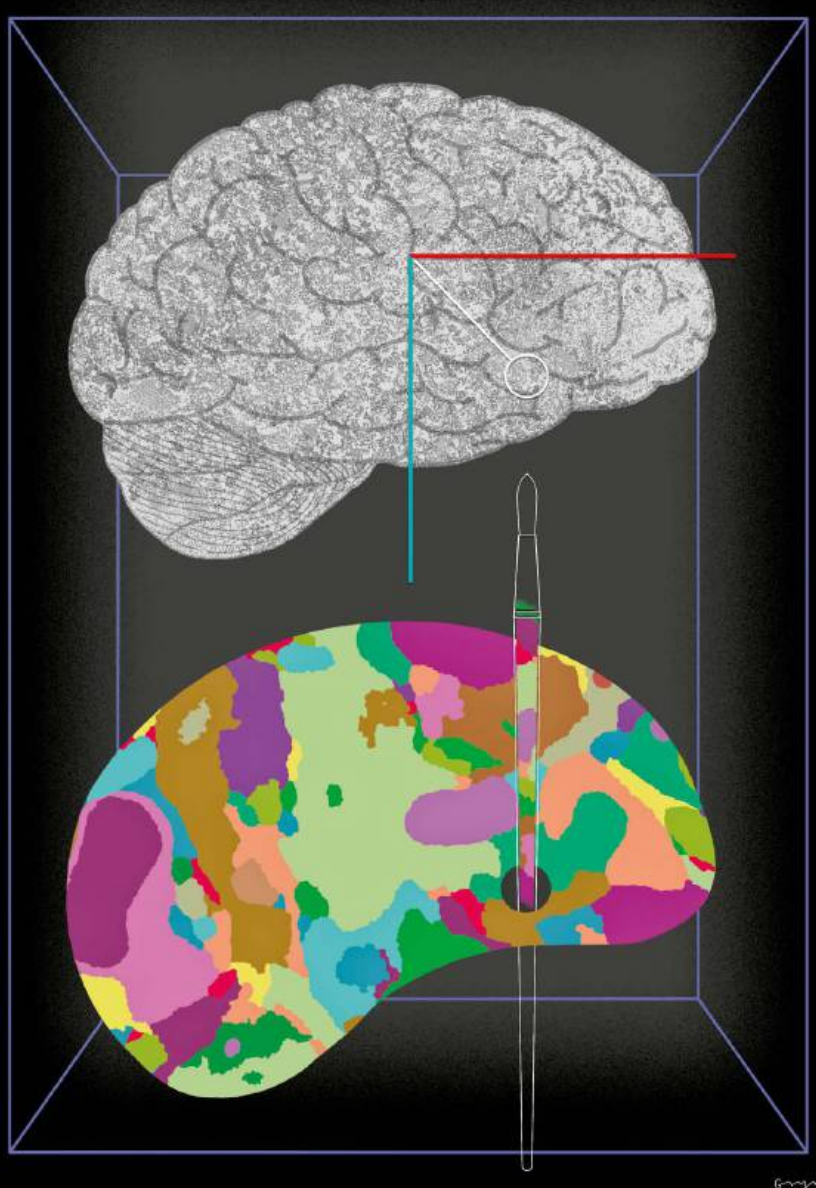

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

MARCIN ROTKIEWICZ: – **„Google Maps dla mózgu" – tak często określa się narzędzie do podglądania połączeń między komórkami tkanki nerwowej, stworzone przez zespół naukowców, w którym pan pracuje. Brzmi chwytliwie, ale czy nie jest trochę na wyrost?**

MICHAŁ JANUSZEWSKI: – Ja bym go jednak bronił. Udało nam się bowiem opracować interaktywne mapy tkanki nerwowej, które można np. przybliżać lub obracać, aby zobaczyć szczegóły połączeń między komórkami, przede wszystkim w mózgu. A właśnie to jest głównym celem konektomiki – dziedziny neuronauki zajmującej się mapowaniem i analizą konektomu, czyli kompletnej sieci połączeń neuronalnych w układzie nerwowym.

Jaka jest oryginalna nazwa tego mózgowego Google Maps i czy zostało już udostępnione?

Neuroglancer. Każdy może go przetestować bez logowania, gdyż działa w przeglądarce internetowej

I co dzięki niemu zobaczy?

Zarówno surowe obrazy tkanki nerwowej pochodzące z mikroskopów elektronowych, jak i wyniki naszych analiz, np. trójwymiarowe wizualizacje fragmentów mózgu. Można je powiększać, żeby przyjrzeć się przekrojom pojedynczych komórek z dokładnością nawet rzędu milionowych części milimetra na jeden piksel ekranu. Lub oddalać widok, aby objąć wzrokiem kilka milimetrów tkanki, czy też obracać w różnych kierunkach. Oczywiście Neuroglancer jest przeznaczony dla naukowców, ale laicy też mogą się nim trochę pobawić, żeby obejrzeć mózg w skali mikro.

Jak powstaje taka mapa?

Używamy do tego przede wszystkim dwóch typów narzędzi. Pierwsze to mikroskopia elektronowa, pozwalająca uzyskiwać obrazy tkanki nerwowej z ogromnym powiększeniem, niezbędnym, by dostrzec wszystkie szczegóły budowy mózgu. Nasz zespół nie posiada takich urządzeń ani nie prowadzi badań na fizycznych próbkach. Robią to partnerzy, z którymi współpracujemy, czyli instytucje naukowe specjalizujące się w przygotowywaniu preparatów i obrazowaniu. My wchodzimy do gry dopiero na etapie analizy – za pomocą potężnych komputerów i algorytmów sztucznej inteligencji tworzymy konektomiczne mapy. Dzięki takiemu podziałowi zadań każdy robi to, na czym zna się najlepiej: ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ biologowie zajmują się tkanką, a my przetwarzamy ogromne ilości danych, które z niej pochodzą.

Jakie zadania wykonuje AI?

Nazwałbym to kolorowaniem. Z mikroskopu elektronowego otrzymujemy tylko czarno-białe obrazy gmatwaniny linii, w których przebiegu na pierwszy rzut oka nie sposób się połapać. Chodzi więc o to, żeby model sztucznej inteligencji zidentyfikował kontury komórek i wypełnił różnymi kolorami obszary znajdujące się pomiędzy nimi. Innymi słowy, zadaniem AI jest precyzyjne określenie, który fragment obrazu należy do np. jednego konkretnego neuronu, a który do sąsiedniego. Dzięki temu zamiast ingerować w tkankę biologicznie, uzyskujemy efekt wirtualnego jej pokolorowania.

Którym etapem tworzenia takich map pan się zajmuje?

Skupiam się na procesie zwanym segmentacją, czyli wspomnianym już wykrywaniem konturów poszczególnych neuronów.

Nie jest pan z wykształcenia biologiem, lecz fizykiem. W dodatku zajmował się pan dość hermetycznie brzmiącą „numeryczną dynamiką płynów". Czy ta wiedza przydaje się panu teraz do tworzenia map mózgu, czy też musiał się pan przekwalifikować?

Jak najbardziej się przydaje. Numeryczna dynamika płynów opiera się na wykonywaniu zaawansowanych symulacji komputerowych zachowania cieczy i gazów. Wykorzystywałem komputerowe karty graficzne, co kiedyś było stosunkowo nową technologią, a dziś jest powszechne w trenowaniu sztucznych sieci neuronowych dużych modeli językowych, jak ChatGPT czy Gemini. Dzięki temu, że znałem techniki optymalizacji takich operacji, mogłem przenieść te umiejętności bezpośrednio na nowy grunt konektomiki. Jednym z moich pierwszych projektów w obecnym zespole było właśnie stworzenie bardziej wydajnych modeli przetwarzających ogromne ilości danych, z którymi pracujemy przy mapowaniu mózgu.

Wspomniał pan, że w internecie za pomocą Neuroglancera można już oglądać mapy tkanki nerwowej. Ludzkiej czy zwierzęcej?

W 2025 r. opublikowaliśmy pierwszy kompletny konektom układu nerwowego, w tym mózgu, dorosłej muszki owocowej. Składa się z ponad 166 tys. neuronów i ok. 46 mln połączeń między nimi. Pracujemy też nad larwą ryby danio pręgowane, będącej popularnym modelowym organizmem w badaniach naukowych, gdyż na wczesnym etapie życia jest przezroczysta, co ogromnie ułatwia obserwacje. Mamy już dostępną jej mapę funkcjonalną, czyli obrazującą aktywność neuronów. A jeśli chodzi o pełny konektom, to niedługo powinien być już gotowy.

Dr **Michał Januszewski** pracuje w ośrodku badawczym Google w Zurychu, gdzie specjalizuje się w wykorzystaniu zaawansowanych metod uczenia maszynowego, w tym opracowanych przez siebie sztucznych sieci neuronowych, do automatycznej rekonstrukcji trójwymiarowych map połączeń komórek nerwowych. Jego badania odegrały ważną rolę w projektach takich jak zmapowanie układu nerwowego muszki owocowej oraz rekonstrukcja fragmentu ludzkiej kory mózgowej. Tytuł doktora fizyki uzyskał na Uniwersytecie Śląskim, przed dołączeniem do Google zajmował się numerycznymi symulacjami dynamiki płynów i fizyką statystyczną.

Zmapowaliście też malutki, bo mierzący zaledwie 1 mm sześc., fragment ludzkiego mózgu.

Nie brzmi to imponująco, ale mapa nawet tak niewielkiego kawałka kory skroniowej człowieka zawiera 1,4 petabajta danych, czyli 1,4 mln gigabajtów. Tyle zajmują informacje o ok. 57 tys. komórek nerwowych i 150 mln połączeń między nimi. To największy fragment ludzkiego mózgu, dla którego dysponujemy mapą w tak dobrej rozdzielczości.

Publikacja naukowa na ten temat powstała w 2024 r. we współpracy z laboratorium Jeffa Lichtmana, neurobiologa z Uniwersytetu Harvarda. Kilkanaście lat temu pisałem w POLITYCE o tworzonych przez jego zespół kolorowych mapach połączeń komórek w mózgu. Powstawały dzięki inżynierii genetycznej, gdyż myszom „przeszczepiano" geny meduzy kodujące różnokolorowe białka. Dzięki temu neurony same się zabarwiały. Czy dziś modyfikacje genetyczne zastępuje AI?

W dużym uproszczeniu to trafne podsumowanie. Metoda Brainbow, o której pisał pan przed laty, była niezwykle innowacyjna – wykorzystywała genetykę i biochemię do „podświetlenia" i kolorowania tkanki nerwowej, co ułatwiało analizy. Miała jednak swoje ograniczenia, gdyż wymagała modyfikacji genetycznych, więc nie można jej było stosować u ludzi. Ponadto w Brainbow nie wykorzystywano mikroskopów elektronowych, więc mapy nie miały wystarczającej rozdzielczości, by dostrzec najdrobniejsze połączenia synaptyczne między neuronami. To, co obecnie robimy, można nazwać „wirtualnym Brainbow". Zamiast modyfikować tkankę biologicznie, wykorzystujemy do kolorowania algorytmy.

Czy to oznacza, że metody obrazowania oparte na mikroskopii optycznej, a nie elektronowej, odeszły do lamusa?

Niekoniecznie. Wspólnie z badaczami z Austrii testujemy nową, pomysłową metodę LICONN. Wykorzystuje sprytny trik – tkankę nerwową poddaje się działaniu substancji, które sprawiają, że „puchnie", zwiększając rozmiary nawet 16 razy. Dzięki temu możemy używać mikroskopów optycznych, by widzieć detale wcześniej dla nich nieuchwytne. Co ważne, ta metoda pozwala nam też barwić chemicznie konkretne elementy, np. synapsy, a to w przyszłości może pomóc tworzyć mapy nie tylko połączeń, ale i chemii mózgu.

Brzmi to imponująco, tylko nadal nie znamy odpowiedzi na fundamentalne pytania, np. o to, jak mózg koduje informacje. Nie mamy też m.in. pojęcia, w jaki sposób sieć zaledwie 302 neuronów składających się na układ nerwowy nicienia, czyli malutkiego robaka, steruje jego ciałem składającym się tylko z ok. 1 tys. komórek. Czyli nadal nie rozumiemy, co widzimy na tych mapach.

Ta ocena wydaje mi się zbyt pesymistyczna. Zacznijmy od nicienia. Przez lata panowało przekonanie, że sieć połączeń między tymi 302 neuronami jest statyczna i praktycznie identyczna u każdego dorosłego robaka. Jednak badania, m.in. w laboratorium prof. Lichtmana, wykazały, że to „okablowanie" zmienia się w trakcie rozwoju i różni między poszczególnymi osobnikami. Zatem nawet w tak prostym organizmie schemat połączeń nie jest dany raz na zawsze.

A co do sensu tworzenia map tkanki nerwowej, często posługuję się analogią do procesora komputerowego. Konektomika pozwala nam tworzyć coś

eprasa.pl f6af64afad

podobnego do schematu połączeń wszystkich tranzystorów, czyli mikroskopijnych przełączników, które sterują przepływem informacji w układach elektronicznych. Taka mapa sama w sobie nie powie nam, jakie oprogramowanie działa na komputerze w danej chwili, ale bez niej zrozumienie działania sprzętu będzie niemożliwe. W inżynierii panuje przekonanie, że struktura określa funkcję, co moim zdaniem odnosi się również do neuronauki. Jeśli zrozumiemy budowę tkanki nerwowej, będziemy w stanie pojąć, jak ona funkcjonuje.

Również twierdzenie, że właściwie nic nie wiemy o podstawach działania mózgu, jest trochę niesprawiedliwe. W przypadku muszki owocowej, dla której mamy już cały konektom, udało się stworzyć pewne uproszczone symulacje. Choć są niekompletne, to potrafią odtworzyć zachowanie owada np. od odebrania bodźca – dajmy na to dostrzeżenia kawałka owocu – aż po konkretne ruchy. To dowód, że mając mapę połączeń tkanki nerwowej, możemy przewidzieć, co zrobi dany organizm.

Oczywiście sam statyczny konektom jest niewystarczający. Dlatego przyszłością są badania multimodalne, a więc integrujące mapę połączeń z aktywnością mózgu. Używając analogii komputerowej, musimy widzieć nie tylko kable, ale też kiedy płynie w nich prąd. Chodzi o obserwację aktywności komórek nerwowych oraz substancji chemicznych sterujących komunikacją między nimi. Dopiero nałożenie tych warstw na siebie pozwoli tworzyć modele, które w końcu wyjaśnią, jak mózg przetwarza informacje.

Obecne duże modele językowe, takie jak ChatGPT czy Gemini, opierają się na sztucznych sieciach neuronowych. Laik może je sobie wyobrażać jako pewne fizyczne struktury, podobne do neuronów w mózgu. Tymczasem są to stosunkowo proste wzory matematyczne zapisane w postaci kodu komputerowego. Czy biologiczne komórki nerwowe też kiedyś da się sprowadzić do takich wzorów? Czy raczej są to twory zbyt skomplikowane?

Jako fizyk z wykształcenia uważam, że na pewnym etapie wszystko da się opisać odpowiednim modelem matematycznym. Zatem kluczowe pytanie nie brzmi „czy", ale „jak bardzo" ten model musi być skomplikowany, aby opis miał sens. Sztuczne neurony, będące podstawą dzisiejszych modeli AI, są oczywiście

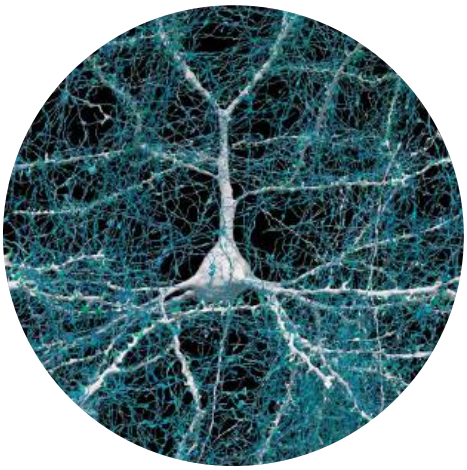

Neuron z aksonami (włóknami nerwowymi)

inspirowane biologią, ale stanowią jej ekstremalne uproszczenie. To „matematyczne punkty", które zbierają sygnały, wykonują na nich proste operacje obliczeniowe i wysyłają wynik dalej. A prawdziwe neurony są skomplikowanymi strukturami fizycznymi o różnej długości i kształcie. W mózgu sygnał nie dociera do celu natychmiast – musi pokonać pewną odległość, co zawsze powoduje jakieś opóźnienia. Okazuje się jednak, że wystarczy jeden wzór matematyczny z zaledwie czterema zmiennymi, żeby oddać ogólny charakter aktywności elektrycznej danej klasy neuronów.

Tylko że diabeł tkwi w szczegółach.

Na pewno. Jak już wspomniałem, biologiczny neuron ma skomplikowaną budowę przestrzenną, którą badamy w konektomice. Jeśli więc chcemy odwzorować konkretną komórkę ze wszystkimi niuansami, proste wzory matematyczne przestają wystarczać. Potrzebujemy znacznie bardziej złożonego narzędzia, np. całej sztucznej sieci neuronowej, by symulować jeden biologiczny neuron. To pokazuje różnicę skali złożoności, ale nie oznacza, że problem jest beznadziejny czy wymyka się matematyce. Po prostu w nauce dobieramy stopień komplikacji modelu do zagadnienia, które w danym momencie chcemy rozwiązać.

Pracuje pan w ośrodku badawczym Google w Zurychu, ale serce „sztucznej inteligencji" pańskiej firmy bije w Londynie, czyli w słynnym laboratorium DeepMind, kierowanym przez noblistę Demisa Hassabisa. Czy współpracujecie z nim, tworząc mapy mózgu?

I tak, i nie. Konektomika, choć fascynująca, pozostaje dziedziną dość niszową. Pracujemy bowiem na bardzo nietypowych danych i mierzymy się z problemami, które wymagają rozwiązań „szytych na miarę", specyficznych dla tego typu wyzwań. Nie oznacza to jednak, że działamy w izolacji. Współpracujemy zarówno z zespołami wewnątrz naszej firmy, jak i z instytucjami naukowymi na zewnątrz. Jesteśmy grupą bardzo otwartą na każdego, kto dysponuje ciekawą technologią, którą moglibyśmy zastosować, albo ma interesujące pomysły, jak wykorzystać zgromadzone przez nas dane.

Dlaczego wybrał pan tak nietypową drogę kariery naukowej – nie w laboratorium uniwersyteckim czy instytucie naukowym, lecz w potężnej międzynarodowej korporacji?

Stworzyła ona naprawdę duży dział Google Research, który zajmuje się badaniami – od wpływających bezpośrednio na sprzedawane produkty po te podstawowe, będące wkładem w rozwój nauki. Nasz zespół znajduje się na tym najbardziej naukowym końcu spektrum działalności Google.

Z jakich powodów koncern interesuje się tak niszowym zagadnieniem, jakim są mapy mózgu?

Konieczność przetworzenia petabajtów danych wymagała nowych narzędzi, z których teraz korzysta cała firma. Np. biblioteka TensorStore, stworzona do mapowania mózgu, obecnie wspiera trening modeli AI. Zasoby korporacyjne umożliwiają badania, a naukowe problemy stają się katalizatorem rozwoju technologii. Ponadto postępy konektomiki przybliżają nas do zrozumienia fundamentalnych zasad działania mózgu. Dla Google wiedza ta może stać się inspiracją do udoskonalenia metod sztucznej inteligencji.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

KUP TERAZ

Polecamy również lekturę Niezbędnika Inteligenta **„ZROZUMIEĆ MÓZG"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

© MICHAŁ JANUSZEWSKI (2)

eprasa.pl f6af64afad

Ambasador ZSRR w PRL Awierkij Aristow z marszałkiem Marianem Spychalskim, Warszawa, 1969 r. Obok: **portrety rosyjskich ambasadorów w I RP.** Od góry: **Grigorij Dołgoruki, Nikołaj Repnin i Osip Igelström.**

Egzekutorzy z ambasady

TOMASZ TARGAŃSKI

Historia Polski pokazuje, że groźba „zewnętrznej ingerencji" częściej niż od ambasadorów jawnych wrogów pochodziła od przedstawicieli najbliższych sojuszników.

eprasa.pl f6af64afad

„Boże, strzeż mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam” – słowa przypisywane kardynałowi Richelieu mogłyby służyć za memento dla dziejów Polski na przestrzeni ostatnich 300 lat. Od początku XVIII w. obcy ambasadorowie raz po raz organizowali nad Wisłą spiski, korumpowali, wywierali naciski, planowali ciche przewroty i zamachy stanu. Im słabsze było państwo, tym bardziej rośli w siłę.

Obserwator Dołgoruki

Pierwszym obcym władcą, który zdobył realny i bezpośredni wpływ na politykę Rzeczpospolitej, był car Piotr Wielki. W roli wykonawcy jego woli nad Wisłą występował poseł i ambasador Grigorij Dołgoruki, który z niewielkimi przerwami przebywał w Polsce od 1700 do 1720 r. Wśród historyków cieszył się taką niechęcią, że obsadzili go w roli architekta Sejmu Niemego z 1717 r., który faktycznie potwierdzał rosyjskie wpływy w Rzeczpospolitej. W rzeczywistości Dołgoruki nie miał dostępu do tekstów konstytucji sejmowych ani ich nie zatwierdzał. Jego działania i wpływy miały bardziej subtelny charakter. Występując w roli zaprzyjaźnionego „doradcy”, nie uciekał się do przymusu ani gróźb – te metody stosowali dopiero jego następcy. Dołgoruki nawiązywał kontakty, pozyskiwał sojuszników, wyświadczał przysługi i wspomagał finansowo. Obserwował i poznawał polski system rządów: słabości władzy królewskiej, system parlamentarny (z liberum veto na czele) oraz animozje i indywidualne aspiracje magnatów. Długo i starannie odgrywał rolę uczynnego sojusznika Augusta Mocnego; przedstawiciela kraju, który formalnie pozostawał z Rzeczpospolitą w sojuszu i wieczystym pokoju.

Ambasador Wiktor Lebiediew składa życzenia noworoczne Bierutowi, Warszawa, 1949 r.

Dołgoruki dał się też poznać jako mistrz dezinformacji. Gdy w 1720 r. król August II postanowił wyrwać się z sojuszu z Piotrem, ambasador przez swych agentów rozsiewał pogłoski, jakoby król dążył do wojny i absolutyzmu. Później, kiedy na horyzoncie pojawiła się możliwość nawiązania przez Polskę sojuszu ze Szwecją, ambasada rosyjska kolportowała pogłoski o złożonym z Kozaków i Kałmuków regimencie rosyjskim, który zamierza wtargnąć w granice Rzeczpospolitej, jeśli sejm ów sojusz zatwierdzi.

Ranking Repnina

Szczytowy okres wpływów ambasadorów Rosji w Rzeczpospolitej przypadł na czasy Stanisława Augusta Poniatowskiego. Nierozerwalnie wiąże się on z Nikołajem Repninem, ministrem pełnomocnym w Warszawie w latach 1764–69 oraz Osipem Igelströmem, który niepodzielnie panował w polskiej stolicy w latach 1793–94. Obaj byli bezpośrednimi wykonawcami woli Katarzyny II. Obaj wynieśli łapownictwo i szantaż do formy sztuki dyplomatycznej. Nie byli oczywiście jedynymi, którzy korumpowali. Pieniądze od obcych dworów – Prus, Austrii czy Francji – płynęły do magnatów szerokim strumieniem. Tych, którzy je brali, nazwano jurgieltnikami (od niemieckiego słowa Jahrgeld, co oznaczało roczną pensję). Na liście płac był również król Stanisław August. Kiedy tylko Repnin zjawił się w Warszawie, Katarzyna II wypłaciła mu 100 tys. czerwonych złotych „na pierwsze potrzeby”. Rachunek był prosty – caryca uznała, że korupcja będzie tańsza niż utrzymanie w Polsce armii okupacyjnej.

Pokazem siły Nikołaja Repnina był sejm z lat 1767–68, nazwany repninowskim, ponieważ poza zwyczajowymi naciskami i korupcją ambasador nie cofnął się przed aresztowaniem opozycjonistów (m.in. biskupów Kajetana Sołtyka i Józefa Andrzeja Załuskiego – wysłano ich na pięć lat zesłania do Kaługi). Co ciekawe, Repnin stwierdził, że był zmuszony do podjęcia takich kroków z powodu opinii, jakie aresztowani wypowiadali na temat polityki carycy Katarzyny w Polsce. Słów, które – jak podkreślił w specjalnym piśmie – podważają „czystość jej zbawiennych, bezinteresownych i przyjaznych intencji w stosunku do Rzeczypospolitej”. Repnin zakończył list, przypominając, że Katarzyna pragnie tylko „bezpieczeństwa, szczęścia i wolności narodu polskiego”.

Repnin prowadził nawet swoisty ranking posłów, w którym oceniał ich przydatność dla swojej sprawy. Przy każdym nazwisku stawiał jeden, dwa lub trzy plusy. Jeden plus oznaczał „dobrych”, dwa plusy „niepewnych”, a trzy „durniów”. I to właśnie tych ostatnich dyplomata uznawał za najbardziej przydatnych do współpracy. Zachowana korespondencja pokazuje Repnina jako człowieka do głębi cynicznego i jak na dyplomatę mocno obcesowego. Swoich polskich sojuszników ambasador miał za nic. Karola Radziwiłła „Panie Kochanku” opisał jako „pijaka o małym rozumie”, w dodatku niewykształconego. Czuł się w Warszawie tak pewnie, że nie przestrzegał zasad etykiety nawet wobec króla. Jawnie go lekceważył, siadał w jego obecności lub odzywał się, nie czekając na pozwolenie monarchy. Podczas jednego z przyjęć u prymasa Repnin poruszył w dyskusji kłopotliwy temat królów, którzy zmuszeni byli udać się na wygnanie i utrzymywać się na własną rękę. Zafrasowany Stanisław August stwierdził, że nie potrafiłby w żaden sposób zarobić na życie. Repnin odrzekł: „Przepraszam Waszą Królewską Mość, ale Wasza Królewska Mość przecież bardzo dobrze tańczy”.

Dokumenty Igelströma

Wychowankiem i uczniem Repnina był Osip Igelström. To bez wątpienia najpotężniejszy ze wszystkich rosyjskich ambasadorów: łączył bowiem funkcję wodza naczelnego armii rosyjskiej w Polsce oraz ministra pełnomocnego carycy. Jego słowa były w Warszawie traktowane tak, jakby wypowiadała je sama imperatorowa. Ponieważ ze względu na podagrę Igelström nie mógł chodzić, zwykł przyjmować dygnitarzy Rzeczpospolitej w swojej sypialni. Codziennie do rosyjskiej ambasady przy ul. Miodowej przyjeżdżali więc członkowie Rady Nieustającej – de facto polskiego rządu – aby stanąć u stóp łoża ambasadora.

Jego rządy przypadły na okres powstania kościuszkowskiego, kiedy nastroje antyrosyjskie sięgnęły zenitu. W kwietniu 1794 r. na wieść o przyjeździe Kościuszki do Krakowa i ogłoszeniu aktu insurekcji mieszkańcy stolicy rzucili się na carskie wojska. Igelström znalazł się w potrzasku, broniony przed tłumem w budynku ▶

© STANISŁAW CZARNOGÓRSKI/PAP, DP, EAST NEWS, ALAMY/BE&W, PAP

eprasa.pl f6af64afad

▶ ambasady. Wysłannik carycy zdołał się stamtąd wymknąć i pod osłoną żołnierzy uciekł z Warszawy. Powstańcy ostatecznie wtargnęli do znienawidzonej ambasady, gdzie znaleźli tajne dokumenty Igelströma, a wśród nich listę płac – nazwiska tych, którzy brali od niego pieniądze wraz z dokładnymi kwotami.

Rezydenci Francji

Czasy wszechwładnych ambasadorów nie skończyły się wraz z upadkiem Rzeczpospolitej. W okresie Księstwa Warszawskiego (1807–15) kluczową rolę w życiu politycznym kraju odgrywali rezydenci Francji. Napoleon, występując w roli najbliższego sojusznika Polaków, politycznie i militarnie związał Księstwo z cesarstwem. Traktował je jednak jako rezerwuar sił i rynek zbytu dla francuskich towarów, a jego wysłannicy przerzucali koszty finansowania wojska oraz budowy fortyfikacji na nadwątlony budżet Księstwa. Na tym polu szczególnie odznaczył się Jean-Charles Serra (rezydent w latach 1808–11). Bezpośrednio naciskał na Radę Stanu – faktyczny rząd Księstwa – w kwestiach finansowych. Członkowie Rady mieli obowiązek udzielać rezydentowi wszystkich informacji na temat stanu finansów kraju. Serra wzywał do siebie ministrów, przepytywał ich, łajał, a nawet jednoosobowo rozpisał budżet Księstwa na 1808 r. Jednocześnie bardzo dbał o wizerunek Napoleona, starając się, aby polska opinia publiczna nie obarczała go winą za zły stan gospodarki kraju. W publikowanych na łamach „Gazety Warszawskiej" artykułach podkreślał troskę Napoleona o dobrobyt Księstwa, kreował go na wybawiciela narodu polskiego.

Podejrzliwy Lebiediew

Czasy wszechwładnych ambasadorów wróciły nad Wisłę z całą mocą po 1945 r. W PRL przy okazji każdego poważniejszego kryzysu politycznego linia telefoniczna, łącząca KC PZPR z radziecką ambasadą, rozgrzewała się do czerwoności. Ale najpierw w marcu 1951 r. w atmosferze cichego skandalu Moskwa odwołała z Warszawy ambasadora Wiktora Lebiediewa. Jako absolwent stalinowskich szkół Lebiediew był podejrzliwy i zgodnie z panującą wówczas szpiegomanią donosił Moskwie o „antykomunistycznych elementach wewnątrz partii". W prywatnej korespondencji z ministrem spraw zagranicznych Mołotowem przestrzegał, że w partii ukrywają się grupy „zainfekowane polskim szowinizmem".

Lebiediew szeroko korzystał z donosów, jakie na Bieruta i jego najbliższych współpracowników – Jakuba Bermana i Hilarego Minca – pisał Władysław Wolski, minister administracji publicznej, a w czasie wojny członek partyzantki radzieckiej na Wileńszczyźnie. Wolski dezawuował ich, donosząc, że Bieruta „osaczyli Żydzi". Lebiediew sugerował Moskwie dokonanie zmian personalnych w Warszawie przez poprawę „składu narodowego" kierownictwa partii. Wreszcie Bierut i jego współpracownicy poczuli się na tyle zagrożeni, że pod koniec 1950 r. zwrócili się bezpośrednio do Stalina i wystąpili przeciwko ambasadorowi. Stalin wziął ich stronę i kilka miesięcy później Lebiediew został odwołany, co było wydarzeniem niezwykłym w stosunkach Polski z ZSRR. Dla ambasadora oznaczało to de facto koniec kariery – przeniesiono go do Helsinek, które były o wiele mniej prestiżową placówką.

W 1956 r. podczas „polskiego października" ambasador Pantalejmon Ponomarienko pełnił funkcję pośrednika w narastającym kryzysie między Moskwą a Warszawą. Osobiście powiadomił Edwarda Ochaba, że kierownictwo radzieckie bez zaproszenia wysyła do Warszawy delegację na najwyższym szczeblu, co było próbą presji na polskie władze i żądaniem odroczenia plenum, na którym pierwszym sekretarzem miał zostać Władysław Gomułka. 19 października ambasador brał też udział w kluczowej rozmowie Gomułki z Chruszczowem w Belwederze.

Aristowów dwóch

W okresie rządów Gomułki głośno o radzieckim ambasadorze zrobiło się dopiero w 1968 r. Po wystawieniu na deskach Teatru Narodowego „Dziadów" w reżyserii Kazimierza Dejmka powstała plotka, jakoby to Awierkij Aristow (na placówce w Warszawie od 1961 r.), oburzony antyrosyjską wymową spektaklu, interweniował w tej sprawie u pierwszego sekretarza. Wbrew legendzie Aristow nigdy nie widział „Dziadów", na widowni jednego ze spektakli zjawili się natomiast radca ambasady Panfiłow i attaché kulturalny Dimitr Sokołow. Podczas całej sprawy Aristow wykazał o wiele więcej subtelności niż jego historyczni poprzednicy. Jak pisał Jerzy Eisler w „Polskim roku 1968", ambasador za wszelką cenę „chciał zapobiec powstaniu w umysłach Polaków analogii między Rosją carską a ZSRR", a po wydaniu zakazu dalszych przedstawień przez Gomułkę nie krył swego niezadowolenia z tej decyzji.

W grudniu 1970 r., gdy wojsko brutalnie tłumiło bunt robotników w Gdańsku, ten sam Aristow pojechał do KC na rozmowę z pierwszym sekretarzem. Tym razem role się odwróciły. Ambasador – nie chcąc, aby kryzys rozlał się na cały kraj, i mając w pamięci wydarzenia sprzed dwóch lat w Pradze – nawoływał Gomułkę do umiaru. Gomułka z kolei przekonywał, że to, co się dzieje, to kontrrewolucja i jako taka musi być zgnieciona siłą. Podczas spotkania Aristow przekazał mu list z Moskwy, w którym radzieckie Biuro Polityczne „wyraziło zaniepokojenie" stanem rzeczy w Polsce, co przyspieszyło odsunięcie Gomułki od władzy.

10 lat później inny radziecki ambasador Borys Aristow odegrał podobną rolę, przekazując bliźniaczy pocałunek śmierci Edwardowi Gierkowi. Pod koniec sierpnia 1980 r. podczas fali masowych strajków w całym kraju Aristow skierował do Gierka sformułowane w ostrym tonie oświadczenie, w którym Kreml wyrażał niezadowolenie z powodu słabej reakcji polskiego kierownictwa na wydarzenia. Do kolejnej próby sił między Warszawą a Moskwą doszło niecały rok później, już po usunięciu Gierka, gdy na czele kraju stali Wojciech Jaruzelski i Stanisław Kania. 5 czerwca 1981 r. – w środku karnawału Solidarności – Aristow przekazał Kani list do członków polskiego Komitetu Centralnego. List miał formę ostatniego ostrzeżenia. Posługując się czytelnymi aluzjami, radzieccy towarzysze wyrazili wotum nieufności wobec Kani i Jaruzelskiego, zarzucając im bierność („guzdralstwo").

Był to najbardziej dramatyczny moment w relacjach z Moskwą od 1956 r. Tym razem próba wymiany „polskiego przywództwa" zakończyła się klęską. 9 czerwca podczas plenum KC PZPR faworyzowana przez Moskwę frakcja „twardogłowych" nie uzyskała większości, a Kania zdobył wotum zaufania. Aristow zasłynął jeszcze jedną – również nieudaną – ingerencją. Na igrzyskach olimpijskich w Moskwie w 1980 r. bezskutecznie domagał się odebrania Władysławowi Kozakiewiczowi złotego medalu w skoku o tyczce za wykonanie słynnego gestu. Coś, co w oczach oburzonego ambasadora było obrazą widowni, Polacy dyplomatycznie zinterpretowali jako „nagły skurcz mięśnia".

TOMASZ TARGAŃSKI

Korzystałem z: Adam Zamoyski **„Ostatni król Polski"**, Jerzy Eisler **„Polski rok 1968"**, Andrzej Paczkowski **„Droga do mniejszego zła"**.

eprasa.pl f6af64afad

Spotkanie chilijskiej partii nazistowskiej, ok. 1940 r. Poniżej: **Michael Kast w mundurze wojskowym jako Fahnenjunker, ok. 1942 r.**

Naziści w Chile

Zbrodniarze III Rzeszy znajdowali schronienie nie tylko w Argentynie, Urugwaju, Paragwaju i Brazylii. Także w Chile, gdzie wygrana w wyborach prezydenckich Antonia Kasta – którego ojciec należał do NSDAP – podgrzała zainteresowanie tą historią.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Warto powiedzieć od razu: prezydent Kast, polityk skrajnej prawicy w stylu Trumpa, Mileia, Bolsonara i im podobnych, nie odpowiada za grzechy ojca. Obciążają go deklaracje sympatii dla byłego dyktatora Chile gen. Augusta Pinocheta odpowiedzialnego za zbrodnie przeciw ludzkości w latach 1973–90 (zm. w 2006 r.). Zbiegli po wojnie naziści – zwłaszcza jeden – mieli bliskie związki z chilijskim dyktatorem, o czym prezydent elekt wiedział od dawna – i tylko w tym znaczeniu, a nie z powodu pokrewieństwa, nazistowskie dziedzictwo ciąży także na nim.

Siatka przerzutowa

Wiele lat temu Frederick Forsyth, autor szpiegowskich thrillerów, napisał powieść „Akta OdeSSy", która opowiadała o powojennej ucieczce nazistów do krajów Ameryki Południowej. Wymyślił organizację byłych członków SS (*Organisation der ehemaligen SS-Angehorigen*). Jakaś OdeSSa rzeczywiście istniała, ale raczej jako nieformalna sieć pomocy i przerzutu ludzi za ocean niż organizacja sensu stricto.

Przed drugą wojną światową i w jej trakcie Ameryka Południowa była polem rywalizacji między USA a III Rzeszą. W klimacie wymiany usług między latynoskimi reżimami, zwykle wojskowymi, a Hitlerem i Mussolinim narodził się pomysł ratowania nazistów po upadku III Rzeszy. Powstała tajna siatka przerzutowa do kilku krajów Ameryki Południowej, którą tworzyli uciekający z Europy zbrodniarze, członkowie NSDAP i SS, ▶

© HULTON ARCHIVE/GETTY IAMGES, AN

eprasa.pl f6af64afad

▶ tajne służby hiszpańskiego *caudillo* gen. Franco i wysłannicy ubiegającego się wówczas o władzę w Argentynie płk. Juana Perona.

Wspólnikami wymienionych byli hierarchowie Kościoła z Argentyny i Watykanu oraz funkcjonariusze władz Szwajcarii. Siatka wykazała się dużą skutecznością – za ocean zdołano przerzucić takich zbrodniarzy jak Adolf Eichmann, Josef Mengele, Erich Priebke, Josef Schwammberger, Gerhard Bohne, Ante Pavelić, Dinko Szakić i tysiące innych z Niemiec, Chorwacji, Słowacji, Francji i Belgii. Niektórych – jak Klausa Barbiego – ulokowano w sąsiedniej Boliwii. Wywiady aliantów przymykały na to oczy.

Schronienie w Ameryce Południowej znalazło ok. 9 tys. nazistów. Szacuje się, że najwięcej przyjęła Argentyna – ok. 5 tys., Brazylia – od 1,5 do 2 tys. Chile – między 500 a tysiącem.

Niemieccy osadnicy

W wielu krajach regionu duże społeczności niemieckie funkcjonowały od XIX w., a w Chile wpływy niemieckiej kultury były szczególnie silne. Do czasu pierwszej wojny światowej osiedliło się tam ok. 30 tys. kolonistów, głównie rolników, rzemieślników, także ludzi nauki, którzy mieli wpływ na przyjęte „na końcu świata" teorie kształcenia. Koloniści niemieccy i austro-węgierscy przywozili wiedzę techniczną przydatną w rolnictwie i przemyśle, m.in. wydobywczym i piwowarskim.

Przemożny wpływ na siły zbrojne młodego państwa chilijskiego, które wybiło się na niepodległość od hiszpańskiej korony w 1818 r., mieli przybysze z Niemiec. Niemieccy doradcy byli tu w czasie wojny o Pacyfik między Chile a Peru i Boliwią (1879–84). Później, dzięki stałej ich obecności, powstała akademia wojskowa według pruskich wzorów, a wreszcie wojsko chilijskie przyjęło pruski hełm z kolcem i mundury. Niemieckie szkoły w stolicy, do których zamożniejsze rodziny posyłały dzieci, do dziś są miernikiem wyższego statusu.

W czasie drugiej wojny niektórzy członkowie niemieckich społeczności sympatyzowali z nazizmem. Po wojnie witali zbiegów z otwartymi ramionami i pomagali im się urządzić w nowych krajach. Szczególną rolę odgrywały wspólnoty w interiorze trudniące się pracą na roli i rzemiosłem – na wsi, w górach i lasach łatwiej zniknąć z oczu tropicieli.

Walter Rauff w mundurze SS, 1945 r., i w swoim domu w Port Porvenir w Chile, 1965 r.
Poniżej: **Paul Schäffer po aresztowaniu w Argentynie, 2005 r.**

Przypadek: Walter Rauff

Najbardziej znanym z tych, którzy chcieli zniknąć z widoku, był Walter Rauff, dowódca SS w Mediolanie, w stopniu standartenführera, który uciekł z alianckiego obozu w Rimini i był ważną postacią siatki przerzucającej nazistów do Ameryki Południowej. „W Punta Arenas [na południu Chile – przyp. A.D.] mieszka człowiek, który marzy o sosnowych lasach, nuci pod nosem *Lieder*, budzi się co rano i widzi czarną Cieśninę Magellana – napisał Bruce Chatwin w głośniej książce podróżniczej „W Patagonii". – Samochodem jeździ do fabryki pachnącej morzem. (...) Jest człowiekiem sprawnym, z doświadczeniem na linii produkcyjnej. Czy pamięta jakiś inny zapach? I ten inny dźwięk, śpiewających cicho głosów? Walter Rauff to ten, który wynalazł objazdowe komory gazowe".

Rauff uciekł najpierw do Syrii, a potem przeniósł się za ocean. Najpierw do Ekwadoru, gdzie pracował jako sprzedawca. W 1958 r. spotkał tam pewną parę Chilijczyków (to ważny detal!), od której usłyszał, że znajduje się w niewłaściwym kraju; powinien przyjechać do Chile, gdzie żyje duża społeczność niemiecka. Jeszcze tego samego roku Rauff skorzystał z rady i przeniósł się do Punta Arenas, gdzie został administratorem przedsiębiorstwa rybackiego. W książce „Zbiegli naziści" Gerald Steinacher napisał, że Rauff dostał od Chilijczyków tak mocne papiery – chilijski paszport dyplomatyczny – że w 1960 r. mógł odwiedzić wraz z żoną przyjaciół w RFN.

Władze Niemiec zachodnich przystąpiły do działania dopiero, gdy nazwisko Rauffa wypłynęło podczas procesu Adolfa Eichmanna w Jerozolimie (wytropionego i wywiezionego przez Mosad z Argentyny). Rauff był odpowiedzialny za rozwój mobilnych komór gazowych i nadzór

techniczny nad nimi. Ofiary zamykano w szczelnej przestrzeni ładunkowej pojazdu, a następnie do środka kierowano trujące spaliny silnikowe, co powodowało śmierć przez uduszenie. Szacuje się, że przy użyciu mobilnych komór zagazowano kilkaset tysięcy ludzi.

W 1962 r. władze RFN zażądały od Chile ekstradycji Rauffa z uzasadnieniem, że ciążą na nim oskarżenia o popełnienie zbrodni przeciw ludzkości. Policja chilijska aresztowała go, jednak kilka miesięcy później Sąd Najwyższy orzekł, że zbrodnia uległa przedawnieniu (15 lat), dodając, że w Chile Rauff nie złamał prawa. Wniosek o ekstradycję odrzucono.

W Chile rządził wówczas konserwatysta Jorge Alessandri, ale jego następcy nie dążyli do podważenia orzeczenia – ani chadek Eduardo Frei Montalva, ani socjalista Salvador Allende. Ścigający nazistów po świecie Szymon Wiesenthal interweniował osobiście u Allende, licząc, że ten, gdy kruszy się stary ład, znajdzie sposób, by wydać Rauffa. Jednak Allende był ortodoksyjnym legalistą i nie mieściło mu się w głowie podważanie prawa – nawet rewolucję przeprowadzał drogą głosowań.

© ALAMY/B&W, UPI/BETTMANN/GETTY IMAGES, NATACHA PISARENKO/AP/EAST NEWS

eprasa.pl f6af64afad

Autor „Zbiegłych nazistów” przytoczył list Allende do Wiesenthala: „Jak Pan wie, Sąd Najwyższy Chile odrzucił wniosek Ministerstwa Sprawiedliwości RFN o ekstradycję Rauffa, ponieważ jego zbrodnie uległy przedawnieniu (...). Natomiast art. 38 tego orzeczenia zawiera najostrzejsze potępienie ohydnych zbrodni narodowego socjalizmu i ich sprawców (...). Z głębokim żalem, szanowny Panie Wiesenthal, muszę odpowiedzieć negatywnie na Pańską prośbę. Zawsze podziwiałem niezłomny upór, z jakim ścigał Pan sprawców największych zbrodni w dziejach ludzkości. Ale wiem również, że szanuje Pan zasadę przestrzegania prawa przez władze polityczne, dlatego jestem pewien, że zrozumie Pan moje stanowisko jako prezydenta republiki”.

Gwiezdny czas dla Rauffa nastał po zamachu stanu Pinocheta w 1973 r. O jego dobrych relacjach z dyktatorem i tajną policją DINA wiedziano od dawna, krążyły rozmaite plotki, ale dopiero Philippe Sands, brytyjski autor non-fiction, w książce wydanej w 2025 r. ustalił, że Rauff brał udział w przesłuchaniach więźniów politycznych i uczestniczył w ich „zniknięciach”. Co więcej, Sands ustalił, że w 1958 r., podczas spotkania w Ekwadorze (przypadkowego? zaaranżowanego?), to właśnie Pinochet, wówczas nieznany szerzej oficer wojska, i jego żona przekonali Rauffa do przyjazdu do Chile.

Rauff utrzymywał relacje ze zbiegłymi nazistami w sąsiednich krajach (m.in. Hansem-Urichem Rudlem, nazistowskim pilotem, który zorganizował przerzut Josepha Mengele z Argentyny do Brazylii). Zmarł w 1984 r. Na jego pogrzebie towarzysze naziści, którzy zjechali z sąsiednich krajów, żegnali go hitlerowskim salutem.

Przypadek: Paul Schäffer

Pewne światło na niemożność dopadnięcia Rauffa rzuca historia Colonii Dignidad (o której serial dokumentalny pokazuje platforma Netflix). Oto, co napisał o niej chilijski pisarz Roberto Bolaño w łże-krytycznej książce „Literatura faszystowska w obu Amerykach”: „Czterdzieści kilometrów od Temuco leży Colonia Renacer (nazwa fikcyjna na użytek książki – przyp. A.D.). Z pozoru jest to jeszcze jedno z wielu okolicznych latyfundiów. Jednak uważna obserwacja pozwala dostrzec istotne różnice. Przede wszystkim w Colonii Renacer działają szkoła, klinika, warsztat mechaniczny i samowystarczalny system ekonomiczny (...). Colonia Renacer wykazuje regularne zyski. Wzbudza ona zarazem niepokój: uroczystości celebrowane są potajemnie, wyłącznie przez mieszkańców, nie zaprasza się innych miejscowych, ani bogatych, ani biednych. Zmarli chowani są na prywatnym cmentarzu. Wreszcie kolejna różnica, być może najdrobniejsza, ale zarazem szczególnie zwracająca uwagę tych, którzy zaglądają na teren Colonii, oraz nielicznych gości: pochodzenie jej mieszkańców – wszyscy bez wyjątku są Niemcami. (...) Teoretycznie można by mieszkańców uznać za członków jednej z licznych sekt niemieckich protestantów, którzy wyemigrowali do Ameryki, uciekając przed nietolerancją i służbą wojskową. Nie była to jednak religijna sekta, a ich przyjazd do Chile zbiegał się z końcem II wojny światowej”.

Założyciel Colonii Dignidad, Paul Schäffer, był członkiem Hitlerjugend, a w czasie wojny noszowym przy Wehrmachcie. Po wojnie założył sektę, w której dzieci padały ofiarą molestowania seksualnego – i z tego powodu ścigany przez niemiecki wymiar sprawiedliwości zbiegł w 1961 r. do Chile. Za nim podążyło ok. 300 rodzin. Byli wśród nich żołnierze Wehrmachtu, ale o ważnych postaciach NSDAP czy SS nic pewnego nie wiadomo. Krążyły niepotwierdzone plotki, że na terenie kolonii ukrywali się nazistowscy zbrodniarze.

Schäffer stworzył państwo w państwie, coś między wspólnotą religijną a więzieniem. Uprawiano ziemię, prowadzono małe zakłady. Sam Schäffer był guru: władcą i jednoosobowym – sadystycznym – wymiarem sprawiedliwości. Nieposłuszeństwo karano biciem, torturami, izolacją. Zbiegowie – molestowani chłopcy – próbowali doprowadzić do postawienia Schäffera przed sądem, ale nigdy się to nie udało. Czy tylko dlatego, że społeczna wrażliwość na molestowanie była dopiero przyszłością?

Gdy do władzy doszedł Pinochet, do Colonii Dignidad przywożono więźniów politycznych na sesje tortur, które odbywały się w piwnicach jednego z budynków. W tych samych piwnicach znajdowało się tajne więzienie, którego część więźniów nigdy nie opuściła, a bliscy mieli się dowiedzieć, że „zniknęli” właśnie tam, dopiero trzy dekady później. Wymiar sprawiedliwość dopadł Schäffera w 2005 r., w Argentynie, dokąd zbiegł ścigany przez chilijską policję. W 2006 r. skazano go na 20 lat więzienia, zmarł w 2010 r.

Powody, dla których nigdy nie dopadnięto Rauffa, a Schäffera pojmano dopiero, gdy stał nad grobem, pozostają zagadkowe. Czy da się je zredukować do powinowactwa ideologicznego z dyktaturą Pinocheta? To ważny składnik odpowiedzi, ale niewyczerpujący. Sędziowie nie wierzyli ofiarom Schäffera na dobrych kilka lat przed dojściem Pinocheta do władzy. A po upadku jego dyktatury demokratyczny wymiar sprawiedliwości nie był w stanie Schäffera zatrzymać i dopuścił do jego ucieczki.

Intuicja prowadzi ku chilijskiemu podziwowi dla Niemiec, Niemców, niemieckiej kultury. Niemieckość w Chile to ucieleśnienie doskonałości, niedościgniony wzór. Czy także dlatego przymykano oczy?

NSDAP nie przeszkadza

Być może także dlatego motyw „dziadka z Wehrmachtu” – tu: ojca w NSDAP – podczas wyborów prezydenckich w Chile nie zadziałał. Zresztą przeciwnicy Antonia Kasta nie eksploatowali przesadnie przeszłości jego ojca. Częściej wytykali jego sympatie do Pinocheta i rodzinne związki z dyktaturą (jego zmarły młodo brat, Miguel, był w czasach dyktatury szefem banku centralnego).

Ojciec Kasta, Michael Kast, przybył do Chile w 1950 r. Rok później przyjechała jego żona z dwójką starszych dzieci (przyszły prezydent urodził się już w Chile). Osiedlili się w wiosce Paine, na południe od Santiago; rozwinęli biznes wędliniarski – najpierw sprzedaż na straganie, później zaopatrywanie restauracji i wielkich sieci handlowych.

Kast ojciec wstąpił do NSDAP w 1942 r., po ukończeniu 18 lat. Wcześniej przez cztery lata był członkiem Hitlerjugend i do partii został zarekomendowany przez przywódcę okręgu. Dostał legitymację numer 9271831. Nic nie wiadomo, by popełnił zbrodnie wojenne.

Sprawa nie stałaby się gorąca, gdyby prezydent elekt przed laty nie zaprzeczał przeszłości ojca. Twierdził, że ojciec walczył w Wehrmachcie i nie mógł wykręcić się od służby – groziłyby mu sąd wojskowy i rozstrzelanie. Polemiści szybko replikowali, że za niewstąpienie do NSDAP nie rozstrzeliwano. Tyle że znowu: decyzje ojca nie obciążają syna. Tego obciążają ideologiczne odniesienia i deklaracje, nieraz niepokojąco bliskie nazistowskiej ideologii i praktykom. Większości chilijskich wyborców w 2025 r. najwyraźniej jednak nie przeszkadzały.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

eprasa.pl f6af64afad

film

Cena odwetu 5/6

To był zwykły przypadek
(Un simple accident), reż. Jafar Panahi, prod. Francja, Iran, Luksemburg, 105 min, w kinach od 20 lutego

Pełniący funkcję sumienia irańskiej kinematografii 64-letni Jafar Panahi nakręcił komedię absurdu nagrodzoną Złotą Palmą w Cannes – o zemście, przemocy, wyrównywaniu sprawiedliwości i towarzyszących temu procesowi dylematach moralnych. Testował przy okazji postawę władz irańskich, które nawet na emigracji ścigają go wyrokami sądowymi i groźbami więzienia. Film opowiada historię grupy byłych dysydentów politycznych, przypadkowo spotykających na ulicy mężczyznę, który ich zdaniem mógł być strażnikiem torturującym ich, gdy byli w więzieniu. Porywają więc domniemanego oprawcę, zastanawiając się, jaką mu wymierzyć karę. W jednym z pierwszych wywiadów po ucieczce z ojczyzny, gdzie był wielokrotnie skazywany „za szerzenie propagandy antypaństwowej" i obowiązywał go wieloletni zakaz stawania za kamerą, reżyser wyjaśnił motywy realizacji tego filmu w bardzo prosty sposób: kiedy spędza się osiem godzin dziennie twarzą do ściany z zawiązanymi oczami, będąc przesłuchiwanym przez stojącego za plecami funkcjonariusza reżimu, nie można przestać się zastanawiać, co chciałoby się temu człowiekowi zrobić na wolności.

Panahi, symbol oporu przeciw islamskiej dyktaturze, zrealizował „To był zwykły przypadek" po partyzancku: bez zgody cenzury, potajemnie, w ciągu 24 dni, z kilkuosobową grupą oddanych przyjaciół. Bez cienia zapiekłości, publicystycznej jednostronności, z pozycji mędrca doskonale panującego nad swoimi emocjami i resentymentami. Minimalistyczna tragikomedia o rozliczaniu irańskiej dyktatury ma wymiar ponadczasowego moralitetu. Robi kolosalne wrażenie – niemniejsze niż głośna sztuka chilijskiego dramaturga Ariela Dorfmana „Śmierć i dziewczyna" czy „Krótki film o zabijaniu" Krzysztofa Kieślowskiego.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Gdy pęka spokój 5/6

Kopnęłabym cię, gdybym mogła
(If I Had Legs I'd Kick You), reż. Mary Bronstein, prod. USA, 113 min, w kinach od 20 lutego

Film Mary Bronstein to swego rodzaju eksperyment wizualny, choć słowo to nienajlepiej oddaje psychologiczne napięcie rosnące z każdą minutą projekcji. Niepokój ten wywołuje obserwacja rozchwianych stanów emocjonalnych **Rose Byrne**, grającej w tej czarnej komedii główną rolę, za którą słusznie otrzymała nominację do Oscara. Kamera ani na sekundę nie traci z pola widzenia twarzy bohaterki, terapeutki z zawodu, której pozorny spokój pęka, gdy los okazuje się dla niej mało łaskawy. Byrne gra dzielną matkę z Montauk, opiekującą się małą córeczką leczoną z powodu tajemniczej i uporczywej choroby (dziecko odmawia jedzenia, jest karmione przez sondę), podczas gdy jej mąż, kapitan statku wycieczkowego, udziela swoich światłych rad przez telefon. Kobieta z przerażeniem odkrywa, że jej świat zmierza ku przepaści, co adekwatnie do sytuacji zostaje wyrażone zawaleniem się sufitu w mieszkaniu, które wynajmuje. Powiedzieć, że ten film jest miejscami gorzko zabawny, to nic nie powiedzieć. Ważniejsze wydaje się to, że po wyjściu z kina widzowie odczują ogromną ulgę, uwolniwszy się od jej problemów, które w porównaniu z naszymi wyglądają katastrofalnie – choć to tylko pozór. JW

eprasa.pl f6af64afad

film

Seans pułapka 2/6

Ella McCay, reż. James L. Brooks, prod. USA, 115 min, Disney+

Jest kilka powodów, dla których można się skusić na seans „Elli McCay": gwiazdy w obsadzie (m.in. **Jamie Lee Curtis,** Jack Lowden i Woody Harrelson), James L. Brooks po raz pierwszy od ponad dekady za kamerą, próba odświeżenia klimatu komedii obyczajowych z lat 90. To wszystko jednak prowadzi prosto do pułapki: seansu pozbawionego humoru, wdzięku i znaczenia. Nawet czynnik nostalgiczny niespecjalnie tu działa. Tytułowa bohaterka – grana bez większego przekonania przez **Emmę Mackey** – jest ambitną, młodą polityczką, która w 2008 r. („kiedy wszyscy się jeszcze lubiliśmy" – oznajmia narratorka) nieoczekiwanie przejmuje urząd gubernatorki stanu, gdy jej poprzednik dostaje stanowisko w administracji nowo wybranego prezydenta. Ella nie ma wielkiego doświadczenia na wysokim stanowisku, lecz nadrabia odwagą i charyzmą. Tyle że musi jeszcze ogarnąć pogruchotane rodzinne relacje i przekona się, że życie prywatne rzadko dobrze rymuje się z polityką. Brooks był kiedyś królem podobnego kina, niewielu twórców potrafiło tak jak on opowiadać o międzyludzkich relacjach z humorem i wrażliwością: trzy Oscary za „Czułe słówka" i wszystkie nagrody, jakie zdobył jako producent „Simpsonów", nie były przypadkowe. Niestety, „Ella McCay" to strzał chybiony. W czasach politycznego zamętu potrzebujemy czasem pozytywnych bodźców, ale ten film budzi jedynie irytację.

JAKUB DEMIAŃCZUK

serial

Dociskani do ściany 4/6

Love Story: John F. Kennedy Jr. i Carolyn Bessette, twórca serii: Connor Hines, 9 odc., Disney+

Po antologiach „American Horror Story" i „American Crime Story" Ryan Murphy – tym razem jako producent wykonawczy – rozpoczyna nowy cykl miniseriali „Love Story". Mają przypomnieć romanse, którymi żyły zachodnie media. Na pierwszy ogień poszła pierwsza para USA lat 90. Syn zamordowanego na oczach milionów telewidzów prezydenta Johna F. Kennedy'ego dorastał przed kamerami i aparatami paparazzi. Dla jego wybranki, która z sukcesem pięła się po szczeblach kariery w domu mody Calvina Kleina, ciągłe śledzenie przez tabloidy okazało się równie rujnujące, co dla przywołanej w serialu księżnej Diany. Oparta na książce Elizabeth Beller produkcja oddaje sprawiedliwość bohaterce. Przy okazji – i wbrew obawom Kennedych – jest pochlebnym, pokazanym głównie poprzez poświęcenie kobiet dla polityki, obrazem rodu w czasach, gdy jego twarzą jest Robert F. Kennedy junior, sekretarz zdrowia za prezydentury Trumpa i antyszczepionkowiec. Seria łączy wierne odtworzenie realiów – z dobranymi na zasadzie podobieństwa do oryginałów aktorami, na czele z **Sarah Pidgeon** i **Paulem Kellym** – ze scenami prywatnymi rozgrywanymi w charakterystycznym dla Murphy'ego melodramatycznym stylu na granicy przerysowania. A tematem nie są zepsute elity ani brudna polityka, lecz krwiożercze tabloidy. Oraz ich odbiorcy, bo w biznesie bez popytu nie ma podaży.

ANETA KYZIOŁ

W świat 5/6

Focus na kolekcję (III odsłona), Krupa Art Foundation, Wrocław, do 3 maja

Sylwia i Piotr Krupowie nie tylko zgromadzili imponującą – kto wie, czy nie największą w kraju – kolekcję sztuki współczesnej i nowoczesnej, lecz także dysponują idealnym lokalem przy wrocławskim Rynku. Przygotowana trzy lata temu pierwsza odsłona zbudowana była wokół dialogu prac historycznych i najnowszych, drugą, rok później, kuratorowały… dzieci. Ta trzecia, prezentująca najnowsze nabytki, krąży wokół kilku wątków: od intymności, przez problemy konfliktu, opresji i oporu, po wariacje na temat tkaniny jako elementu sztuki. Kuratorki zadbały, by prace nieustannie wchodziły ze sobą w dialog form lub treści, dzięki czemu z niezależnych od siebie nabytków zbudowano ciekawe i w miarę spójne narracje. Trzecie spotkanie z kolekcją Krupów dobrze świadczy o jej rozwoju. Większość prac prezentuje bardzo wysoki poziom artystyczny, a kilka dzieł polskich klasyków (m.in. Magdaleny Abakanowicz, Tadeusza Kantora czy Teresy Tyszkiewicz) to już najwyższa półka. Najbardziej jednak zaskakuje bardzo bogata (ponad połowa uczestników wystawy) reprezentacja artystek i artystów z zagranicy, głównie z Europy Środkowo-Wschodniej. Rodzimi kolekcjonerzy masowo hołdują zaściankowej zasadzie „lubię to, co znam", a tu mamy do czynienia z odświeżającą i inspirującą konfrontacją tego, co po tej i po tamtej stronie granicy.

PIOTR SARZYŃSKI

galeria

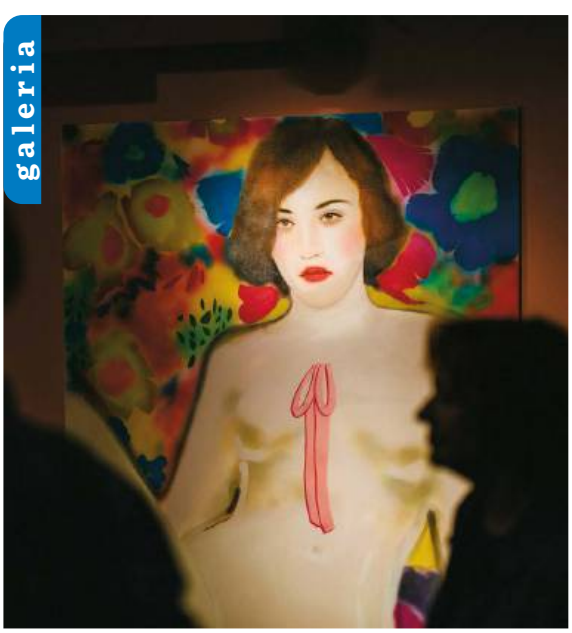

© LES FILMS PELLEAS, BEST FILM, DISNEY+ (2), JERZY WYPYCH

eprasa.pl f6af64afad

Pisać nie swoje życie 5/6

Annie Ernaux, **Powroty**, przeł. Anastazja Dwulit, Czarne, Wołowiec 2026, s. 176

Wszystkie książki noblistki Annie Ernaux układają się w całość, a „Powroty" są o tyle wyjątkowe, że znajdziemy w tym zbiorze sporo autokomentarzy, które oświetlają cały projekt jej pisania. To książka o wstydzie, o czytaniu i pisaniu, i o tym, jak to wszystko się łączy. Ernaux wraca do rodzinnego miasta Yvetot, do sceny, kiedy ojciec w ataku szału zamierzył się na matkę i mógł ją zabić. „Chcę skruszyć tę zastygłą przez lata scenę, chcę, by przestała być świętą ikoną w moim wnętrzu (że nią jest, świadczy chociażby przekonanie, że to ona kazała mi pisać, że tkwi u źródła moich książek)". Nie chce zrozumieć, co się właściwie wydarzyło, co oni czuli – chce odkryć działanie tej sceny we własnej pamięci. Odkrywa wstyd klasowy, jaki nią kierował w latach szkolnych – wstyd spowodowany zapachem wybielacza, w którym myła ręce, wstyd niższości rodziny robotniczej, towarzyszący jej ojcu w czasie wycieczki do Lourdes. „Écrire la vie [Pisać życie] – ten tytuł wydał mi się najodpowiedniejszy dla projektu, który realizuję od czterdziestu lat (…). Pisać życie, a nie moje życie". Pisania nie byłoby bez czytania, a przełomem stały się „Mdłości" Sartre'a pożyczone przez wujka elektryka. Ernaux pokazuje, jak pisanie wychodzące od własnych wspomnień może stać się bezosobowe, uniwersalne. Żeby to osiągnąć, musiała odrzucić literacki język francuski i wrócić do języka swojego domu, który był jednocześnie kawiarnią połączoną ze sklepem. Dziś, w czasie niezwykłej popularności autofikcji, projekt Ernaux może być wskazówką, jak nie pisać tylko o sobie i jak jednocześnie: „uratować coś z czasu, w którym się już nigdy nie będzie".

JUSTYNA SOBOLEWSKA

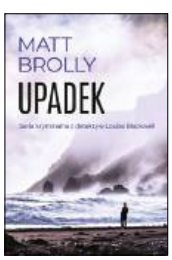

Szara Brytania 3/6

Matt Brolly, **Upadek**, przeł. Robert Ginalski, HarperCollins Polska, Warszawa 2026, s. 382

Nadmorskie miejscowości w Wielkiej Brytanii mogą być świetną scenografią kryminalnej intrygi. Wiedzą o tym choćby widzowie znakomitego serialu „Broadchurch". Cykl o komisarz Louise Blackwell z atutów miasta Weston-super-Mare za bardzo skorzystać nie potrafi – no, chyba że chodzi o jego niechlubną pozycję lidera w statystykach przestępczości hrabstwa Somerset. Blackwell, która w otwierającej serię „Przeprawie" tropiła rytualnego zabójcę, tu próbuje rozwiązać zagadkę seryjnych samobójstw samotnych dziewczyn. Każda była ofiarą charyzmatycznego (trzeba wierzyć na słowo, bo z lektury to nie wynika) guru zafascynowanego ayahuaską i uwodzącego kobiety, które pragną rozstać się z życiem. Czytelnicy dowiadują się tego bardzo szybko, ale śledztwo toczy się ślamazarnie, a równolegle prowadzony jest wątek rodzinnych problemów Blackwell: jej brat, zmagający się z alkoholizmem i żałobą po zmarłej kilka lat wcześniej żonie, porywa własną córkę i znika. Brak oryginalności nie jest w książce Brolly'ego szczególną przeszkodą, wobec globalnej nadprodukcji literatury kryminalnej (nie mówiąc o serialach) coraz trudniej o nową jakość. Gorzej, że to proza całkowicie przezroczysta i nieangażująca, z bohaterami, których nie sposób ani polubić, ani znienawidzić, ani choćby na dłużej zapamiętać. Mroczny finał nieco łagodzi nijakie wrażenia, lecz trzeba cierpliwości, by do niego dobrnąć.

JAKUB DEMIAŃCZUK

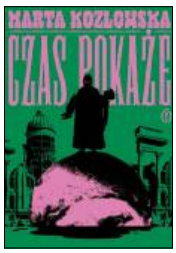

Koniec świata! 5/6

Marta Kozłowska, **Czas pokaże**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 136

Powieść to niewielka objętością, dostarcza jednak intensywnych wrażeń. „Samo gęste", jak się mówi w internecie. A właśnie internet (w szczególności media społecznościowe) ma tu złowieszczą rolę do odegrania. Oglądamy świat z przyszłości, niespecjalnie powabny, zasiedlany przez dziwaczne istoty, strzygi i hybrydy, dalekich krewnych *Homo sapiens*, który w znanej nam postaci wyginął. Czy może raczej – prawie wyginął, bo uchował się jeden, Karol Pytanko (postać znana z powieści „Berdyczów"), porzucony w lesie, zdany na łaskę i niełaskę stworów. Trafia na farmę Mary Lou i Diuka, którzy odstręczają wizualnie, ale marzą głównie o przetrwaniu: własnym i gatunku. Bo nowe gatunki są niezdolne do prokreacji i światu grozi zapaść. Już jest kłopot z pożywieniem i brakuje rąk do pracy. W powieści fascynująca jest zarówno plastycznie opisana przyszłość, jak i wizja wszystkich tych wydarzeń, które poprzedziły apokalipsę. Człowiek unicestwił się rzecz jasna sam: tak się zatracił w świecie wirtualnym, że ten realny, pozainternetowy przestał mieć sens i zaczął zanikać. „Wenecja się skończyła. W najbliższym czasie z użytku będą wycofane Capri oraz blisko dwieście pięćdziesiąt przyciasnych miasteczek we Włoszech, Hiszpanii, Portugalii i południowej Francji". Przestały mieć znaczenie argumenty naukowe („Nie damy sobie wmówić, że dwa plus dwa to cztery"), filozofia „czas pokaże" i opinie ostatecznie wygrały z faktami („Pana Boga nie ma. Moim zdaniem to fakt"). Marta Kozłowska raz jeszcze opisuje świat, jaki dobrze znamy, tylko w przyspieszeniu i powiększeniu. Ani to western, ani horror, ani science fiction. Raczej wszystko naraz. Istne szaleństwo na poziomie fabuły i języka.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© ANDREW EATON/ALAMY/BE&W, MATERIAŁY PRASOWE (7), ARCHIWUM PRYWATNE, PICTURE LUX/ALAMY/BE&W

eprasa.pl f6af64afad

Nadkoty 5/6

Mewgenics, Edmund McMillen, Steam, Windows

Gdy Edmund McMillen, twórca takich klasyków sceny niezależnej jak „Super Meat Boy" i „The Binding of Isaac" prezentuje nową grę, można mówić o wydarzeniu. „Mewgenics", które – oczekiwane od 2012 r. – zyskało status mityczno-anegdotyczny, stało się więc przebojem już w pierwszym dniu sprzedaży. Jak wskazuje tytuł, zajmujemy się tu miaugeniką, czyli selektywną mutageniczną hodowlą kotów, by – co postulował już Platon w „Państwie" – uzyskać nadkocięta o pożądanych cechach. Owe überkoty wyruszają zbrojnie w teren, by toczyć walki z wrogami w systemie turowym, w niepowtarzalnych, losowych scenariuszach konwencji roguelike RPG. Dominuje niegrzeczny, punkowy czarny humor. Jeżeli ktoś mógłby się obruszyć na widok radośnie kopulujących miaugenicznie kociaków lub kociej kupy, która podczas potyczki może zostać taktycznie wydalona w charakterze przeszkody terenowej, powinien „Miaugeniki" unikać. Cała reszta – brać!

Powrót do Edo 5/6

NiOh 3, Team Ninja, Cenega, PlayStation 5, Windows

Weterani poprzednich odsłon serii „NiOh" mieli prawo obwąchiwać część trzecią z rezerwą. Owszem, dwie poprzednie były udane, ale na myśl o powrocie do feudalnej Japonii okresu Edo, by znów walczyć w wojnach szoguna Tokugawy przeciw hordom zbuntowanych klanów wspieranych przez demony yokai, można było poczuć znużenie i niepokój. A jednak Team Ninja przerósł sam siebie. Rewolucję przyniosło zastąpienie liniowej rozgrywki otwartym – relatywnie – światem, który można przemierzać stosunkowo swobodnie. Dzięki temu eksploracja urosła do rangi jednej z głównych atrakcji gry. Ważne jest też wprowadzenie dwóch podstawowych stylów rozgrywki, między którymi możemy się przełączać w każdej chwili, zgodnie z charakterem aktualnego wyzwania. Jako samuraj dysponujemy większą siłą i odpornością, a jako ninja jesteśmy szybcy, zwinni, skuteczniejsi w walce na dystans. Sprawdza się to rewelacyjnie. „NiOh" złapał trzeci oddech.

Piękne koszmary 4/6

Reanimal, Tarsier Studios, Plaion, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S, Switch 2

Najnowsza gra twórców „Little Nightmares" jest jeszcze bardziej makabryczna i przygnębiająca. Szwedzi z Tarsier Studios udali się chyba na północ Laponii, by podczas polarnej nocy śnić na jawie zimne nordyckie koszmary, które potem przenieśli na ekran. Dzieci o twarzach ukrytych pod maskami przedzierają się przez wymarły świat, przypominający ni to ruiny po wojnie atomowej, ni to upiorny rewers rzeczywistości ze „Stranger Things". Dominuje monochromia, szarości otacza mrok rozpraszany przez sine światło księżyca i wątłe światełka niesione przez dzieci. Gdzieniegdzie leżą lub wiszą zwłoki humanoidalnych istot przypominające człekokształtne balony, z których spuszczono powietrze. Dzieci przedzierają się przez ten limbus, próbując chować się i uciekać przed krążącymi po nim monstrami. Smutne doświadczenie, momentami melancholijnie piękne za sprawą artystycznej wizji.

OLAF SZEWCZYK

nie przegap

Miasto zwierząt, Domicella Bożekowska, Warszawa, Koszary Kantonistów, Łazienki Królewskie, do 10 maja

Zmarła kilka lat temu Domicella Bożekowska w centrum swojego życia i sztuki umieściła zwierzęta. Jej pełne wrażliwości rzeźby i szkice cechuje nie tylko mistrzostwo warsztatu, ale też umiejętność oddania w minimalistycznej formie najgłębszej natury wilków, ropuch czy fretek. Przez lata zapomniana, w końcu doczekała się należnej retrospektywy – co zaskakujące, w muzeum łowiectwa. MK

Kill Bill: The Whole Bloody Affair, reż. Quentin Tarantino, w kinach od 20 lutego

Quentin Tarantino twierdzi, że od początku opowieść o krwawej zemście Panny Młodej (**Uma Thurman**) na jej narzeczonym Billu (David Carradine) miała być wyświetlana jako jeden długi film. W takiej wersji pokazał go nawet na festiwalu w Cannes w 2006 r. 20 lat później „Kill Bill" znów trafia na ekrany kin: cztery godziny krwawej jatki inspirowanej dalekowschodnim kinem sztuk walki, perfekcyjne połączenie akcji, cynicznego humoru i hołdu złożonego mistrzom gatunku. JD

Hania Rani, **Sentimental Value**, Gondwana

Za tę muzykę Hania Rani, laureatka Paszportu POLITYKI 2023, odebrała niedawno Europejską Nagrodę Filmową. I już samo to powinno rozbudzać ciekawość na tyle, żeby zwrócić uwagę na płytę z dziesięcioma utworami, którą dostajemy wcześniej niż sam film „Wartość sentymentalna" Joachima Triera (rozmowa z reżyserem na s. 78), do Polski docierający na szarym końcu światowej dystrybucji. Dopracowaną i różnorodną pod względem aranżacji muzykę Rani spokojnie można odbierać jednak także bez obrazu, traktując ją jak regularne wydawnictwo polskiej kompozytorki. BCH

eprasa.pl f6af64afad

Jedna forma zlewa się z drugą nie dlatego, że ma być jak w snach, tylko dlatego, że lubię ten potencjał przewrotności, gdy rzeczy złe stają się dobre, i na odwrót – mówi Ant Łakomsk, laureatka Paszportu POLITYKI w dziedzinie sztuk wizualnych.

Ile wiemy, tyle widzimy

PIOTR SARZYŃSKI: **– W finale Paszportów POLITYKI znalazła się pani wraz z Patrykiem Różyckim i Agatą Ingarden. Myślała pani o swoich szansach na zwycięstwo?**

ANT ŁAKOMSK: – W życiu staram się być realistką. Patrzę na to, co na wierzchu, a na wierzchu było imponujące portfolio Agaty i wielka rozpoznawalność i popularność Patryka. Oraz fakt, że w tej trójce byłam najmłodsza. Skłaniałam się więc ku myśli, że w ich towarzystwie jestem osobą drugorzędną, z niewielkimi szansami na końcowy sukces.

To zróbmy teraz wycieczkę w przeszłość. Kiedy i jak zaczęła się pani przygoda z malarstwem?

Zaczęła się wcześnie i w rodzinnym domu. Moja mama zajmowała się sztuką, a ja urodziłam się w czasie, gdy studiowała malarstwo na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Więc, chcąc nie chcąc, przez całe swoje dzieciństwo i młodość byłam blisko malarstwa, choć od razu dodam, że mama niespecjalnie dbała, żeby przedłużać tę rodzinną tradycję. Nie miała potrzeby, żeby na mnie projektować swoje ambicje, a nawet wręcz przeciwnie, wydaje mi się, że raczej starała się mnie zniechęcać do sztuki, dobrze wiedząc, że los artystki bywa niełatwy.

Ale duch twórczości gdzieś tam w pokojach się unosił?

Najbardziej obecnymi osobami w moim dzieciństwie były trzy kobiety: mama, jej siostra i babcia. Odkąd pamiętam, ciocia bardzo interesowała się filmem, babcia, bibliotekoznawczyni, głęboko siedziała w poezji. Ja na samym początku także interesowałam się fotografią i filmem. W drugiej klasie liceum przeniosłam się z rodzinnych Kielc do Warszawy i zaczęłam uczęszczać do liceum filmowego. Miałam też plan, żeby zdawać na łódzką filmówkę i zajmować się krótkimi formami. Ostatecznie uznałam, że wcześniej rozpocznę studia na Wydziale Sztuki Mediów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, co da mi szerszą świadomość pola sztuki i umożliwi swobodne poruszanie między różnymi technikami. Skończyło się na tym, że pochłonęło mnie malarstwo. To było dla mnie najbardziej konwencjonalne i podstawowe, oprócz rysunku, medium. Odpowiadało mi, że malarstwo ma konkretnie zarysowane zasady, ma wbudowaną instrukcję obsługi.

Ale Wydział Sztuki Mediów to chyba nienajlepsze miejsce na zgłębianie tajemnic malarstwa?

Paradoksalnie studiowałam u wykładowców, którzy zajmują się malarstwem. Rozpoczęłam w pracowni prof. Leona Tarasewicza, a ostatecznie aneks do dyplomu robiłam u prof. Pawła Susida. Natomiast swoje życie studenckie spędziłam zasadniczo w Pracowni Poetyki dr. Wojciecha Bąkowskiego. To były zupełnie różne miejsca. Pracownie malarskie rządzą się rygorem realizacji obrazów z tygodnia na tydzień. Pracownia Poetyki przewidywała długofalowe zadania i dogłębną analizę wykonywanych prac. Najwięcej się dyskutowało.

Czyli jednak ostatecznie poszła pani w ślady mamy?

Gdy przeniosłam się do nowego liceum, mama rozstała się ze światem sztuki. Pracowała wówczas w Muzeum Narodowym w Kielcach jako kierowniczka jednego z działów, miała doktorat, ale

Ant Łakomsk (ur. 2001 r.) – absolwentka Wydziału Sztuki Mediów warszawskiej ASP, a w minionym roku bohaterka dobrze przyjętej i przyciągającej uwagę wystawy „Camille" w Turnus Gallery. Była też finalistką konkursów Young Art Prize (Wrocław, 2024 r.) oraz Bielska Jesień (2025 r.).

PARTNER KATEGORII
KRUK

eprasa.pl f6af64afad

„Airhead", 2025 r. (olej, płótno, 120 × 87 cm)

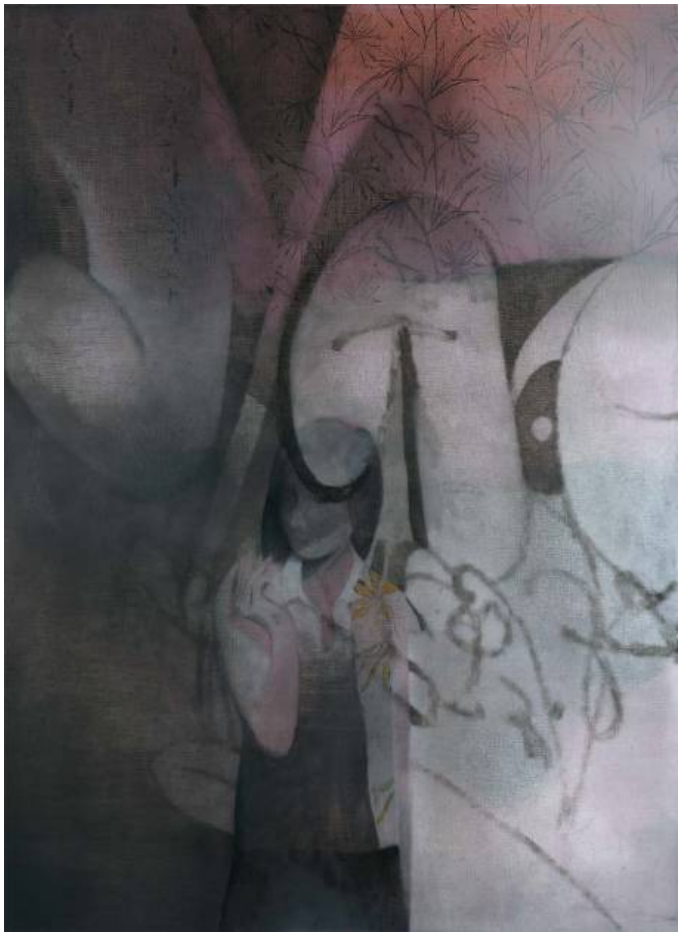

„Jaded", 2025 r. (olej, płótno, 120 × 87 cm)

z tej muzealnej pensji nie byłaby w stanie pomagać mojemu studiującemu bratu i mnie. Rzuciła więc pracę w muzeum, sprzedała mieszkanie, pozamykała wszystkie sprawy i wyjechała do Wielkiej Brytanii pracować dorywczo. Podejmując taką decyzję, mogła opłacić moją szkołę, a potem studia. Niewielu rodziców stać na takie poświęcenia, szczególnie jeśli stawką są studia artystyczne...

Jaki jest pani rytm pracy?

Maluję regularnie, robię niewiele przerw, a rytm wyznaczają mi kolejne wystawy lub projekty. W pracowni spędzam czas praktycznie codziennie, najczęściej gdzieś między godz. 14 a 23. Ten stały rytm jest dla mnie bardzo ważny, pochłania mnie tak mocno, że nie do końca zwracam uwagę na to, co robię. Każde wyjście z rytmu sprawia, że tracę naturalność, praca staje się zbyt świadoma, każdy gest wydaje mi się zbyt intencjonalny, a efekty jakieś takie „kanciaste". Najchętniej pracuję nad kilkoma obrazami równocześnie i gdy jeden mnie zmęczy, to przeskakuję do kolejnego. Równoczesne malowanie kilku obrazów pozwala na zachowanie pewnej linearności i relacji między nimi. Tak jakby nawzajem się w sobie przeglądały.

Malowanie poprzedza pani szkicami?

Nigdy nie robiłam i nie robię szkiców. Natomiast od niedawna korzystam z fotografii. Lubię, gdy motywy przenoszą się z medium na medium, zmieniają swoje formy na potrzeby innego narzędzia. Lubię czuć, że moje malarstwo przynależy do innych, zewnętrznych światów wizualnych, że jest gdzieś osadzone, z czegoś wynika. Nie chodzi nawet o ukazanie w obrazie bogactwa tych znaczeń, ale raczej o moją satysfakcję.

Krytycy jednak próbują te inspiracje identyfikować. I wymieniają m.in. secesję, japońską mangę, malarstwo Jamesa McNeilla Whistlera czy Gerharda Richtera.

To bardzo piękne, że ludzie widzą w moim malarstwie inne rzeczy niż ja, i cieszy mnie, że jest ono otwarte na nieprzewidziane przeze mnie perspektywy. Jednak trudno byłoby mi wymienić jakieś hierarchie motywów, modeli, symboli, tradycji malarskich i artystycznych, czy kultur, do których bym się regularnie i intencjonalnie odnosiła w swoich pracach. Szczerze mówiąc, osobiście najbardziej lubię sztukę, która jest zupełnie inna niż ta, którą sama uprawiam.

Na przykład…

...jest taka praca, o której myślę właściwie codziennie. To film holenderskiej artystki Rineke Dijkstry, przedstawiający dziewczynę tańczącą do piosenki Davida Guetty i Kelly Rowland. Poza tym wiele moich prac funkcjonuje jako cytaty z internetu. Lubię języki, które mają określone ramy i funkcjonują wedle pewnych zasad. Czasami maluję graffiti, które samo w sobie jest komunikatem, z jednej strony oczywistym, z tymi krzyczącymi kolorowymi literami, ale z drugiej – funkcjonującym w hermetycznej formie, zrozumiałej tylko przez nielicznych. Ja sama go nie rozumiem. Dlatego nie obrażam się na te skojarzenia z secesją czy mangą. Bo o to chodzi w sztuce, o potencjał, który rodzi się między wizualnością a jej odbieraniem. Dla niektórych moje obrazy mogą być po prostu dekoracyjne, inni będą myśleć o nich w perspektywie biograficznej, a dla kogoś będzie to tylko senny miraż.

Ta perspektywa autobiograficzna nie jest właściwa?

Mówiłabym raczej o perspektywie autofikcyjnej. Bliski jest mi cykl prac Zuzanny Janin, oparty na jej autobiograficznej historii, gdy w młodości jako aktorka ▶

© LESZEK ZYCH, ANT ŁAKOMSK (2)

eprasa.pl f6af64afad

▶ wcieliła się w filmową postać Majki Skowron. Stworzyła nowe scenariusze, w których Majka znalazła się w miejscach, gdzie nigdy nie mogła być. Ja też lubię tak myśleć o swoim malarstwie: że chciałabym zobaczyć siebie i innych ludzi w miejscach, do których trafić nie możemy. Czy to jest autobiograficzne? Może co najwyżej w tym sensie, że we własnych doświadczeniach szukam potencjału, który przelewam na innych, i na odwrót.

Maluje pani głową czy sercem?

Wydaje mi się, że moje malarstwo jest intuicyjne, ale to sytuacja dość niebezpieczna, bo mogę stracić kontrolę nad tym, co robię. A ja chciałabym wiedzieć, na jakie terytorium wchodzę, gdzie się panoszę. Uważam, że chcąc się zajmować sztuką, muszę się mierzyć z ogromną ilością wiedzy. Myślę, że widzimy tyle, ile wiemy. I nie można myśleć o sztuce w sposób wyabstrahowany. Wszystko się ze sobą łączy, wszystko z czegoś wynika. Chciałabym wiedzieć jak najwięcej, mieć świadomość, z jakiego zasobu symboli korzystam i jakie są ich uwarunkowania. To jest taka prosta, ale ważna zasada. Uprawianie sztuki napawa mnie pewną trwogą, boję się całej wiedzy, która za tym stoi. Tym bardziej że wiedzę tę dodatkowo obciąża historyczna płynność rzeczy, ich dwojaka natura. Rzeczy pozytywne są wykorzystywane w potworny sposób i na odwrót, historie traumatyczne mogą być pożytkowane na rzecz dobra.

„Shower", 2025 r. (olej, płótno, 170 × 20 cm)

Myślę, że odbiorcy pani malarstwa nie wchodzą aż tak głęboko w jego konteksty oraz genezę i najczęściej ograniczają się do refleksji typu: smutne, nostalgiczne, jak ze snu itd.

Z jednej strony nie lubię takich ocen, bo one do niczego nie prowadzą. Z drugiej jednak lubię, gdy widzę, że jeden obraz może mieć tyle znaczeń, często odmiennych od tych, które mi towarzyszyły przy pracy nad nim. Ileż nasłuchałam się już historii o mojej sztuce i moich intencjach wobec niej, a przecież koniec końców ona żyje autonomicznie, poza naszą kontrolą. Moją intencją nigdy nie było tworzenie obrazów smutnych ani nostalgicznych, ani onirycznych. Te obrazy nie mają też nic wspólnego ze snami, które są jedną z najnudniejszych rzeczy, które nam się przydarzają. Opowiadanie snów jest jak streszczanie filmu – ekscytuje tylko osobę, która to robi, a nie słuchacza.

To dlaczego ludziom tak się kojarzą?

Domyślam się. To kwestia... techniczna. W życiu zaczęłam malować trochę od złej strony, bo akwarelami, i chyba nigdy tego nie umiałam robić, używałam za dużo wody, a nasiąknięty nią papier prawie się rozpadał. Ja jednak lubiłam po prostu patrzeć, jak na moich oczach zmieniają się kształty, jak się w siebie nawzajem przelewają, jak to ewoluuje w trakcie wysychania. Bo każdy pigment ma inną właściwość i jeden zostaje na wierzchu, podczas gdy inny jest zupełnie wymyty. I ten sentyment pozostał we mnie po zmianie technik na farby olejne i akrylowe. Nadużywałam terpentyny, rozpuszczalników, benzyny ekstrakcyjnej (mój organizm pewnie odczuje to za ileś lat) i obserwowałam, jak maluję jedną rzecz, a wychodzi coś innego. Więc jedna forma zlewa się z drugą nie dlatego, że ma być jak w snach, tylko dlatego, że lubię ten potencjał przewrotności i nieprzewidywalności. Lubię, jak rzeczy złe stają się dobre, i na odwrót. Jak rzeczy dobre są złe. Lubię, jak coś mi bliskiego staje się błahe w oczach innych ludzi. To pomieszanie dystansuje wobec moich obrazów i utwierdza w przekonaniu o ich autonomii wobec mnie.

Takie wydarzenia jak kolejne wystawy czy choćby dowody uznania zmieniają panią jako artystkę?

Jestem dosyć uparta w tym, co robię, i staram się poświęcać uwagę tylko rzeczom, które są ważne w mojej pracowni. Ale mam oczywiście świadomość, że widoczność mojej sztuki się zmienia. Wraz z tym potencjał jej odbioru. Poszerza się zatem i klucz interpretacji, który z jednej strony spłaszcza i uziemia moje głupie, prywatne wzruszenia, a z drugiej – demaskuje nieprzewidziane przeze mnie motywy. Cieszę się na ten scenariusz.

ROZMAWIAŁ PIOTR SARZYŃSKI

tokfm

Rozmowy z laureatami Paszportów POLITYKI w każdą środę o godz. 11.40 w „Kulturze Osobistej" w TOK FM, na tokfm.pl i w aplikacji mobilnej.

© ANT LAKOMSK

Współorganizator Gali
TVP

Partnerzy Główni
TOTALIZATOR SPORTOWY
7 LAT
ZAiKS Stowarzyszenie Autorów ZAiKS
PZU FUNDACJA
ORLEN

Partner Oficjalny
Warszawa

Partnerzy Kategorii
Książka: Sopot
Sztuki wizualne: KRUK
Film: KUJAWY POMORZE; FUNDUSZ FILMOWY KUJAWY POMORZE
Scena: Białystok
Muzyka popularna: PZU FUNDACJA
Muzyka poważna: ART & SCIENCE

Partner Medialny
tokfm

eprasa.pl f6af64afad

Kultura „no debt" – od tabu do odpowiedzialności

W Polsce o zadłużeniu mówi się cicho, bo u 40 proc. społeczeństwa wywołuje ono wstyd. Z kolei o kulturze mówi się głośno o tematach, które powinny być społecznie zauważane i omawiane w debacie publicznej. Paradoksalnie to właśnie połączenie tych dwóch światów może być kluczem do budowania dojrzałego społeczeństwa finansowego.

Z Indeksów finansowych* wynika, że 81 proc. Polaków uważa spłatę długów za naturalny obowiązek – brzmi optymistycznie. Jednak 40 proc. deklaruje, że zadłużenie to powód do wstydu. Tak jakby samo zaciągnięcie zobowiązania, czyli choćby wzięcie kredytu, podpisanie umowy abonamentowej, było czymś kompromitującym. Problem w tym, że taka narracja nie sprzyja ani rozwiązaniom, ani zdrowej kulturze finansowej.

W kraju, w którym zadłużenie wciąż często jest tematem tabu, a windykacja obrosła w stereotypy rodem z lat 90., firmy zarządzające wierzytelnościami starają się nie tylko edukować, jaka jest ich rola w społeczeństwie czy gospodarce, lecz także coraz częściej uczestniczą w życiu publicznym i wspierają kulturę.

KRUK S.A., lider rynku zarządzania wierzytelnościami w Polsce, od kilku lat angażuje się w działania, w których debata o wartościach nabiera zupełnie innego wymiaru. Jest na dużych konferencjach, kongresach, ale też na prestiżowych wydarzeniach, m.in. Paszportach „Polityki".

Czy kultura może pomóc przełamać finansowe tabu czy tabu, jakim jest zadłużenie? I czy polskie społeczeństwo jest gotowe na kulturę odpowiedzialności – także tej finansowej?

Wychodzenie z cienia: co naprawdę zmienia sponsoring kultury

Firmy, które działają w obszarach obarczonych społecznie trudnymi skojarzeniami, często szukają mostów do dialogu z opinią publiczną. KRUK od kilku lat stawia na zaangażowanie w kulturę – nie tylko jako formę budowania kapitału wizerunkowego, lecz jako wyraz przekonania, że kultura pełni rolę społecznego spoiwa, również w obszarze wartości i odpowiedzialności.

Wspieranie wydarzeń kulturalnych, takich jak Paszporty „Polityki", lokalne inicjatywy czy projekty edukacyjne, to próba wyjścia poza stereotypową rolę windykatora i wejścia w dialog z odbiorcami w przestrzeni mniej oczywistej, ale bardziej otwartej. Bo kultura jest jednym z niewielu obszarów życia publicznego, który otwiera ludzi na dialog.

Dlaczego „no debt" to nie fanaberia

Droga do kultury finansowej to pewna ewolucja w podejściu do budowania społeczeństwa odpowiedzialnego – także finansowo. Dług nie jest piętnem, lecz obowiązkiem do wypełnienia, a windykacja nie musi być instytucją z opowieści i mitów na jej temat sprzed kilkunastu lat, lecz elementem normalnie funkcjonującej gospodarki. Rozmowa o pieniądzach nie powinna zaczynać się od wstydu i kończyć milczeniem. Jeśli chcemy społeczeństwa odpowiedzialnego finansowo, powinniśmy pamiętać o dialogu. A kultura dialog lubi.

Ku społeczeństwu finansowo dorosłemu

Dług wymaga decyzji, konsekwencji i – co najtrudniejsze – rozmowy. Zmieniające się postawy Polaków oraz profesjonalizacja branży windykacyjnej wskazują, że proces ten już trwa. Jeśli chcemy budować kulturę „no debt" w europejskim rozumieniu, musimy najpierw zbudować kulturę „no shame". Przestać traktować dług jako stygmat, a zacząć postrzegać go jako element życia finansowego, którym można i należy zarządzać.

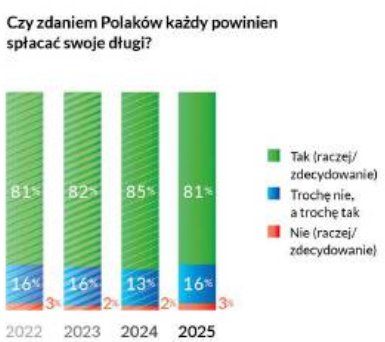

Ostatecznie dług nie jest problemem cywilizacyjnym. Problemem jest sytuacja, w której nie potrafimy o nim mówić. Dlatego im szybciej zaczniemy o nim rozmawiać otwarcie, tym większa szansa, że kultura „no debt" stanie się w Polsce nie ambicją, lecz codziennością. Bo finanse, podobnie jak kultura, najlepiej działają wtedy, gdy są wspólną sprawą.

* Indeksy finansowe są przygotowywane cyklicznie od 2022 roku na podstawie badania zleconego przez KRUK S.A. na panelu Ariadna metodologią CAWI na reprezentatywnej grupie Polaków w wieku powyżej 18 lat. Dane z 2025 pochodzą z badania przeprowadzonego 15-18.08.2025 r. Próba ogólnopolska losowo-kwotowa N=1086 osób.

eprasa.pl f6af64afad

Cztery dekady zachwytu nad światem

Od afrykańskiego safari po ekspedycje polarne – Albatros Travel od czterech dekad udowadnia, że podróż może być czymś więcej niż urlopem. O jubileuszu firmy, zmieniających się marzeniach Polaków i odpowiedzialnej turystyce rozmawiamy z przedstawicielką firmy.

Jan Rojewski: Dania i Afryka kojarzą mi się przede wszystkim z „Pożegnaniem z Afryką".

Wioletta Drozdowska-Malicka, Albatros Travel: To skojarzenie jest nie tylko trafne, ale wręcz wpisane w nasze DNA. Søren Rasmussen, założyciel Albatros Travel, powołał firmę do życia równo czterdzieści lat temu, będąc u progu obiecującej kariery akademickiej. Jako biolog oglądał świat przez pryzmat mikroskopu i naukowych faktów, jednak to afrykańska sawanna sprawiła, że spojrzał na życie z zupełnie nowej perspektywy.

Safari, w których wtedy uczestniczył, miały w sobie ten nieuchwytny klimat, który znamy z prozy Karen Blixen. To był świat bliskiego kontaktu z dziką naturą i majestatycznymi zwierzętami. Søren wspominałmagiczne wieczory przy ognisku i rozgwieżdżone niebo, które na półkuli południowej jestzupełnie inne niż to, które oglądamy w Europie. To właśnie tamto doświadczenie zachwytu nad światem sprawiło, że postanowił dzielić się nim z innymi. Zamiast opisywać gatunki w pracach naukowych, zaczął zabierać ludzi tam, gdzie zwierzętażyją na wolności.

Oferta dla polskiego turysty to jednak znacznie więcej niż tylko Afryka.

Zdecydowanie tak. Na polski rynek weszliśmy w 2017 roku. Zastaliśmy tu turystę świadomego, wymagającego i ciekawego świata – zupełnie innego niż podróżnicy z pionierskich lat 90. Choć nasze afrykańskie korzenie wciąż są naszym ogromnym atutem – dysponujemy tam własną bazą logistyczną, sprawdzonymi hotelami i zespołem wybitnych przewodników – dziś nasze portfolio ma charakter globalny.

Polacy podróżują z nami w głąb tętniącej życiem Azji, odkrywają Amerykę Południową, przemierzają bezkresne przestrzenie Stanów Zjednoczonych. Co jednak szczególnie interesujące, mimo bogatej oferty egzotycznej, to właśnie Europa niezmiennie cieszy się największą popularnością.

Warto również podkreślić, że rok 2026 jest dla nas wyjątkowy. Obchodzimy 40-lecie istnienia firmy. Z tej okazji przygotowaliśmy dla naszych klientów specjalny rabat jubileuszowy obowiązujący do końca lutego, a także szereg nowych programów podróży. Szczegóły można znaleźć w naszym najnowszym katalogu, który – właśnie z okazji jubileuszu – został dołączony do tego numeru „Polityki".

Waszym wycieczkom daleko jednak do typowych wczasów all-inclusive.

To dwa zupełnie różne światy. W Albatros Travel fundamentem każdej wyprawy jest walor edukacyjny i głębokie zrozumienie odwiedzanego miejsca. Kluczem do tego są nasi piloci – to starannie dobierani pasjonaci, którzy nie tylko dysponują ogromną wiedzą, ale potrafią stać się dla naszych gości pomostem między kulturami.

Jednocześnie dbamy o to, by programy naszych wycieczek nie przypominały gonitwy. Wierzymy, że prawdziwe poznanie kraju nie polega na odhaczaniu kolejnych punktów na mapie od świtu do nocy. Liczy się balans. Chcemy, aby nasi turyści mogli spokojnie wypić espresso w gwarnej

eprasa.pl f6af64afad

włoskiej kawiarni, przyglądając się życiu ulicy, czy odkryć smaki w małej, rodzinnej restauracji w Chinach, do której nie trafiają masowe grupy.

Z tego, co wiem, wspieranie lokalnych biznesów i odpowiedzialność społeczna są dla Państwa priorytetem.

To prawda, hołdujemy filozofii zrównoważonej turystyki, która wykracza poza marketingowe slogany. Dla nas bycie gościem w danym kraju wiąże się z odpowiedzialnością. Bardzo uważnie słuchamy naszych pilotów, którzy są naszymi „oczami i uszami" na miejscu. To właśnie oni często jako pierwsi dostrzegają lokalne problemy, które przy wsparciu z naszej strony można rozwiązać.

Przykładem takich działań jest Kolumbia, gdzie sfinansowaliśmy budowę zadaszonych schodów prowadzących do jednej z wiejskich szkół, znacząco poprawiając bezpieczeństwo dzieci podczas pory deszczowej. W Indiach natomiast od lat współpracujemy z fundacją opiekującą się osieroconymi dziećmi. Wspieramy tam programy aktywizacji zawodowej – młode dziewczyny uczą się krawiectwa, zyskując fach w ręku i szansę na samodzielność. Uszyte przez nie materiałowe torby trafiają później w ręce naszych klientów jako unikalna pamiątka z podróży. Zależy nam na tym, aby lokalne społeczności nie tylko czerpały zyski z naszej obecności, ale czuły się przez nas autentycznie docenione.

Bardzo ważnym obszarem naszego zaangażowania jest także ochrona nosorożców w Republice Południowej Afryki. Zarówno białe, jak i czarne nosorożce są ofiarami kłusowników z powodu popytu na ich rogi, którym niesłusznie przypisuje się właściwości lecznicze. W rzeczywistości są one zbudowane z keratyny – tej samej substancji co ludzkie włosy i paznokcie.

Nasze obozy w rezerwacie Manyeleti, sąsiadujące z Parkiem Narodowym Krugera, współpracują z lokalnymi strażnikami i współfinansują patrole chroniące zagrożone zwierzęta. W prywatnym rezerwacie przyrody Entabeni wspieramy opiekę nad osieroconymi młodymi nosorożcami, które pod nadzorem weterynarzy wracają później do rezerwatów. Wierzymy, że turystyka powinna nie tylko pokazywać świat, ale też realnie go chronić.

Jak rozumiem, Państwa celem jest to, aby turysta po powrocie zmienił zdanie o miejscu, które odwiedził. Czy zdarzyło się Pani uczestniczyć w wyprawie, która tak dalece zweryfikowała Pani własne wyobrażenia?

Taką podróżą była dla mnie wyprawa do krajów Ameryki Środkowej, którą odbyliśmy szlakiem cywilizacji Majów. Odwiedziliśmy Kostarykę, Nikaraguę, Honduras, Salwador i Gwatemalę.Jednak to Panama City okazała się dla mnie największym objawieniem. Spodziewałam się czegoś zupełnie innego, a zastałam miasto niezwykle nowoczesne, z imponującym centrum finansowym i drapaczami chmur. Wiele z tych państw wciąż niesłusznie kojarzy się głównie z nagłówkami o przestępczości, podczas gdy w rzeczywistości są to miejsca bezpieczne, niezwykle gościnne i z nadzieją wyczekujące turystów. Podróż ta uświadomiła mi, jak bardzo nasze wyobrażenia nie przystają do rzeczywistości. Dziś mam o tym regionie nieporównywalnie lepsze zdanie.

Czy potrafi Pani przewidzieć, jakie kierunki staną się podróżniczymi „hitami" w najbliższym czasie? Wiem na przykład, że Polacy pokochali Japonię, m.in. dzięki korzystnemu kursowi jena.

To prawda – ekonomia często idzie w parze z marzeniami. Jeśli kraj, który przez lata uchodził za elitarny lub trudno osiągalny, nagle staje się dostępny finansowo, zainteresowanie nim natychmiast szybuje w górę. Myślę jednak, że obok egzotyki będziemy coraz częściej doceniać kierunki „bliskie, a nieoczywiste". Osobiście bardzo polecam Norwegię – w Albatrosie przygotowaliśmy ofertę, która udowadnia, że ten majestatyczny kraj można zwiedzić w bardzo przystępnej cenie, nie rezygnując z wysokiego standardu.

Niesłabnącym uczuciem darzymy oczywiście Włochy. Polacy kochają tamtejszy styl życia, kuchnię i wszechobecną historię. Nie bez powodu Włosi wygrywają w sondażach na naszą ulubioną nację – po prostu czujemy z nimi wyjątkową więź. Co ważne, nasz sposób zwiedzania Italii ewoluuje. Przestaliśmy traktować ten kraj jako monolit; zaczynamy odkrywać go regionami. Dziś turysta z Polski doskonale wie, że kuchnia sycylijska to zupełnie inna opowieść niż ta z Toskanii czy Piemontu. Stajemy się koneserami niuansów.

Co ciekawe, podobny proces obserwujemy w przypadku Wielkiej Brytanii. Przez lata postrzegaliśmy ją głównie przez pryzmat Londynu i traktowaliśmy jako kierunek emigracyjny. Dziś Polacy coraz chętniej wyruszają na surowe wyżyny Szkocji, wybrzeże Kornwalii czy do malowniczej Walii. To fascynująca zmiana: kraj, do którego jeździliśmy za pracą, staje się dla nas jedną z najbardziej pożądanych destynacji turystycznych.

Wybór nowych miejsc to jedno, ale czy zmienia się sposób, w jaki podróżujemy

Zauważmy, że w ostatnich latach rośnie liczba klientów poszukujących komfortu w podróży. Dlatego coraz większą popularnością cieszą się rejsy – przede wszystkim ze względu na wygodę. Bez konieczności codziennej zmiany hotelu można każdego dnia budzić się w innym miejscu, łącząc komfort ze zwiedzaniem i relaksem na pokładzie statku.

W naszej ofercie znajdują się zarówno rejsy po europejskich rzekach – Dunaju, Renie, Sekwanie, Rodanie i Saonie – jak i po Nilu w Egipcie czy Mekongu w Azji. Organizujemy także rejsy morskie po Karaibach, Seszelach oraz wokół Galapagos, połączone ze zwiedzaniem Ekwadoru i amazońskiej dżungli. Szczególne miejsce zajmują nasze wyprawy ekspedycyjne – na Antarktydę, Spitsbergen i Grenlandię.

Cztery lata temu wzbogaciliśmy flotę o dwa nowoczesne statki ekspedycyjne średniej wielkości – Ocean Albatros i Victory Albatros – mieszczące po 190 pasażerów. To jedne z najnowocześniejszych jednostek operujących w rejonach arktycznych. Dzięki zastosowanym technologiom udało się zmniejszyć emisję CO_2 o dwie trzecie w porównaniu z poprzednimi statkami, co jest istotnym elementem naszej polityki ochrony środowiska.

Albatros travel

Materiał powstał przy współpracy z Albatros Travel"

eprasa.pl f6af64afad

Dźwięk przeszłości

Hania Rani zrozumiała ten film głębiej niż ktokolwiek – mówi norweski reżyser Joachim Trier, autor „Wartości sentymentalnej", nominowanej w dziewięciu kategoriach do Oscarów.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Jak wysoką cenę płaci się za sztukę rozdrapującą zbyt mocno rany? Czy to pytanie dręczyło pana podczas pracy nad „Wartością sentymentalną"?**

JOACHIM TRIER: – Tak. Scenariusz pisałem z moim stałym współpracownikiem Eskilem Vogtem i od początku kluczowe było dla nas napięcie między potrzebą opowiadania a odpowiedzialnością za tych, których historię się wykorzystuje. Gustav Borg, grany przez Stellana Skarsgårda, jest narcystycznym artystą, reżyserem filmowym przygotowującym się do nowego projektu o swojej zmarłej matce. Borg traktuje życie rodzinne jako materiał roboczy. Ciekawiło mnie, czy można to zrobić inaczej – czy sztuka może być formą pojednania, nie tylko zadawania bólu.

Zastanawiając się nad sposobem traktowania rodziny przez Gustava, trudno nie pomyśleć o Bergmanie.

Mnie interesowało, na ile ja jestem do niego podobny. Odpowiedź brzmi: nie czułem się jak Gustav – ślepy na krzywdę, którą wyrządza. Po zakończeniu trudnego nagrania podchodziłem do Renate Reinsve, wcielającej się w skrzywdzoną przez Gustava jego córkę aktorkę, nie mówiąc do niej nic, i po prostu ją przytulałem. Gustav nigdy by tego nie zrobił. Dla mnie ta różnica jest wszystkim. Jeśli tracimy z oczu człowieka na rzecz sceny, przegrywamy.

Czyli to nie jest Bergman?

To nie jest jego zamierzony portret. Oczywiście rozumiem, że te porównania się pojawiają, ale nie były one moim celem. Bergman jest jednym z moich mistrzów, a Stellan w przeszłości z nim pracował. Powodowało to, że jego legenda była naturalnym tematem rozmów i analiz, co mogło nieświadomie na nas wpłynąć. Gustav, podobnie jak wiele postaci bergmanowskich, zmaga się z kryzysem twórczym i trudnościami w relacjach rodzinnych, w szczególności z dwiema dorosłymi córkami. To typ patriarchy. Reżyser starej daty, co w kontekście skandynawskim

Joachim Trier
(ur. 1974 r.) – reżyser i pisarz, absolwent Europejskiej Szkoły Filmowej w Ebeltoft w Danii. Często mylony z Larsem von Trierem – nie ma pomiędzy nimi związków rodzinnych, a Joachim nigdy nie naśladował Larsa. Jego filmy stanowią przeciwieństwo Dogmy, zastępując jej surowość i przypadkowość przemyślaną elegancją ujęć, precyzyjnym oświetleniem oraz technicznym wyrafinowaniem. Trier nakręcił m.in. „Głośniej od bomb", „Thelmę", „Najgorszego człowieka na świecie".

eprasa.pl f6af64afad

nieuchronnie przywołuje autora „Fanny i Aleksandra". Natomiast estetycznie dużo większy wpływ miało na mnie w tym przypadku amerykańskie kino lat 70.: Woody Allen czy Peter Bogdanovich. Do tego doszły moje osobiste wątpliwości dotyczące starzenia się i lęku przed wyczerpaniem potencjału twórczego.

Jednym z bohaterów filmu jest dom rodzinny Borgów – to nawiązanie do pańskich wspomnień z okresu dorastania?

Niedosłownie, generalnie chodzi o kontekst. Uświadomiłem sobie, że cały XX w. wydarzył się w moim domu, który stoi zresztą niedaleko tego pokazanego w filmie. Niedawno urodziła mi się dwójka dzieci. Zacząłem się więc zastanawiać, co im właściwie przekazuję, a co zostało przekazane mnie. Przypomniałem sobie na przykład traumy mojego dziadka nabyte podczas wojny – był bojownikiem ruchu oporu, ledwo przeżył, a potem został reżyserem filmowym. Nie był jak Gustav Borg, ale sama myśl o jego cierpieniu mocno wpłynęła na moją rodzinę. Pamięć wojny odcisnęła trwały ślad na pewnych wyborach moich rodziców. A ich ból na moich. Jak wielu pokoleń trzeba, żeby się tego pozbyć? Teraz, gdy patrzę na moje dzieci, myślę: czy XX w. wywrze na nie taki sam wpływ jak na mnie? Nasz dom był świadkiem tego wszystkiego. Czy to, co mówię, ma sens? Trudno to prześledzić bez odrobiny filozofowania. Nie chcę udawać, że potrafię to wszystko spójnie zawrzeć w jednej krótkiej fabule, ale myślę, że niektóre z tych idei się w niej znalazły.

Niech pan opowie o najsilniejszym wspomnieniu z dzieciństwa.

Wychowałem się w domu moich dziadków w Oslo. Zapamiętałem specyficzny zapach starego drewna, wosku i herbaty. Ale przede wszystkim ten dom miał dźwięk – głuchy, stłumiony huk centralnego ogrzewania wyłączającego się o piątej nad ranem i absolutną ciszę w bibliotece o trzeciej po południu. To był dom, w którym czas się zatrzymał. Kiedy miał być sprzedany, a my z Eskilem zaczęliśmy wtedy pisać scenariusz, zrozumiałem, że chcę oddać hołd nie budynkowi, ale temu, co przechowują jego mury: wspomnieniom, niedokończonym rozmowom, emocjom. Na ekranie dom nie jest tłem. To archiwum duszy rodziny.

Dom jako niemy świadek komentujący losy mieszkańców to bardzo literacka metafora.

To było nasze marzenie od 20 lat! Odkąd zobaczyłem „Wiek niewinności" Scorsese, gdzie dystyngowana narratorka wprowadza widzów w świat bohaterów, rozmawiałem o podobnym pomyśle z moim dźwiękowcem Gisle Tveito. Też chcieliśmy, żeby dom był świadkiem pamięci. Co więcej, głosu temu domowi użyczyła Bente Børsum, 91-letnia dziś aktorka, która grała główną rolę w filmie mojego dziadka Erika Løchena z 1960 r. Taki międzypokoleniowy most.

Pana rodzina to klan filmowy: ojciec był dźwiękowcem, matka dokumentalistką, brat reżyserem, siostra fotosistką. A dziadek Erik Løchen – muzykiem jazzowym i filmowcem, którego pełnometrażowy debiut fabularny w 1960 r. konkurował w Cannes z arcydziełami Bergmana i Felliniego. Czy w takim razie postać Gustava to portret pana dziadka?

Mój dziadek, jak wspomniałem, działał w ruchu oporu, przesiedział wiele miesięcy w więzieniu, ledwo przeżył wojnę, potem został reżyserem. W pewnym momencie jednak rzucił ten zawód. Jego trauma i milczenie stały się rodzinnym dziedzictwem. A Gustav jest hipotezą – rozwinięciem pytania: co by było, gdyby taki artysta kontynuował karierę, wykorzystując życie rodziny jako tworzywo do pisania. „Wartość sentymentalna" nie jest odpowiedzią na życie dziadka, który zmarł cztery dekady temu. To mój list miłosny do niego. Próba rozmowy mimo dzielącego nas czasu.

Czy wykorzystał pan autentyczne taśmy lub ujęcia z jego filmów?

Tak. W scenie, gdy Gustav ogląda w archiwum stary pożółkły film, to dokładnie sytuacja z „Pościgu" (Jakten), jego debiutu z 1960 r. Siedziałem sam w ciemnym pokoju w archiwum i patrzyłem na twarz młodego mężczyzny w oknie pociągu. Jego melancholia była dotkliwa. Włożyłem ten fragment nie jako cytat, ale jako relikwię. Mówi: „Oto jestem. Patrzę na to, na co ty patrzyłeś. Czy rozumiem cię teraz lepiej?".

Wspomniał pan o traumie dziedziczonej od pokoleń. Czy wierzy pan, że sztuka może przerwać łańcuch złych doświadczeń?

Nie wierzę w magiczne uzdrowienie. Ale wierzę w język sztuki, która może stworzyć grunt do rozmowy tam, gdzie panowało kłopotliwe milczenie. Gustav w życiu jest nieudolny, lecz w swojej sztuce potrafi być przenikliwy do bólu. Sztuka nie leczy ran, może je odsłonić, opisać. Czy to przerywa łańcuch? Nie wiem. Lepiej powiedzieć: stwarza nadzieję. Dziadek był dla mnie postacią jakby z innego świata. Jego decyzja o porzuceniu kina i jego los z pewnością ukształtowały we mnie przekonanie, że bycie artystą nie jest czymś oczywistym i lekkim – oznaczało poważne brzemię.

Mimo wszystko wziął je pan na swoje barki i postanowił, że także zostanie reżyserem?

Dorastanie na planie filmowym to jak bycie czeladnikiem w warsztacie stolarskim. Nie było jakiegoś momentu decyzji. Jako nastolatek kręciłem dla zabawy filmiki o skateboardingu. Aż stało się to jedyną rzeczą, jaką potrafiłem robić. Rodzina nie wywierała presji, ale ta atmosfera, ciągłe rozmowy o zobaczonych obrazach na pewno inspirowały. Dziadek interesujący się teoriami Bertolda Brechta, pełniący funkcję dyrektora Norsk Film był tematem ▶

Stellan Skarsgård jako narcystyczny reżyser Gustav Borg z Renate Reinsve, grającą jego córkę Norę

© CHRISTIAN BELGAUX, M2 FILMS

eprasa.pl f6af64afad

▶ tabu i może właśnie przez to stał się bardziej fascynujący.

W „Wartości sentymentalnej" kluczowa jest relacja Gustava z córką Norą, która boi się powrotu do traumatycznych wydarzeń z młodości. Podobno Renate Reinsve, grająca Norę, odczuwała ogromny lęk przed tą rolą?

Podstawą jest zaufanie, które buduje się latami. Renate pojawiła się u mnie po raz pierwszy w „Oslo, 31 sierpnia", miała do powiedzenia jedną kwestię. Potem napisałem dla niej „Najgorszego człowieka na świecie". Wie, że wierzę w nią bezgranicznie. Na planie staram się stworzyć przestrzeń bezpieczeństwa, gdzie strach nie jest słabością, ale paliwem. Nie chodzi o to, żeby się go pozbyć, tylko żeby go wykorzystać. Elle Fanning, również grająca w tym filmie, powiedziała mi, że czuła się na planie rozpieszczona wolnością. To najpiękniejszy komplement.

W pana filmach – od „Reprise", poprzez „Oslo, 31 sierpnia", aż po „Thelmę" – powracają tematy gry z pamięcią, zachwianej tożsamości, dziedziczonej traumy. „Wartość sentymentalna" zdaje się je wszystkie zbierać i łączyć.

Z pewnością. Kino jest dla mnie sztuką przepracowywania różnych sytuacji. Nie chodzi o to, by odtwarzać autobiograficzne fakty – chronię swoją prywatność. Ale emocje, pytania, lęki z nią związane nie znikają. Straciłem przyjaciół, niektórzy popełnili samobójstwo, lecz w filmach nie opowiadam bezpośrednio ich historii. Próbuję zrozumieć samo zjawisko straty, pustki, która zostaje. To uniwersalne doświadczenie.

Czy w tym procesie jest miejsce na metafizykę, której oddech tak wyraźnie czuć w „Thelmie"?

Myślę, że w kinie istnieje możliwość zobaczenia drugiej osoby, nawiązania z nią pewnego kontaktu. Nie chcę się wymądrzać, ale czuję, że w tej chwili to coś bardzo ważnego. Bardziej niż kiedykolwiek. Jednym z elementów mojego filmu – co faktycznie może mieć związek z Bergmanem – jest stosunek do życia wewnętrznego. Chociaż nie jestem religijny, rozumiem potrzebę wiary jako sposobu na przetrwanie w świecie. Nie wierzę w Boga. Jestem ateistą. Ale szanuję duchowość, tę tęsknotę za jakimś sensem. W „Wartości sentymentalnej" ta sfera jest bardziej ukryta, ale istnieje – w głosie domu, w niemal mediumicznej więzi między pokoleniami, w poczuciu, że przeszłość nie umiera, tylko czeka na akt zrozumienia. Powtórzę: nie jestem osobą religijną w tradycyjnym sensie, niemniej sztuka jest dla mnie sferą transcendencji.

Muzyka w pana filmach nigdy nie wydaje się tłem, jest raczej kolejnym narratorem. W „Wartości sentymentalnej" napisała ją polska kompozytorka Hania Rani, uhonorowana niedawno Europejską Nagrodą Filmową.

Hania jest niesamowitą artystką. Szukałem czegoś, co będzie jak pamięć – fragmentaryczne, melodyjne, ale z nutą melancholii i niedopowiedzenia. Hania przysyłała mi nagrania fortepianu, czasem pojedyncze motywy. Słuchaliśmy ich razem i rozmawialiśmy o tym, co dzieje się z bohaterami.

Hania Rani, kompozytorka muzyki do filmu Triera, z Europejską Nagrodą Filmową

Znał pan wcześniej jej utwory?

Znałem z albumów. Płyta „Ghosts" jest niezwykle filmowa, pełna przestrzeni. A przestrzeń, cisza w dźwięku, jest dla mnie ważna. Jest w jej kompozycjach intymna narracyjność; fortepian, który potrafi opowiedzieć całą historię nastrojem. Nie potrzebuje wielkich crescendo, żeby dotknąć głębi. Kiedyś podczas naszych wczesnych rozmów Hania powiedziała, że dźwięk to jest nośnik pamięci.

Każdego dnia zdjęciowego czułem się jak ktoś, kto prowadzi istotną, wielowątkową rozmowę: z duchem dziadka, ze swoimi rodzicami, ze swoim młodszym ja, które dawno temu zaczynało kręcić filmy. To było jak zdejmowanie warstwy z zabliźniającej się rany, by zobaczyć, czy nadal się goi. Hania Rani, kompozytorka, czuła to. Pewnego wieczoru przysłała mi nagranie prostego motywu fortepianowego, który nazwała „Pamięć pokoju". Gdy to usłyszałem, wiedziałem, że ona zrozumiała ten film głębiej niż ktokolwiek. To była muzyka nie do opowiadania historii, ale do słuchania ciszy, która zostaje po niej.

Muzyka Hani Rani jest eteryczna, jakby wydobywała się ze ścian tego mówiącego domu. Czy jest tam melodia, która kojarzy się panu z konkretnym pokojem z dzieciństwa?

Tak. Główny temat, który towarzyszy filmowaniu domu z zewnątrz, został skomponowany w oparciu o bardzo prosty, powtarzalny rytm. Kiedy go usłyszałem po raz pierwszy, natychmiast przypomniałem sobie stary, lekko rozstrojony fortepian, który stał w salonie moich dziadków. Nikt na nim nie grał, ale ja jako dziecko lubiłem naciskać pojedyncze klawisze. Ten dźwięk – pojedynczy, nieco stłumiony, pełen rezonansu pustego pokoju – to dla mnie dźwięk przeszłości. Hania nieświadomie to uchwyciła. Melodia to jakby powrót. Gdy ją o to spytałem, powiedziała, że myślała o dźwięku wody kapiącej w studni. To jest właśnie piękne – jej studnia i mój stary fortepian okazały się tym samym.

W „Wartości sentymentalnej" ojca i córkę zbliża realizacja ich filmu. Sztuka może jednak uleczyć?

Nie lubię prostych rozwiązań. Wierzę w porozumienie, do którego może dojść dzięki wspólnemu działaniu. Gustav i Nora nie rzucają się sobie w ramiona. Stoją w bezpiecznej odległości od siebie, po przeciwnych stronach kamery. Spotkali się w akcie kreacji. Dzięki tej chwili są równi. Być może to jedyna forma pojednania, jaką mogą osiągnąć. A to i tak bardzo dużo.

Czyli jednak: sztuka nie odbiera, ale daje?

Daje, lecz nigdy za darmo. To nie jest terapia. To prawda, która kosztuje. Aby w bezwzględnym świecie pozwolić sobie na czułość, na taką wrażliwość jak w moim filmie, trzeba odwagi. Nie sądzę, żeby Gustav się radykalnie zmienił, a Nora całkowicie wybaczyła. Życie nie toczy się według utartych wzorów znanych z melodramatów. Ale w tej jednej wspólnej chwili tworzenia dzieje się coś fundamentalnego: widzą się nawzajem. Nie jako ojciec i córka z bagażem oddzielnych krzywd, lecz jako dwoje niezależnych artystów, którzy nagle posługują się tym samym językiem. Sztuka dała im wspólny kod. Nowy punkt odniesienia. To dla mnie o wiele uczciwsze niż sentymentalny happy end. I to wystarczy.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

© GERALD MATZKA/GETTY IMAGES

eprasa.pl f6af64afad

Powołanie Beaty Michalec na dyrektorkę Muzeum Literatury doprowadziło do interwencji ministerstwa, wywołało protesty w środowisku literackim i oskarżenia o brak kompetencji. Ona sama uznaje to za „cenny wkład w dyskusję”.

Czyja faworytka?

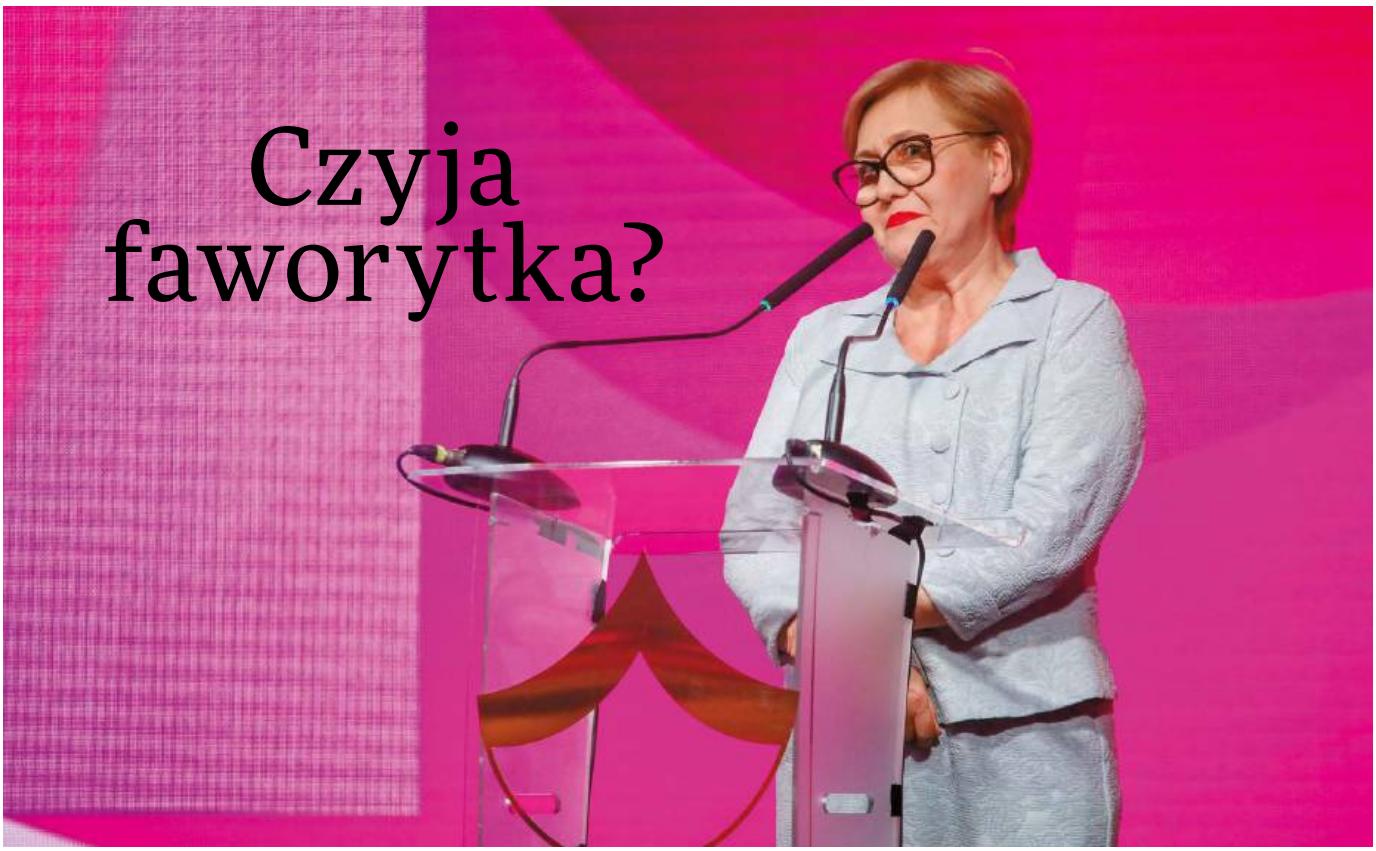

© ALBERT ZAWADA/PAP

VIOLETTA KRASNOWSKA

Pracownicy warszawskiego Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza zwracają się do Beaty Michalec bardziej „pani radna” niż „pani dyrektor”. Bo też ciągle sprawa jej dyrektorskiego powołania nie jest ostatecznie przypieczętowana i nie wszystko jest przesądzone. W każdym razie taką mają nadzieję. Przeciwko jej mianowaniu są też środowiska literackie. Ona sama każe się tytułować „dr dyrektor”.

Na stanowisko powołał ją zarząd województwa, z marszałkiem Adamem Struzikiem z PSL i wicemarszałkiem Wiesławem Raboszukiem z Platformy Obywatelskiej. I to ten ostatni, mający w swojej gestii kulturę, wystąpił do ministry kultury i dziedzictwa narodowego Marty Cienkowskiej o zatwierdzenie nominacji. Ta wymagana ministerialna kontrasygnata wiąże się ze znaczeniem tego muzeum jako strażnika skarbów narodowych, w tym cennych rękopisów polskich wieszczów. Dlatego też ministerstwo współrządzi i współfinansuje muzeum.

Ministra Cienkowska (z Polski 2050) zgody nie udzieliła, stwierdzając, że sposób organizacji konkursu, w którym wygrała Michalec, od początku budził jej wątpliwości. „Komisje konkursowe nie mogą stawać się pretekstem do obsadzania stanowisk w kluczu politycznym – pisała w komunikacie. – Decydującym czynnikiem muszą być merytoryczne kompetencje, a nie partyjne umocowania. Dotyczy to wszystkich instytucji kultury, w tym również Muzeum Literatury w Warszawie”.

Kim jest Beata Michalec? Na pewno członkinią Platformy – tak jak jej mąż, kiedyś jeden z trenerów Legii Warszawa, a obecnie burmistrz Wawra. Z jej CV wynika, że po technikum ekonomicznym poszła do pracy do przedszkola, skończyła studium pedagogiczne, była kierownikiem klubu osiedlowego, a potem przez 16 lat dyrektorką przedszkola Zielony Zakątek. Do 2018 r., gdy została radną. Kształciła się w różnych kierunkach. Późno, w wieku 37 lat, zrobiła magisterkę z pedagogiki. Potem zrobiła też podyplomowe studia z samorządu terytorialnego, a także z ochrony środowiska, by w końcu w 2016 r. obronić doktorat z historii na Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku za pracę pt. „Tekla z Bądarzewskich Baranowska (1823–1861) – zapomniana kompozytorka rodem z Mazowsza”.

W 2019 r. została adiunktem w Instytucie Historii Akademii Finansów i Biznesu Vistula. I w tym samym roku zarząd województwa mazowieckiego powołał ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ ją na wicedyrektorkę Muzeum Niepodległości (dyrektorem został członek PSL). W 2023 r. startowała do Sejmu, ale zdobyła 0,11 proc. głosów i się nie dostała. Rok później odbył się pierwszy konkurs na dyrektora Muzeum Literatury, w którym Michalec wystartowała – i przegrała z Agnieszką Celedą. Mimo to zarząd województwa, bez wymaganego uzasadnienia decyzji, wskazał jako dyrektorkę Beatę Michalec.

Zrobiła się awantura. Dr hab. Marzanna Bogumiła Kielar, członkini komisji konkursowej z ramienia ministerstwa i poetka (laureatka Paszportów POLITYKI), napisała, wraz ze Zbigniewem Zbikowskim (reprezentującym w komisji Stowarzyszenie Pisarzy Polskich) i dr. hab. prof. UW Grzegorzem Bąbiakiem (przedstawicielem Rady Muzeum) list otwarty do marszałka Struzika i ówczesnej minister kultury Hanny Wróblewskiej. Pisali: „Szczegóły postępowania konkursowego traktujemy jako poufne, ale wniosek jest wyraźny: pani Beata Michalec nie ma wystarczających kompetencji, nie ma wiedzy na temat historii literatury ani literatury współczesnej, brak jej specjalistycznego wykształcenia oraz nie posługuje się dobrze językiem polskim, co wnosimy z lektury jej publikacji. Jej jaskrawym przeciwieństwem jest zwyciężczyni konkursu". Konkurs, zdaniem autorów listu, świadomie sprowadzono do fikcji.

Swój sprzeciw wyraziły wtedy Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Unia Literacka, zaprotestował też prof. Robert Kotowski, przewodniczący Komitetu Narodowego ICOM, czyli Międzynarodowej Rady Muzeów, nazywając mianowanie Michalec zamiast zwyciężczyni konkursu „niepokojącymi praktykami". „Powoływanie na stanowiska osób o umocowaniach politycznych zniechęcają do startowania w konkursach kandydatki i kandydatów o wysokich kwalifikacjach. To zaś grozi obniżeniem poziomu muzeów publicznych i spadkiem poziomu zaufania, jakim się cieszą" – uzasadniał.

Z kolei brytyjski historyk i badacz dziejów polskich, prof. Richard Butterwick-Pawlikowski w swojej podpisanej przez ponad 250 osób petycji do urzędu marszałkowskiego zwracał uwagę, że „wprowadzenie otwartych konkursów i transparentność procedur to była jedna z wyraźnych obietnic wyborczych koalicji". I on opowiedział się za zwycięzczynią konkursu Agnieszką Celedą: „Decyzja o powierzeniu funkcji innej osobie, pani Beacie Michalec (...) nosi wszelkie cechy upolitycznienia. Stanowiska w instytucjach kultury nie powinny być obsadzane z klucza partyjnego, lecz według kompetencji".

Zarówno Marzanna Kielar, jak i **Jacek Dehnel** zgłosili votum separatum do korzystnej dla Michalec decyzji komisji.

Apelowano do marszałka Struzika o cofnięcie decyzji, a do minister Wróblewskiej o interwencję. Ta ostatnia zażądała przeprowadzenia nowego konkursu. Ostatecznie jednak 23 grudnia 2024 r. wicemarszałek Raboszuk podpisał uchwałę o powierzeniu pełnienia obowiązków dyrektora Muzeum Literatury (na rok) Beacie Michalec. Ta wzięła urlop bezpłatny w Muzeum Niepodległości i przeniosła się do placówki na Rynku Starego Miasta.

Współpracownicy wspominają bon moty nowej dyrektor, jak rzucone na jednym ze spotkań: „ja nie jestem faworytką Mickiewicza". Albo gdy podczas konkursu na pytanie „jakich współczesnych pisarzy archiwa chciałyby pozyskać dla Muzeum" odparła, że pisarzy romantycznych. Był też wpis na stronie w mediach społecznościowych Muzeum Literatury, pełen błędów merytorycznych. Na górze: „15 sierpnia, godz. 15:00 Gabinet Dyrektora. Rynek Starego Miasta 20". Poniżej informacja, że „w tym roku przypada setna rocznica urodzin Stefana Żeromskiego". Chociaż chodziło o rocznicę śmierci. Dalej było o opowiadaniu „Na plebanii w Wyszkowie" zamiast „Na probostwie w Wyszkowie". Podano, że „prezentować będziemy rękopisy »O żołnierzu polskim«" zamiast „O żołnierzu tułaczu". Co prostowały wpisy jednego z internautów pod postem.

Nie chodzi jednak tylko o bon moty i błędy. – *Cały czas dochodziły mnie słuchy o tym, co się dzieje w muzeum. I zaczęłam gromadzić różne materiały, występować o dane w trybie informacji publicznej. Te materiały są dość obciążające. Chodzi o zatrudnianie osób bez kwalifikacji na stanowiska merytoryczne, co jest wbrew ustawie o muzeach, niesie ryzyko dla zbiorów i generalnie jest działaniem na szkodę muzeum* – mówi Kielar.

Na przykład w Muzeum Władysława Broniewskiego (oddział Muzeum Literatury) p.o. dyrektor zatrudniła na stanowisko adiunkta projektantkę zieleni pracującą w Wawerskim Centrum Kultury. Osoba ta nie spełniała wymogów zawartych w ogłoszeniu, w tym posiadania dyplomu ze studiów związanych z zakresem gromadzonych w muzeum zbiorów – to warunek wynikający wprost z ustawy o muzeach.

Zatrudniono również etnolożkę z Muzeum Budownictwa Ludowego w Olsztynku na stanowisku adiunkta w Dziale Fonicznym, i to w miejsce pracownika, któremu p.o. dyrektor nie przedłużyła umowy. Mimo że wnioskowała o to kierowniczka działu. Co, jak wytknęła Kielar, było naruszeniem zarządzenia dyrektora muzeum z 2024 r. dotyczącego procedur rekrutacji (w pierwszej kolejności miała to być rekrutacja wewnętrzna, a pracownik stanął do konkursu). – *Rezygnuje się z pracownika merytorycznego o bardzo wysokich kompetencjach, a zatrudnia osobę, która nie ma żadnego doświadczenia ani elementarnej wiedzy o pracy z archiwami dźwiękowymi, co niesie ryzyko uszkodzenia czy nawet zniszczenia kruchych muzealiów* – mówi Kielar. Poza tym w ogłoszeniach o rekrutację zniknął wymóg wykształcenia kierunkowego. Zdaniem Marzanny Kielar takie obniżenie wymagań w porównaniu z latami poprzednimi drastycznie osłabia muzeum. Swoje analizy przekazała do MKiDN. – *W muzeum mieszczą się przecież bezcenne zbiory, narodowe archiwa literacko-intelektualne, to nie jest dzielnicowy dom kultury* – podsumowuje.

© DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl f6af64afad

– *Jest jak w przedszkolu* – uśmiecha się krzywo jedna z osób, które nie wytrzymały i odeszły same. – *Pani wychowawczyni wszystkiego pilnuje, nie wolno głośno rozmawiać, gromadzić się, podejrzane jest nawet wspólne picie kawy*.

Nic zatem dziwnego, że Muzeum Witolda Gombrowicza, które jest kolejnym oddziałem Muzeum Literatury, dąży do usamodzielnienia. Jak mówi Tomasz Tyczyński, kurator tego muzeum, jedyną szansą na dobre wykorzystanie pełnego potencjału jest oddzielenie się od Muzeum Literatury i utworzenie samodzielnej placówki poświęconej Gombrowiczowi. – *Rozmawiamy o tym od lat, ale myślę, że obecny konflikt uświadamia to jeszcze mocniej* – podsumowuje.

Rok temu mieliśmy pierwszą rundę boju o stanowisko dyrektora Muzeum Literatury, teraz trwa druga. Pod koniec ubiegłego roku zarząd województwa ogłosił ponownie konkurs. Beata Michalec ponownie się zgłosiła. Zmienił się jednak skład komisji konkursowej, większy wpływ miały na nią władze województwa, doszły związki zawodowe muzeum. Ministerstwo jako swoich przedstawicieli wyznaczyło Marzannę B. Kielar i pisarza Jacka Dehnela. – *Nie pozwolono nam zadawać pytań, krzyczano na nas* – wspomina przebieg procesu konkursowego ta pierwsza. – *Ja do tej pory mam w oczach tę wykrzywioną grymasem złości twarz przewodniczącej komisji, która krzyczała, że „takich pytań nie wolno nam zadawać"*.

Jakich? – *Dlaczego inwentaryzacja w Dziale Rękopisów prowadzona jest w warunkach zagrażających bezpieczeństwu zbiorów i dlaczego w skład zespołu spisowego wchodzą osoby bez przygotowania merytorycznego, jak kierowcy i stolarze?* – relacjonuje Kielar. – *Te uwagi o niemożności zadawania pytań kierowane do nas podniesionym głosem uważamy za niedopuszczalne*.

Zarówno Kielar, jak i Jacek Dehnel zgłosili votum separatum do korzystnej dla Michalec decyzji komisji. Opisali, jak wyglądał przebieg posiedzenia komisji: niedopuszczenie do dyskusji, dominacja na przesłuchaniach siedmiu osób podległych lub powiązanych w różny sposób z urzędem marszałkowskim. I przekazali to ministrze Cienkowskiej oraz marszałkowi Struzikowi.

Cienkowska, ale też Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i Unia Literacka wystąpiły do wojewody warszawskiego Mariusza Frankowskiego z Platformy o wykorzystanie prawnych możliwości zablokowania decyzji zarządu Mazowsza. Wojewoda w trybie rozstrzygnięcia nadzorczego może bowiem uchylić uchwałę samorządu z powodu naruszenia prawa.

Jak przekazała POLITYCE rzeczniczka wojewody, ten wystąpił o dokumenty z konkursu. Otrzymał je 4 lutego. Od tego dnia ma 30 dni na podjęcie decyzji.

Tymczasem Beata Michalec kieruje Muzeum Literatury. Jedni pracownicy odchodzą, sami czy z nieprzedłużonymi umowami, wielu jest na zwolnieniach, jeszcze inni boją się, że stracą pracę. Sama zainteresowana nie ma sobie nic do zarzucenia. Spytana przez POLITYKĘ, dlaczego kandydowała na dyrektorkę Muzeum Literatury, odpowiedziała: „Zgłosiłam swoją kandydaturę w konkursie na dyrektora Muzeum Literatury, bo od lat pasjonuję się literaturą polską i widzę ogromny potencjał tej instytucji w promocji dziedzictwa narodowego". O powołaniu mimo przegranego konkursu: „Z wielką satysfakcją przyjęłam informację o moim powołaniu na stanowisko pełniącej obowiązki Dyrektora Muzeum Literatury – to dla mnie najwyższe wyróżnienie zawodowe, pomimo niekorzystnego rozstrzygnięcia formalnego konkursu".

„Stanowczo podkreślam, że powołanie mojej osoby na stanowisko pełniącej obowiązki Dyrektora Muzeum Literatury nie było wynikiem żadnych politycznych czy partyjnych konotacji – opierało się wyłącznie na mojej wizji rozwoju instytucji, wieloletnim doświadczeniu w zarządzaniu projektami kulturalnymi oraz zaufaniu organów decyzyjnych do moich kompetencji" – dodała w oświadczeniu Michalec. Pytana o protesty, odpowiedziała, że żaden do niej nie wpłynął. A ze stanowiskami środowisk literackich zapoznaje się w mediach i odbiera z pełnym szacunkiem: „Doceniam zaangażowanie osób, które od lat współtworzą to dziedzictwo, i traktuję ich głos jako cenny wkład w dyskusję".

Jak Beata Michalec odbiera odmowę zgody ministerstwa na jej powołanie i trwającą procedurę w sprawie wniosku o unieważnieniu uchwały o jej powołaniu? „Nie mam wiedzy o jakimkolwiek trwającym procesie, który mógłby prowadzić do mojego odwołania z funkcji Dyrektora Muzeum Literatury". A wszelkie spekulacje odbiera „z pełnym spokojem" i zrozumieniem dla demokratycznych mechanizmów weryfikacji decyzji kadrowych, dodając: „pozostaję głęboko przekonana o słuszności mojego powołania – opartego na merytorycznych kompetencjach i wizji rozwoju Muzeum Literatury".

Powołanie radnej Platformy na dyrektorkę, które zostało odebrane jako cios w żelazny, inteligencki elektorat tej partii, może zatem unieważnić wojewoda, też z Platformy. Czy to zrobi?

VIOLETTA KRASNOWSKA

REKLAMA

eprasa.pl f6af64afad

Trzecie życie Mickiewicza

Z serią „Piep*zyć Mickiewicza" jest jak z konkursem na Młodzieżowe Słowo Roku. Niby rozmija się z codziennym życiem nastolatków, ale jakąś prawdę mimochodem o nim niesie. Trzecia część przebojowego cyklu właśnie weszła na ekrany kin.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Trudna młodzież dorasta, więc i problemy ma bardziej dojrzałe. W trzeciej części „Piep*zyć Mickiewicza" pogardliwego stosunku do wieszcza (i w ogóle nauki jako takiej) już w zasadzie nie ma, są za to życiowe wyzwania: i te błahe, jak to, z kim pójść na studniówkę, i te poważniejsze, jak strach przed maturą czy konieczność zarabiania na życie. Oczywiście są w scenariuszu szkolne konflikty oraz miłosne nadzieje i rozczarowania – wszak gatunek młodzieżowej komedii, do której należą reżyserowane przez Sarę Bustamante-Drozdek filmy, ma swoje wymagania. Ale nowa odsłona serii dość skutecznie zaciera złe wrażenie, jakie mógł pozostawić seans pierwszej części.

To nie oznacza, że mamy do czynienia z kinem wysokiej jakości, zresztą „Mickiewicz" od początku nie miał takich aspiracji. Różnica między oryginałem a dwoma sequelami jest tu jednak olbrzymia: to przeskok z szufladki „żenada, którą ogląda się dla rozrywki", do znacznie wyższej kategorii wagowej. A być może ostatecznie cykl na nowo otworzy rodzimą kinematografię na filmy dla starszych nastolatków: takie, które potrafią mówić o młodych ludziach uczciwie, a zarazem atrakcyjnie.

Kłopoty z nastolatkami

Polskie kino nie od dziś ma problem z młodzieżą. Nie nadąża za jej językiem, troskami, marzeniami. Nie potrafi z nią rozmawiać ani słuchać, czy choćby podsłuchiwać, żeby filmowe dialogi nie raziły sztucznością. A co najgorsze, nie potrafi nawet – z nielicznymi wyjątkami – w zajmujący sposób o niej opowiadać.

W filmach dla dzieci jeszcze dość często udaje się połączyć interesującą fabułę z walorami estetycznymi. Cykl „Za duży na bajki" Kristoffera Rusa (trzecia część trafi na ekrany kin w marcu), animowany „Smok Diplodok" Wojciecha Wawszczyka, „Tarapaty" Marty Karwowskiej czy pokazywane wciąż w kinach „Psoty" Kacpra Lisowskiego na różne sposoby udowadniają, że kino dziecięce ma w Polsce olbrzymi potencjał i nawet jeśli sięga po sprawdzone schematy, z reguły potrafi nadać im świeżość. Nie zawsze idzie to niestety w parze z sukcesem komercyjnym, największą w ostatnich latach widownię gromadziła nowa wersja „Akademii pana Kleksa" (prawie 3 mln widzów na pierwszej części i ponad 1,1 mln na drugiej), będąca zaprzeczeniem jakości, ale najwyraźniej trafiająca w masowe zapotrzebowanie.

Tymczasem kino dla młodzieży zmaga się z jakością. Udane produkcje – jak filmy Bartosza M. Kowalskiego czy „Apokawixa" Xawerego Żuławskiego – pojawiają się jedynie w ramach ściśle określonego gatunku. Filmy próbujące poważnie analizować problemy młodzieży i młodych dorosłych („Sala samobójców" Jana Komasy lub rozgrywająca się w środowisku studentów szkoły teatralnej „Utrata równowagi" Korka Bojanowskiego) wydają się skierowane do innych widzów, niekoniecznie poszukujących identyfikacji z ekranowymi bohaterami. Bardzo ciekawe, jak szeroka publiczność zareaguje na „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" Emi Buchwald, tegorocznej laureatki Paszportu POLITYKI, bo jest to bez wątpienia dzieło osobne, które młodzieńczą wrażliwość łączy z oryginalnym, autorskim podejściem do kina.

Nie jest to bynajmniej problem w polskim kinie nowy. W najciekawszych filmach czasu przełomu ustrojowego młodzi bohaterowie byli w zasadzie duchowymi spadkobiercami kina moral-

eprasa.pl f6af64afad

Hugo Tarres jako Dante i Dawid Ogrodnik w roli niepokornego nauczyciela Jana Sienkiewicza

© SŁAWOMIR MROŻEK

nego niepokoju („Marcowe migdały" Radosława Piwowarskiego, „Ostatni dzwonek" Magdaleny Łazarkiewicz). Później wtłaczano ich w ramy kina kryminalno-sensacyjnego („Młode wilki", „Chłopaki nie płaczą") lub pokazywano jako ofiary transformacji ustrojowej („Cześć Tereska"). Powstawały wreszcie produkcje osobliwe – wśród nich „Słodko gorzki" Władysława Pasikowskiego – kiedy reżyserzy, czasem wielkiego formatu, próbowali zrozumieć, co też ci młodzi ludzie mają dziś w głowach. Efekty najlepiej można chyba podsumować cytatem z piosenki Kazika Na Żywo „No Speaking Inglese": „Najbardziej mnie teraz wku*wia u młodzieży to, że już więcej do niej nie należę!".

W ostatnich latach nie było wcale dużo lepiej: kino o i dla młodzieży mogło się raczej kojarzyć z potworkami w rodzaju „Studniówki" i „#Jestem M. Misfit", rzadziej trafiały się ciekawe i wartościowe propozycje, takie jak „Fanfik" Marty Karwowskiej, który mimo licznych niedociągnięć i netflixowej lukrowanej estetyki (film powstał dla serwisu streamingowego) był uczciwą próbą opowiedzenia o doświadczeniach osoby niebinarnej i transpłciowej w realiach polskiego liceum. Ale dało się zauważyć, że nastoletni odbiorcy, a zarazem nastoletni bohaterowie, znów zaczęli interesować filmowców.

Pierwszy nieudany

Na początku 2024 r. do kin trafiła pierwsza część „Piep*zyć Mickiewicza" w reżyserii Sary Bustamante-Drozdek. Mówiło się o tym filmie jako polskiej odpowiedzi na niemiecki przebój „Fack ju Göhte" (który w Polsce był pokazywany pod bezpiecznie nudnym tytułem „Szkolna imprezka"), ale różnice były znaczące. W oryginale złodziej po odsiedzeniu wyroku zatrudnia się jako nauczyciel niemieckiego, by odnaleźć ukryty pod szkolną halą sportową łup. Nie ma nic do stracenia i dlatego okazuje się idealnym pedagogiem, który potrafi zapanować nad trudną młodzieżą i na dodatek nakłonić ją do zmiany podejścia do nauki. W polskiej wersji nauczyciel Jan Sienkiewicz (Dawid Ogrodnik) ma prezencję i sposób bycia zblazowanego, tandetnego gwiazdora rocka, a jego „przeciwnikami" są krzykliwi i krnąbrni nastolatkowie, którzy – tak przynajmniej można oceniać po pierwszych scenach – powinni raczej siedzieć w poprawczakach niż w szkolnej klasie.

„Piep*zyć Mickiewicza" nie był więc remakiem niemieckiej komedii, a raczej wpisywał się w wieloletnią tradycję historii o nauczycielach z pasją, którzy potrafili zawrócić nastoletnich buntowników na dobrą drogę. To gatunek, który dał światu kilka filmów doskonałych, jak „Nauczyciel z przedmieścia" z Sidneyem Poitierem, „Wszystko albo nic" z nominowaną do Oscara rolą Edwarda Jamesa Olmosa i oczywiście „Stowarzyszenie Umarłych Poetów", oraz całą masę produkcji przeciętnych, za to głośnych, jak „Młodzi gniewni". Temat wraca regularnie, a większość filmów zbudowana jest według tego samego, powtarzalnego niczym mantra schematu.

W Niemczech „Fack ju Göhte" był wielkim hitem (ponad 3 mln widzów) i doczekał się kilku kontynuacji, tymczasem „Piep*zyć Mickiewicza" wcale nie okazał się natychmiastowym przebojem. Pierwsza część w kinach poradziła sobie poniżej oczekiwań, przyciągając niespełna ▶

eprasa.pl f6af64afad

▶ 180 tys. widzów, a więc mniej nie tylko niż największe polskie hity 2024 r., z „Akademią pana Kleksa" na czele, lecz również mniej niż filmy, o których dwa lata po premierze mało kto pamięta („Miłość jak miód", „Fuks 2"). Przyczyn porażki było wiele – od sporej konkurencji na ekranach po prowokacyjny tytuł, który zapewne odstraszył niejedną szkolną wycieczkę – ale przede wszystkim pierwszy „Mickiewicz" był po prostu bardzo nieudany: ze słabym, schematycznym scenariuszem, nieciekawymi postaciami, pozbawioną cienia wiarygodności fabułą. „Gdy chcesz nakręcić film o trudnej młodzieży, ale jedyne, co widziałeś, to »Młodzi gniewni«" – pisał w komentarzu jeden z rozczarowanych widzów.

Być może twórcy sami do końca nie wierzyli w ten projekt, więc nie potrafili wykorzystać talentu doświadczonych aktorów i naturalnej charyzmy młodzieży – przecież grający Dantego Hugo Tarres zdobywał sceniczne szlify, grając w musicalu „Romeo i Julia" w reżyserii Jana Klaty we wrocławskim Capitolu, a później zbierał zasłużone pochwały za rolę Hamleta na deskach Teatru Narodowego.

Druga szansa

Nieoczekiwanie jednak „Piep*zyć Mickiewicza" dostał drugą szansę, gdy trafił do katalogu Netflixa. Okazał się jednym z najchętniej oglądanych filmów serwisu, choć była to zapewne w dużej mierze zasługa hate-watchingu: widzowie na własne oczy chcieli się przekonać, czy jest tak zły, jak mówią o tym inni (na podobnych zasadach opierał się w jakimś stopniu gigantyczny sukces erotycznego thrillera „365 dni"). Streamingowy sukces dał jednak solidną podstawę do zbudowania franczyzy. Produkcja drugiej części niemal na pewno nie była uzależniona jedynie od wyników finansowych pierwowzoru – kolejne odsłony wchodzą na ekrany w rocznych odstępach, a to za mało czasu, by z decyzją o zdjęciach czekać do ostatniej chwili – ale twórcy mogli mieć przynajmniej nadzieję na powtórzenie sukcesu na rynku VOD.

Tyle że tym razem publiczność dopisała również w kinach. Na drugiego „Mickiewicza" wybrało się ponad 660 tys. osób. Wciąż daleko do największych hitów – „Domu dobrego" (ponad 2,4 mln widzów tylko w ubiegłym roku, a film Smarzowskiego wciąż jest grany w kinach), „Teściów 3" (1,5 mln), „Kleksa i wynalazku Filipa Golarza" (prawie 1,2 mln) oraz „100 dni do matury" (przekroczona granica miliona sprzedanych biletów) – ale wystarczająco, by zająć szóste miejsce na liście najbardziej dochodowych polskich filmów roku (tuż za „Vincim 2") i 17. w całorocznym podsumowaniu box office'u. I z pewnością jest to wynik, którego samym hate-watchingiem nie udałoby się wykręcić: można założyć, że niewielu widzów jest gotowych wydać 20–30 zł na bilet do kina wyłącznie po to, by napisać jednogwiazdkową opinię na Filmwebie lub w serwisie Letterboxd.

Być może zatem rzecz trafiła jednak w jakieś potrzeby nastoletniej widowni? „Piep*zyć Mickiewicza" to rzadki przypadek serii, której twórcy uczą się na własnych błędach. Eliminują z fabuły to, co najbardziej irytujące, na pierwszy plan przesuwając elementy, które sprawdziły się najlepiej. Przykład? W pierwszej części centralną postacią był „rokendrolowy" nauczyciel Jan Sienkiewicz grany przez Dawida Ogrodnika. Znakomity skądinąd aktor zagrywał się niemal na śmierć – sekwencja rapowego pojedynku, który toczy z jednym ze swoich uczniów, to jedna z najbardziej żenujących scen we współczesnym polskim filmie – a jego rola była mocno krytykowana (Ogrodnik dostał nawet nominację do filmowych antynagród Węże za występ poniżej talentu). W efekcie w drugiej i trzeciej części „Mickiewicza" niepokorny nauczyciel zostaje przesunięty na drugi plan, pełni funkcję mentora i przyjaciela głównych bohaterów, ale ustępuje im pola.

Wciśnięty na siłę w pierwszej części wątek kryminalny (Dante został wmanewrowany w handel narkotykami dla lokalnego gangusa) nie wypalił? Porzućmy ten trop i pokażmy, że chłopaki, którzy w pierwszej części zgrywali kozaków i nie wiadomo jakich amantów, są w gruncie rzeczy pełnymi kompleksów, niepewnymi przyszłości młodymi ludźmi. A zamiast kłopotów wyciągniętych z kapelusza pojawiły się te prawdziwe. Bohaterowie, zamiast toczyć wieczną wojnę z dyrekcją szkoły (to nie znaczy, że od razu zmienili się w prymusów), musieli więc w drugiej części stanąć w obronie nowego klasowego kumpla w spektrum autyzmu lub radzić sobie z sercowymi problemami. W trzeciej odsłonie Dante musi połączyć pracę z nauką, pogodzić się z tym, że marzenia o studiach mogą się okazać trudne do spełnienia, i zdecydować, czy ważniejsza jest dla niego relacja z ukochaną Nel czy jednak myślenie o własnej przyszłości. Tych bohaterów wreszcie dało się polubić, z ich zaletami i wadami, słabościami i skłonnością do pozerstwa.

To nie są filmy, które na stałe zapiszą się w historii polskiej kinematografii. Cały czas sporo w nich sztuczności i umowności – także na poziomie czysto realizacyjnym – a dialogi wciąż brzmią chwilami, jakby scenarzysta próbował połączyć luz z moralizatorstwem i dosypać trochę młodzieżowego slangu. Lecz jednocześnie „Piep*zyć Mickiewicza" próbuje, chwilami skutecznie, uchwycić bolączki i absurdy systemu edukacji (w gruncie rzeczy nie bez powodu szkoła, do której chodzą bohaterowie filmu, nosi imię Stanisława Barei) oraz przypomnieć oczywistą (pewnie nie dla wszystkich) prawdę, że każdy młody człowiek ma swoje indywidualne potrzeby i umiejętności, więc nie da się wszystkich wtłoczyć w jeden schemat. Oraz że wbrew medialnym doniesieniom nie wszyscy nastolatkowie są przykutymi do mediów społecznościowych zombie marzącymi jedynie o karierze na TikToku.

Okiem Nel

Rozłożony w czasie sukces serii przebudził konkurencję. Ubiegłoroczne „100 dni do matury" Mikołaja Piszczana było wielkim hitem (wynik weekendu otwarcia: ok. 325 tys. widzów i w sumie ponad milion sprzedanych biletów) także dzięki udziałowi popularnych młodzieżowych influencerów, w tym Ekipy Friza. Prace nad drugą częścią już trwają.

Wrócą także bohaterowie „Mickiewicza". Niby Dante i reszta zdali maturę, wybrali dalszą drogę nauki lub kariery, ale czwarta część znalazła się na liście wsparcia finansowego Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Czy ci sami bohaterowie wrócą jako studenci? Czy raczej to Dawid Ogrodnik będzie przekonywać do romantycznej poezji kolejne pokolenie uczniów? Formuła może rozszerzać się na inne media: niedawno ukazała się powieść Aleny Chacuk „Dziennik Nel", rozwijająca główny romantyczny wątek serii. Jednak dopóki dopisywać będzie publiczność, dopóty uczniowie liceum im. Barei będą wracać przede wszystkim na kinowe ekrany.

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl f6af64afad

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Sandra Kubicka przekazała światu, że po 11 latach musi wymienić implanty piersi. To ważna data. Eleanor Catton po 11 latach od napisania „Wszystko, co lśni" wydała powieść „Las Birnamski".

●

Anna Popek omówiła publicystycznie zdjęcie Jeffreya Epsteina z 12-letnim burmistrzem Nowego Jorku wygenerowane przez AI. Oczywiście. A IKEA to budka z hot dogami sprzedająca meble na boku.

●

Rajdowiec Miko Marczyk pobił rekord Guinnessa. Na jednym baku pokonał trasę z Łodzi do Paryża i z powrotem. I na tym sukcesy się kończą. Jechał Škodą Superb. Ewidentnie wstydził się wysiadać.

●

Marcin Miller, juror programu „Disco Star", wyznał, że kariera Skolima, jurora programu „Disco Star", potrwa 10 lat. To podchodzi pod artykuł 199 paragraf 1 kk. Groźba karalna.

●

Norbi w autobiografii przyznał, że przegrał w kasynach 7 mln zł. Gdy poszedł do lichwiarza po pożyczkę, ten kazał mu szczekać jak pies. Ciekawe. Kiedyś to była hipoteka, poręczenie albo weksel.

●

Rafał Stec po 27 latach odchodzi z „Wyborczej", ponieważ nie chce pracować w portalu Agory sport.pl. Różnica pomiędzy „GW" a gazeta.pl jest jak różnica pomiędzy „Shrekiem" a „Grą o tron". I tu są smoki i rycerze, i tu. A fabuła jednak inna.

●

Piotr Pręgowski zrecenzował swój utwór na Eurowizję „Parawany tango": „To najsłynniejsza piosenka XXI wieku". Posłuchałem. Od tego momentu jeszcze bardziej jestem ateistą.

●

W Kanale Zero reportaż Marii Wiernikowskiej o bajkowym Królewcu, fajnym Putinie oraz biednych rosyjskich żołnierzach. Jest takie rosyjskie powiedzenie: jak zaprosisz niedźwiedzia do tańca, to nie ty decydujesz, kiedy taniec się skończy.

●

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Joanna Brodzik, onegdaj przedmiot westchnień męskiej widowni, przyznała: „Jestem wolna". Dla niewtajemniczonych: onegdaj, czyli ongiś, niegdyś.

●

„Anna Wendzikowska wygrzewa się TOPLESS na ekskluzywnym wycieczkowcu (FOTO)" – wznieca się Pudelek. Zaprzyjaźniony antropolog zaryzykował portret autora: „16-latek przed komputerem i inicjacją".

●

Nadawca programu „Rutkowski na żywo", czyli kanał Show TV, został usunięty z oferty Grupy Vectra. Przypomina mi się rozmowa. Podchodzi chłopak do dziewczyny: „Tańczysz?". „Teraz nie, ale się dowiaduj".

●

W styczniu „Fakty" oglądało średnio 2,8 mln widzów, ale liderem kanałów informacyjnych wciąż jest naziemna TV Republika. Też uważam, że bardziej opłaca się być niezależnym od faktów.

●

Kabaret OT.TO nagrał utwór „Czerwony marszałek na wojnę z Trumpem rusza, choć nie ma pióropusza, czerwony jednak jest, jednak jest". Dyktaturami często wstrząsali poeci. Ale to chyba nie tym razem.

●

Koncerty Behemotha w Stambule zostały odwołane z powodu oskarżenia grupy o „zatruwanie tureckiej młodzieży". To ewidentna retorsja po tym, jak Joachim Brudziński nie założył tureckiego swetra.

●

„Andrzej z Plutycz podjął decyzję. W zimie nie zamierza się ociągać i zaczął już myśleć o tym, co będzie na wiosnę. – Będziemy ocieplać dom". To plotek.pl. Są obszary polskiej kultury dostępne tylko dla koneserów.

Wielki transfer z TVN, czyli Gabi Drzewiecka, zadebiutuje w TVP2 programem „Gabi Drzewiecka zaprasza", w którym będzie rozmawiała z muzykami. Z opisu jasno wynika, że nigdy nie zaprosi Norbiego.

eprasa.pl f6af64afad

Orliński

Serial o Epsteinie

Opublikowano na razie tylko ułamek procenta archiwów Jeffreya Epsteina, jesteśmy więc jak w połowie serialu, gdy wśród fanów krążą szalone teorie na temat tego, jak to wszystko się skończy. Oby to nie był jeden z tych modnych ostatnio seriali, w których w finale nic się nie wyjaśnia, bo ktoś zniszczył dowody, tajne służby ukręciły śledztwo, główny bohater znika bez śladu. Mam nadzieję na smakowity ostatni odcinek, w którym poznamy pozostałe 99 proc. i ktoś wreszcie pójdzie siedzieć.

W serialu o Epsteinie fascynuje mnie przede wszystkim to, że główny bohater był ewidentnie kompletnym głupkiem. Pisał maile jak funkcjonalny analfabeta, posługujący się półsłówkami, sadzący błąd ortograficzny za błędem interpunkcyjnym, niezdolny do skomponowania poprawnego zdania. To szczególnie zabawne w świetle tego, że przyjaźnił się z wieloma intelektualnymi celebrytami.

Ach, ilu w tych archiwach mamy myślicieli, filozofów, mistyków (w tym szarlatan Deepak Chopra, którego hejtuję od lat za lansowanie już nie tylko oszukańczej „medycyny alternatywnej", ale wręcz alternatywnej mechaniki kwantowej). Ilu profesorów, rektorów nawet! Wszyscy usprawiedliwiają się teraz, że Epstein uwodził ich swym otwartym umysłem. No cóż, gdy czytamy te maile, to wyraźnie widać, że nie chodziło tu o mózgi, raczej o inne części ciała. Często zaś po prostu o portfele. Wygląda na to, że Epstein płacił „zaprzyjaźnionym" intelektualistom za promowanie interesujących go punktów widzenia.

> Ciekawa wspólna cecha intelektualistów przyjaźniących się z Epsteinem: byli przeciwnikami #MeToo i politycznej poprawności.

W kręgu Epsteina znalazły się sławy takie jak Lawrence Krauss, Richard Dawkins, Steven Pinker, ale także mniej znani naukowcy, jak socjobiolog Robert Trivers, który początkowo słynął głównie z tego, że w 2015 r. z hukiem odszedł z Rutgers University w New Jersey. Akta Epsteina zwiększą jego rozpoznawalność, ale chyba nie tak, jak marzył. Trivers nie był aż tak wpływowy jak wspomniane tuzy intelektu, nie mógł więc sobie pozwolić na udawanie niezależności od swego sponsora. Z ujawnionej dotąd korespondencji wynika, że wziął od Epsteina co najmniej 40 tys. dol. m.in. za promowanie transfobii.

W mailu do Epsteina z 8 maja 2016 r. raportował o planowanym wystąpieniu w Londynie tak, jakby był podwładnym finansisty. „Tak jak pisałeś, to wytworzy internetową falę, zwłaszcza dzięki informacjom w głównych brytyjskich mediach" – cieszył się, chwaląc się przy tym, że za ten wykład dostanie 3 tys. dol. od Imperial College oraz drugie tyle od nieokreślonego „korporacyjnego sponsora". W mailu z 10 listopada 2018 r. wzdychał: „Brak mi pogaduszek z tobą".

To był ostatni rok życia Epsteina. Aresztowany 6 lipca 2019 r., zmarł 10 sierpnia, podobno w wyniku samobójstwa. Chmury nad jego głową krążyły już od pewnego czasu za sprawą ruchu #MeToo. W mediach zaczęto mówić o tuszowaniu przypadków molestowania i gwałtu dokonywanych przez ludzi potężnych i wpływowych. A takim tuszowaniem niewątpliwie był szokująco łagodny wyrok z 2008 r., dzięki któremu Epstein wykręcił się z przyłapania na gorącym uczynku podczas próby pozyskania seksu z nieletnią. Wyrok był symboliczny, ale wina została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość. Co rozsądniejsi kumple Epsteina z dawnych czasów zerwali z nim wtedy wszelkie relacje. Zdrowego rozsądku zabrakło jednak właśnie intelektualnym celebrytom.

Noam Chomsky jeszcze w lutym 2019 r. (pięć miesięcy przed aresztowaniem!) ubolewał nad skandalicznie niesprawiedliwym ponoć traktowaniem Epsteina przez prasę. Chomsky przyłączył się do narzekania na „sępy w mediach", które tylko czekają na okazję, „w czasach histerii na punkcie złego traktowania kobiet". I to jest ciekawa wspólna cecha intelektualistów przyjaźniących się z Epsteinem. Wszyscy byli przeciwnikami #MeToo, *cancel culture*, „ideologii *woke*", politycznej poprawności, praw osób trans do normalnego życia i „medialnej histerii na punkcie złego traktowania kobiet".

Czasami można domniemywać osobistą motywację, bo niektórzy – np. Lawrence Krauss – sami mieli sprawę o molestowanie. Czasami wychodziło im to z jakiegoś pokrętnego rozumowania à la Chomsky, w stylu „prawdziwa lewicowość polega na tym, że się chwali Putina, Fidela i Pol Pota, a nie na jakichś tam prawach kobiet". Czasami chodziło o pieniądze – i to był przypadek Triversa, który wyjaśniał swoje związki z Epsteinem właśnie tak, że „uwalniają go od konieczności pisania wniosków o granty".

Wszystko to smutne, ale i zabawne, bo od dziesięcioleci prawica kreuje mit wszechpotężnego George'a Sorosa, który podobno promuje genderyzm i klimatyzm. Jak to z nimi bywa, ich oskarżenia były wyznaniem winy. Soros w tej historii występuje wyłącznie jako wróg, którego Epstein chciał zwalczać wraz z różnymi sojusznikami. Jak na razie nikt go nie przyłapał na płaceniu naukowcom za promowanie jakiejkolwiek tezy. Cóż, może administracja Donalda Trumpa ukrywa to w tych materiałach, których jeszcze nie poznaliśmy. Ale jakoś nie spodziewam się akurat takiego zakończenia serialu o Epsteinie.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl f6af64afad

Chutnik Plebanek

Toksyk na drabinie

Każdy z nas wstydzi się trzech rzeczy: że nie jest ładny, że za mało wie i że nienajlepiej radzi sobie w życiu. Początek powieści Małgorzaty Halber „Najgorszy człowiek na świecie" świetnie podsumowuje zestaw ludzkich lęków. Autorka pokazuje, jak kompleksy z tylnego siedzenia kierują naszą codziennością, paraliżują, wpędzają w nieustanną rywalizację. Cel i tak pozostaje nieosiągalny, bo nie istnieje definicja „dobrego radzenia sobie". Dla jednych będzie to minimum, przysłowiowe „żebyś miał co do garnka włożyć", dla innych willa na Malediwach i konto w Szwajcarii.

Niektórzy wypisują się z wyścigu i celebrują bycie „przegrywem". W książce „Przedziwna sztuka porażki" Jack Halberstam pokazuje, że może być ona czymś więcej niż wstydliwym potknięciem na drodze do sukcesu. To świadome zejście z trasy, którą wyznaczają obsesja produktywności, kult kariery i przymus nieustannego rozwoju. W takim ujęciu porażką nazywa się brak ambicji, niedojrzałość, błądzenie czy oddawanie walki walkowerem. Halberstam przekonuje, że właśnie w tych stanach kryje się potencjał wolności.

W Anglii sugeruje się, by do podania o pracę wpisywać nie tylko sukcesy, ale i potknięcia. To podejście może podgryźć podstawy hierarchicznego świata. Na fali populizmu robimy bowiem krok wstecz i wracamy do darwinistycznych przepychanek – kampanię prezydencką wygrał nie kto inny jak amator boksu. W mediach społecznościowych powielamy bezustannie nieskazitelny obraz siebie – uśmiech, medal, pierwsze miejsce – nie ma innego scenariusza. Dlatego wiele osób się oburzyło, kiedy w ramach promocji filmu kręconego na podstawie „Lalki" Bolesława Prusa wykorzystano piosenkę Radiohead z lat 90. W utworze „Creep" podmiot liryczny nazywa się „przegranym odmieńcem", który „nie pasuje do tego miejsca", a chciałby być wyjątkowy. Że niby Wokulski to *creep*?! Ten świetny przedsiębiorca? Świat postawiony na głowie!

> W polityce obserwujemy dziś triumf (a raczej: trump) postawy ekstremalnej. Otwarta agresja budzi coraz mniej oburzenia.

Na szczęście coraz częściej postępowe firmy i organizacje odchodzą od hierarchiczności i propagandy nieomylności. Nagrodą za pracę ma być oczywiście nadal większa pensja, ale już niekoniecznie awans. Zamiast wyższego stanowiska może to być udział w ciekawych projektach, w dobrze dobranym zespole. Pracowników przyjmuje się po wnikliwych rozmowach, zwracając uwagę na ich profil psychologiczny. Coraz więcej do powiedzenia mają działy kadr (tzw. HR), które oferują pracownikom realną pomoc, dysponując narzędziami do rozwiązywania konfliktów czy sugerowania rozwiązań korzystnych nie tylko dla firm. Zysk jest priorytetem, ale równie ważne bywa morale pracowników.

Te dobrodziejstwa rzadziej dotyczą organizacji pozarządowych, którym budżet nie pozwala na zatrudnienie HR-owca. W ogromie dobrych intencji i wyczerpującej emocjonalnie „walce o sprawę" zdarzają się nieuniknione konflikty czy starcia interesów, które trudno rozwiązać we własnym gronie. A działanie na rzecz zmiany społecznej bywa podszyte porażką, co rodzi frustrację, bo haruje się *pro bono* lub za marny grosz. Jeśli dodamy wybujałe ego niektórych osób na stanowiskach liderskich, to fundacja czy stowarzyszenie mogą niebezpiecznie skręcić w stronę najbardziej toksycznych korporacji.

Na scenie politycznej obserwujemy dziś triumf (a raczej: trump) postawy ekstremalnej. Otwarta agresja wydaje się budzić coraz mniej oburzenia, a normalizowanie drapieżnych postaw do niedawna uważanych za niedopuszczalne idzie ramię w ramię z umacnianiem hierarchii i budowaniem kultu jednostki. W tle rozmontowuje się demokrację. To oczywisty *backlash* po fali debat społecznych o równości i inkluzywności.

W tej eskalacji przepychanek warto się zastanowić nad przywiązaniem do stanowisk i pionowych struktur systemu, w który wpisana jest dominacja będąca podstawą patriarchatu. Manifestuje się to zwykle niewinnie. Kiedy Grażynie publicznie pogratulowano objęcia stanowiska prezydentki Europejskiej Rady Pisarzy, z boku dobiegł szept: „To wreszcie dostałaś prawdziwą pracę?".

Praca, ta prawdziwa, nie kojarzy się z osobą uprawiającą wolny zawód. Musi być hierarchia i szef, muszą być tytuły. No i ostentacyjny znój! W czasie, gdy na świecie ten model spektakularnie zjada własny ogon, coraz trudniej wprowadzać bardziej równościowy porządek, zaczynając od podstaw, czyli miejsca pracy.

Mało tego, mówienie o tym, że w każde działanie wpisana jest porażka, staje się znów tabu. Strach przed przyznaniem się do niej wpycha nas w milczenie. Ale to zły kierunek – błądzenie czy popełnianie błędów to normalna rzecz. Niezależnie od zawodu nie unikniemy potknięć czy spektakularnej klapy. Udawanie, że nasze życie to pasmo sukcesów, jest kłamstwem. Przyznanie się do porażek jest ludzkie i wymaga odwagi. Choć to trudne, zwłaszcza dziś, w dalszej perspektywie przyniesie ulgę, zdejmie z nas ciężar ciągłego udawania i złamie szczeble drabiny toksycznej hierarchii.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl f6af64afad

Ortopedia górska

Wstęp do taksonomii narciarzy. Opracowany na zlecenie Ministerstwa Zdrowia w ramach programu Uczyń Ortopedię Wielką Ponownie.

Narciarz Apkarz, korporacyjny milenials. Dbać o sylwetkę zaczął, gdy żona odmówiła mu seksu i na walentynki kupiła wagę podłączoną do smartfonu. Odkąd działa system nagród („Keep up the great effort", buźka, biceps, serduszko), poznał rozkosz dopinania się w spodniach narciarskich. Posiada też aplikację do śledzenia ilości wody wypitej z bidonu (w celu nawadniania nabył w sklepie dla taterników specjalny bidon z rurką prowadzącą z plecaka wprost do jamy ustnej). Zanim przybędzie w góry, nie marnuje czasu podczas zebrań na Teamsach i skroluje wszystkie trasy na apce ośrodka górskiego, w którym ma pokój. Co roku skanuje stopy i łydki, żeby dobrać buty. W dzieciństwie w Małem Cichem instruktor Maciej Bachleda Bułecka Gąsienica uczył go jazdy na krakowiaczka, ale już dawno przerzucił się na szybszą „żabę". Do specjalnego bagażnika pakuje dwie pary nart na różne rodzaje śniegu. Swoje buty narciarskie trzyma w osobnej torbie z dużym logo. „Bardzo stare carvingi" z 2017 r. oddał synowi „ich Ukrainki". Kupuje opięte kalesony, które zwie odzieżą termiczną, spod których dumnie wyrywają się ku wolności suspensoria. Całość prezentuje podczas après ski, popijając napar z werbeny (trzeźwy luty!) i zjadając (przez nieuwagę) trzy porcje carbonary. Po drugim dniu jeżdżenia rozpoznanie: entezopatia więzadła rzepki.

> Ten wyjazd to z pięć tysięcy dolarów go będzie kosztować. Rozpoznanie: zespół cieśni nadgarstka od nadużywania klawiatury.

Narciarz „Kiedyś To Były Narty". Gdy był mały, mamusia wraz ze swym ówczesnym kochankiem, ratownikiem GOPR, zabrali go do schroniska na Kasprowym Wierchu i do dziś fasolka po bretońsku i herbata w szczerbatym kubku to jego magdalenka. Gardzi współczesnym narciarstwem, to turbokapitalistyczny konsumpcjonizm rządzony przez marketing i deweloperkę karczującą lasy. On dwie godziny podchodzi pod górę, dźwigając stare narty po goprowcu i buty w plecaku, a zjeżdża pół godziny w kopnym śniegu, zatrzymując się tylko po to, by przepuścić jelenia. Jego lewa noga z prawą są sobie zaślubione niczym Polska z Bałtykiem. Kolanka trzymać razem nauczył go wuj liną wspinaczkową, którą zawsze warto mieć w górach, podobnie jak czekan, kozik, kompas i termos z kawą z żołędzi osobiście zebranych na działce. Na narty dociera pociągiem nocnym, a następnie pieszo, w ramach après ski pije domową nalewkę z igieł leśnych, szkicuje trasy możliwych podejść w dzienniku wypraw oraz tłumaczy stuletniej gospodyni (gardzi hotelami), jak długo powinna trzeć ser gruyère do zupy, a ratowników górskich upomina, by nie detonowali za głośno ładunków wywołujących lawiny, bo to trauma dla kozic. Kiedyś był wziętym achitektem, ale rzucił pracownię i prowadzi grupy prezesów banków w góry, gdzie uczą się odróżniać szreń od firnu. Rozpoznanie: poważny uraz stawu skokowego po wypadku na schowanych pod śniegiem korzeniach.

Narciarz Cyfrowy Nomada. Praca w konsultingu, coachingu, mentoringu i fucha mówcy tedexowego pozwala mu na elastyczne godziny pracy i pomieszkiwanie tu i tam. A to narty w Kapadocji ze starą poliamoryczną paczką jeszcze z czasów ogólniaka w Sosnowcu, a to samotny pobyt w Utah w ośrodku zimowym zarządzanym przez mormonów. Niczym rumuńska gimnastyczka utrzymuje *work and life balance*. Przynajmniej w swojej ocenie, a jako swój własny mentor innych ocen nie zna. Ponieważ na złość matce boomerce i ojczymowi dziadersowi, stetryczałym złogom nieużywającym feminatywów, nauczył się (za ich pieniądze) snowboardu freestajlowego oraz jazdy wyczynowej na muldach, to na tani lot (jest specem od *last minute*) pakuje własną deskę z grafiką wykonaną przez artystę mangghy. Na miejscu w hotelu z superszybkim Wi-Fi instaluje przenośne biuro, o świcie medytuje z apką ulubionego mistrza, śniadanie to rytuał kawy ekwadorskiej z szamanem poznanym w Ameryce Południowej, a o ósmej czasu środkowoeuropejskiego jest gotowy na grupową sesję konsultingową na Teamsach.

Pech, sesja się przedłuża, poranne narty przepadną. A zgłodniał, więc wyskakuje na pieczonego pstrąga, specjał w Utah, fotka i rolka wjeżdżają na soszjale. Po lanczu idzie do narciarni, zastanawia się, czy dziś będzie jeździł „na parapecie" w poprzek góry, przecinając trasę dziadersom na nartach, czy może zaliczy czarną traskę z muldami, aż tu airpodsy, niczym żarzące się węgielki, rozświetlają mu uszną małżowinę, przypominając, że na Teamsach zaraz ma zebranie, które zwołał tydzień temu. Wieczorem dopyta, czy ubezpieczyciel zwraca za niewykorzystany karnet, odpalił przecież dwieście dolców, a ten wyjazd to w ogóle chyba z pięć tysięcy dolarów go będzie kosztować, bo te Stany takie drogie się zrobiły. Rozpoznanie: zespół cieśni nadgarstka od nadużywania klawiatury.

Na koniec – **Narciarz Lokalny.** Mieszka z rodziną na wysokości 1300 m w stuletniej chacie odziedziczonej po dziadku. Gdy żonie skończą się leki, na zakurzonych nartach zjeżdża do apteki w Tatrzańskiej Łomnicy. Bez urazów.

AGATA PASSENT

eprasa.pl f6af64afad

Hartman

W pułapce

Homo może być *erectus*, może być i faber. Najsławniejszy jest zapewne sapiens, ostatnio, jakby dla przytwierdzenia swej niewątpliwej mądrości, nazywany sapiens sapiens. Z nowszych mamy np. homo sovieticusa, którego pozostawił nam w spadku nieodżałowany Józef Tischner, i homo Deusa z książki Harariego. Łacina pomaga nazywać ludzkie typy albo i całe gatunki w sposób odpowiednio uroczysty i wzniosły. Tak lubimy, zwłaszcza odkąd nie znamy łaciny. Umyka nam jednak rzecz najbardziej przyziemna, a jakże dla naszych czasów charakterystyczna! Przecież nas wszystkich łączy ponad podziałami to, że generalnie nie wiemy, nie rozumiemy i tylko tu sprzątamy. Każdy z nas nie ogarnia i wysiada, choć wszystko ma pod ręką, w telefonie. Homo sapiens doszedł do tego momentu w swoim burzliwym rozwoju, w którym naprawdę, a nie w kokieteryjnych fantazjach, zderzył się z sokratejską ścianą niewiedzy, przemieniając się w homo ignorans. Współczesny Sokrates już by się nie przechwalał swoją świadomą niewiedzą. Bo gdy staje się ona faktem, to wcale nie jest śmiesznie.

Zaiste zdezorientowany i zmęczony jest człowiek. Świat jest wielki, skomplikowany i nudny. Ale dopiero dziś widać go w całej jego nudnej okazałości. Gdy wszystko wyłożone jest jak na tacy, pornograficznie dostępne i rozsmarowane na ekranie smartfonu, cała ta nudna gmatwanina powszechnej pospolitości i powszechnej złożoności rzeczy wyszła na jaw. Każdy widzi, że świat go przerasta, a jednocześnie czuje, że nie ma w tym niepojętym świecie nic naprawdę porywającego. Nic nie będzie wszak niczym więcej niż treścią posta w mediach społecznościowych. Nic nie jest inne, nic nie jest szlachetne. Nawet bogacze i władcy odczarowują samych siebie, demaskując swoją pospolitość w codziennych „wpisach na X" dowodzących, że również oni pogrążeni są w miernocie i ignorancji.

> Jeżdżenie po świecie nauczyło mnie, że ludzie wszędzie są do siebie podobni: zmęczeni, zdezorientowani i zagubieni.

Miałkość życia objawia się nam, zwłaszcza odkąd zaczęliśmy podróżować po całym globie. Nie masz już świętości, jakoż egzotyki. Wszystko płaskie na tym okrągłym świecie. A jednak raz po raz wyrusza człowiek z nową nadzieją w drogę, sprawdzić, czy gdzieś tam mimo wszystko nie czeka na niego szczęście i czy aby nic ważnego go nie ominęło. To jego kompulsywne podróżowanie jest fugą – ucieczką przed zobowiązaniem i ciężarem, jaki nakłada na niego nieznośnie lekka i nijaka egzystencja. A do tego nagli nas imperatyw wydawania nadmiaru pieniędzy. Bo magia pieniądza narzuca nam wiarę, że kto nie wydaje, ten nie zasługuje na to, aby dalej zarabiać. W konsekwencji poddani jesteśmy podwójnemu przymusowi: musimy skrolować, a jeśli tylko mamy pieniądze, musimy je wydawać na sprawdzanie, czy lepsze wersje nas samych nie objawią się w dalekich stronach.

Uciążliwy ten i kosztowny przymus w ciągu minionego półwiecza odmienił świat nie do poznania. Dla setek milionów globalnych włóczęgów świat stał się dużym globusem, mierzonym miarą uciążliwych godzin w samolocie. Jako że jednak wszędzie można się dostać w jeden dzień (jak kiedyś z dworku do stacji kolei żelaznej i nią dalej do miasta), to w konsekwencji cały glob jest już okolicą miejsc dostępnych. I tak to włóczymy się po tej planecie niczym mrówki po jabłku, pokornie poddając się powtarzalnym reżimom kontroli, regulacji i normalizacji. Wszystko co niezwykłe, cudowne i niepowtarzalne, staje się kolejnym upalnym placem z kolejką do kasy, zatłoczonym punktem widokowym do robienia zdjęć, rutynowym przedstawieniem odgrywanym ku pozornej uciesze gości przez zawodowych zabawiaczy, zaszczutym artefaktem w wiecznie oblężonym muzeum, tak że nawet klienci *private tours* i innych *boutique services* łatwo się przekonują, że dziesięciokrotnie wyższa cena nie uwalnia człowieka od rutyn i trybów turystycznej maszynerii.

Czego mnie nauczyło jeżdżenie po świecie? Oczywiście poza tym, że nigdzie nie może być naprawdę inaczej, skoro przywlokłem tam samego siebie i zatruwam swoją trywialną dla mnie samego obecnością najbardziej, zdawałoby się, nietrywialne miejsca. Nauczyło mnie, że ludzie wszędzie są do siebie podobni. Te same potrzeby, te same obawy, te same interesy, emocje i nadzieje. Te same ludzkie typy, człowiecze dobroci i złości. Niczego innego się nie spodziewałem. Ale jest taka rzecz, którą pojąłem dopiero po latach podróżowania. I wciąż nie mogę się temu swojemu odkryciu nadziwić.

Jako mały *homo viator*, mieszczański bywalec miejsc ogólnie znanych i zatłoczonych, pojąłem to, co pojęli już inni, a ja może nieco później. A mianowicie, że wszyscy jesteśmy zmęczeni, zdezorientowani i zagubieni. *Ignoramus!* Nie wiemy i już nie chcemy wiedzieć. I to jest coś więcej niż utrata wiary w człowieka. To nie sceptycyzm ani nihilizm. To sartrowskie mdłości, które nie są już wtajemniczeniem elit, albowiem stały się doświadczeniem wszechludzkim. Powiem wam, że przeraża mnie to bardziej niż Trump z Epsteinem do spółki. A was?

JAN HARTMAN

eprasa.pl f6af64afad

Wzmacnianie przez osłabianie

Cieszę się, że Prawo i Sprawiedliwość odchodzi od niektórych radykalnych postulatów i staje się rzecznikiem rozwiązań bardziej racjonalnych. Weźmy popieraną za rządów tej partii kolej dużych prędkości, przed którą dzisiaj, gdy rząd Tuska zamierza ją budować, były wicepremier Gliński przestrzega, gdyż uważa, że będzie zbyt prędka. „Po co nam pociągi jadące 350 km/h? Kto będzie tym jeździł?", pyta i zapewnia, że gdy za naszą granicą trwa wojna, Polacy do takich pociągów nie wsiądą, zwłaszcza że – jak wynika z informacji Glińskiego – będą one produkcji niemieckiej.

Postulat, żeby szybka kolej jeździła wolno, uważam za rozsądny w sytuacji, gdy codziennie widzimy, jakie szkody wyrządzają szybko jeżdżące samochody i hulajnogi. Nie jestem fizykiem ani kolejarzem, ale podobnie jak Gliński sądzę, że skoro duża prędkość kolei dużych prędkości odstraszałaby Polaków z powodu tego, że jest za duża, należy dołożyć starań, żeby była mała, dzięki czemu pasażerowie przestaną się bać, że dojadą do celu za wcześnie.

PiS jest nie tylko przeciwko szaleństwu rozwijania dużej prędkości przez kolej, ale także przeciwko niezrozumiałym wysiłkom rządu Tuska w zapewnianiu Polsce bezpieczeństwa. Politycy tej partii uważają, że gdy rządzili, zapewnili Polsce wystarczająco dużo bezpieczeństwa, dlatego ostro sprzeciwiają się dalszemu zapewnianiu poprzez branie pożyczek z unijnego programu SAFE na rozwój polskiej armii.

Jarosław Kaczyński ostrzega, że Polsce grozi wzięcie na korzystnych zasadach aż 180 mld zł, w wyniku czego polska armia może się niebezpiecznie rozwinąć w kierunku służącym interesom Niemiec i rządu Tuska. Poseł Błaszczak nie ma wątpliwości, że z pomocą SAFE „Niemcy odbudują swój przemysł zbrojeniowy"; zgadzam się z nim, że w tej sytuacji modernizacja polskiej armii to zdrada ojczyzny i że jedyną szansą dla tej armii jest długofalowy rozwój oparty na osłabianiu Niemiec poprzez niemodernizowanie jej i niekupowanie w Unii żadnego uzbrojenia za pożyczone od niej pieniądze. Dzięki temu bogacenie się Niemiec zostanie zahamowane, co będzie dużym sukcesem polskiej armii i bardzo ją wzmocni.

W PiS i w Kancelarii Prezydenta panuje opinia, że zamiast trwonić miliardy na modernizację armii, co grozi wzmocnieniem Niemiec, lepiej przeznaczyć je na wzmocnienie bezpieczeństwa Polski poprzez dogłębne zbadanie „wschodnich kontaktów" marszałka Czarzastego. Uważam, że dzięki tak dużym pieniądzom możemy liczyć nie tylko na ujawnienie jego powiązań z tą czy inną znajomą Rosjanką, ale także na zgłoszenie się wielu świadków, którzy chętnie opowiedzą o kontaktach Czarzastego z reżimem Maduro oraz Epsteinem i jego pedofilską bandą.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa

eprasa.pl f6af64afad

Na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie odsłonięto pomnik nagrobny Mariana Turskiego, człowieka wyjątkowego. Monument został przygotowany przez SENNA Kolektyw (dr Natalia Romik, Sebastian Kucharuk, Agata Korba). Jak podkreślają autorzy, zależało im, aby pomnik odzwierciedlał determinację Mariana Turskiego w przywoływaniu pamięci. Zielona marmurowa bryła ma symbolicznie 11 nacięć, upamiętniając Jego XI przykazanie.

Rok bez Mariana

18 lutego 2025 r. pożegnaliśmy naszego redakcyjnego kolegę **Mariana Turskiego**, serdecznego przyjaciela i niezwykłego człowieka. Dołączył do zespołu POLITYKI w 1957 r. i przez niemal 70 lat prowadził jej dział historyczny; pisał, redagował, pracował intensywnie do końca życia. To dzięki niemu nasz tygodnik jako pierwszy opublikował fragmenty książki Kazimierza Moczarskiego, dla których Marian Turski zaproponował tytuł „Rozmowy z katem". To on wymyślił Nagrody Historyczne POLITYKI – najdłużej (od 1959 r.) przyznawane tego typu wyróżnienia w Polsce. Przez wszystkie te lata był szefem kapituły, do której zapraszał wybitnych znawców historii. Kiedy w ubiegłym roku po raz pierwszy zabrakło go na gali, było dla nas oczywiste, że Nagrody Historyczne POLITYKI muszą nosić jego imię.

Został zapamiętany jako więzień Auschwitz, strażnik pamięci Holokaustu, autor XI przykazania: „Nie bądź obojętny". Świadek epoki. I uczestnik przełomowych wydarzeń, choćby amerykańskiego marszu równości z Selmy do Montgomery w 1965 r., o czym przypomniał, rozmawiając w 2011 r. z prezydentem Barackiem Obamą. Docenionym, o czym świadczyły wyróżnienia polskie i światowe, m.in. Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, francuski Order Legii Honorowej czy Order Zasługi Republiki Federalnej Niemiec, Order Zasługi Wielkiego Księstwa Luksemburskiego, Order za Zasługi dla Litwy i wiele innych. W 2020 r. został z inicjatywy środowiska tygodnika POLITYKA oraz Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego zgłoszony do Pokojowej Nagrody Nobla.

Dla nas był kolegą, życzliwym i skromnym. Zawsze przemieszczającym się po piętrach redakcji z masą książek, które dla wygody przewoził wózkiem. Udźwignąć tyle tomów byłoby nie sposób. Żartowaliśmy sobie z jego charakterystycznego gestu – wzniesionego palca. O tym palcu, którym zawsze nam coś wskazywał, utrwalonym na wielu zdjęciach, felietonista POLITYKI Ryszard Marek Groński na 90-lecie Mariana napisał piosenkę, która zaczyna się tak:

„Palec Mariana z bezczynności drwi
Budzi nas, działań czas ogłasza
Palec Mariana, gdy go wetknie w drzwi
Jest jak wołanie: Teraz dobra nasza!
Nieraz ten palec – Palcem Bożym jest
Taki ma Marian gest".

Miał też pasję niezwiązaną z życiem zawodowym – muzykę klasyczną. Uwielbiał zwłaszcza Brahmsa. Jego marzeniem było poprowadzenie orkiestry symfonicznej. Udało się je spełnić na jego jubileusz – dyrygował Sinfonią Varsovią grającą uwerturę „Egmont" Beethovena. Wyszło jak z nut, choć nut nie czytał.

Czujemy się zawiedzeni tylko w jednym: obiecał, że razem będziemy obchodzić jego setne urodziny, przypadające 26 czerwca tego roku.

Fundusz Nieobojętnych im. Mariana Turskiego

Apel Mariana Turskiego „Nie bądź obojętny!", wygłoszony w Auschwitz w 2020 r., zainspirował Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny i Rodzinę Mariana Turskiego do powołania Funduszu wieczystego, z którego finansowane będą granty dla organizacji działających przeciwko nietolerancji i dyskryminacji w Polsce.

W ramach Funduszu powołana została komisja ekspercka złożona ze specjalistów zajmujących się tematyką dyskryminacji, oraz kapituła Funduszu, składająca się z osób bliskich Marianowi Turskiemu, uznanych autorytetów, osób podzielających jego misję. Komisja wytypuje projekty rekomendowane kapitule, która będzie odpowiedzialna za wybór wspieranych organizacji. Każdego roku będzie przyznawać grant (w wysokości do 100 tys. zł dla organizacji lub do 50 tys. zł w przypadku osoby prywatnej) co najmniej jednej inicjatywie, realizującej programy związane z przeciwdziałaniem dyskryminacji poprzez edukację, monitoring lub interwencje.

Członkami kapituły są: Joanna Turska, Piotr Wiślicki (Stowarzyszenie ŻIH), Jerzy Baczyński (POLITYKA), Dariusz Stola (Muzeum POLIN), Wilhelm Sasnal. (Lista członków nie jest ostateczna).

18 lutego 2026 r. rusza pierwsza edycja konkursu skierowanego do organizacji i osób prywatnych, realizujących projekty zgodnie z misją Funduszu. Zwycięzcę konkursu poznamy 25 czerwca podczas wydarzenia upamiętniającego setną rocznicę urodzin Mariana Turskiego, organizowanego w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

Partnerami strategicznymi Funduszu są Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN oraz tygodnik POLITYKA.

Zachęcamy do dzielenia się informacją o Funduszu i konkursie. A także wsparcia naszej misji poprzez dokonanie darowizny na Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce – Bank Pekao SA, numer konta: **29 1240 6292 1111 0010 5499 9625.**

Więcej informacji o Funduszu na: fundusznieobojetnych.pl

© LESZEK ZYCH (2)

eprasa.pl f6af64afad

W metrze i w swetrze

Wiadomo, najważniejsze zimą to nosić się ciepło. I wygodnie. Ponad te dwa wymogi nie wyszli twórcy strojów dla polskiej reprezentacji olimpijskiej. Szkoda. Z wielu powodów.

TREND

Najbardziej oczywisty? Igrzyska odbywają się w Mediolanie – stolicy szyku; podczas ceremonii otwarcia organizatorzy urządzili pokaz mody i z honorami pożegnali zmarłego we wrześniu króla projektantów Giorgia Armaniego (my go pożegnaliśmy w POLITYCE 37/25). Do tego tuż przed otwarciem igrzysk odbył się w Mediolanie tydzień mody męskiej. Niby prezentowano kolekcje dopiero na przyszły zimny sezon, lecz z racji obecnych niskich temperatur, śniegów i wiatru część pomysłów jest do wdrożenia od zaraz, i to niezależnie od płci. Na wybiegach było praktycznie, ale też – w przeciwieństwie do uniformów naszego teamu (o czym więcej w poprzednim numerze) – pomysłowo i ładnie. Do tego na swój sposób swojsko i znajomo, co mogło z kolei zadowolić bardziej konserwatywnych polskich kibiców.

Weźmy takie swetry. Można nosić je klasycznie, jak zwykle, pod płaszczem czy kurtką, ale i zakładać na okrycia wierzchnie. Tak widzi to **Ralph Lauren**. Legenda amerykańskiej mody casualowej, a przy okazji szef projektantów strojów tegorocznej olimpijskiej ekipy USA; na „catwalki" stolicy Lombardii wrócił po ponad dwóch dekadach. Ku zachwytowi krytyków.

Według niego sweter warto potraktować jak szal: wiążąc fantazyjnie rękawy pod szyją albo zakładając go asymetrycznie, przekładając przez jedno ramię. Można też przepasać go na wysokości talii bądź (co na fashion weeku zaproponowała także marka Zegna) w pasie. Każdy z takich zabiegów inaczej modeluje sylwetkę: optycznie wysmukla, poszerza ramiona, buduje atrakcyjne proporcje. Przy okazji jednak chroni rozmaite miejsca i narządy od chłodu. W kontrze do zwykłego szalika czy komina, które chronią tylko szyję, najwyżej jeszcze głowę.

Paradoksalnie to inspiracja letnią modą kurortową. Nonszalancko narzucone na szyję blezery kojarzą się przecież z popołudniowymi, niespiesznymi spacerami po promenadzie. Ale i biwakową, gdzie przewiązanie się swetrami czy bluzami w pasie przywołuje patenty z obozów wędrownych, eskapad, wycieczek. Zatem *nihil novi*. Poza tym taki lżejszy element garderoby łatwiej i szybciej zdjąć w razie potrzeby, to jest w metrze, sklepie, kawiarni czy urzędzie. W sumie w każdym publicznym wnętrzu w Polsce, gdzie mimo wysokich rachunków pomieszczenia zazwyczaj są przegrzane.

Alternatywą dla swetra – tu można rozważyć też kardigan, który po rozpięciu potrafi osiągnąć rozmiary poncha – są puchowe kurtki. Te z kolei zabezpieczą przed podmuchami wiatru, nadając stylizacji – jak mawiają spece od wizerunku – bardziej sportowy charakter. Są mniej eleganckie, ale i lżejsze, i w razie obfitych opadów śniegu czy deszczu tak szybko nie nasiąkną.

Tu też przykład nie przyszedł z góry, lecz z dołu. Na zakładanie komfortowych bezrękawników czy puchówek nawet do garniturów pierwsi wpadli szeregowi pracownicy biur i korporacji, nierzadko marznący wcześniej w zwykłych płaszczach na przystankach lub irytujący się ograniczoną przez owe płaszcze swobodą ruchu szczególnie potrzebną podczas prowadzenia samochodu. Jakieś dziesięć lat temu w owym miksie klasyki i sportu wyglądali nieporadnie, wręcz nieudolnie; dziś – jak zresztą często w modzie się to dzieje – wychodzą na trendsetterów.

Wracając do Mediolanu – nie do przeoczenia jest też najnowszy patent Prady. Projektanci tej marki, czyli Miuccia Prada i Raf Simons, zaprezentowali minipeleryny. De facto cienkie, krótkie, łatwo odpinane nakładki na płaszcze, chroniące ramiona, kark i klatkę piersiową przed wilgocią. Wykonane są – jakże by inaczej – z nylonu, z którego Prada uczyniła tkaninę prestiżową (ceny uszytych z niego torebek niejednokrotnie przewyższają te luksusowej galanterii wykonanej z najlepszych skór). W razie czego – czyli nagłego ciepła i słońca – można je zdjąć, złożyć i schować do kieszeni. Te peleryny to współcześni kuzyni ochronnych foliówek na ubrania, przed laty zabezpieczających przed deszczem czy to w mieście, czy podczas urlopowych eskapad. Niegdyś do kupienia nawet w kioskach Ruchu. Gdy jeszcze istniały kioski. Moda męska jest dla ludzi. Wszystkich. ■

Michał Zaczyński
– dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor popularnych podkastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

© DANIELE VENTURELLI/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, IMGFLIP.COM, TOMASZ SZERSZEŃ/UNIVERSAL MUSIC

eprasa.pl f6af64afad

WIRAL

Memy z akt

Jeffrey Epstein został memem chwilę po swojej tajemniczej śmierci w celi w 2019 r. Skrót EDKH (Epstein Didn't Kill Himself) podający w wątpliwość samobójstwo przestępcy był jednocześnie hasłem wywoławczym wierzących w teorie spiskowe i zwykłym żartem krążącym w sieci. Także ujawnienie akt Epsteina szybko stało się elementem „nowej normalności". Z jednej strony poszukiwacze sensacji, tropiciele spisków i miłośnicy prawdziwej zbrodni dostali nową zabawkę (akta można w wygodny sposób, przypominający aplikacje pocztowe, przeglądać na stronie: jmail.world). Z drugiej – twórcy memów i miłośnicy czarnego humoru próbują rozbroić tę ciężką tematykę, za cel stawiają sobie sprawców.

Obiektem żartów stał się m.in. Elon Musk, wedle ujawnionych maili zabiegający o wizytę na wyspie Epsteina – i zbyt obciachowy, żeby go zaprosić. W satyrycznych filmikach odgrywany jest np. jako klasowy przegryw próbujący zabiegać o względy fajniejszych kolegów. Inne filmy to odpowiedź na retorykę kultu MAGA, który stara się rozmyć związki Donalda Trumpa z Epsteinem. Na pytanie ich twórców: „Co zrobisz, jeśli twój ulubiony celebryta jest w tych aktach", poza oczywistą odpowiedzią: „Przestanie być moim ulubieńcem", pojawiły się prześmiewcze: „Nie wydaje mi się, żeby Kermit Żaba się tam znalazł".

To reakcje normalnych ludzi, ale sieć zamieszkują także rozmaite dziwolągi, agenci wrażych sił i chaosu. W ich filmikach, produkowanych za pomocą AI, Epstein wyrasta na bohatera, dorodnego samca z incelskich fantazji (podobnie za pomocą sztucznej inteligencji pokazywali się Musk i Trump). Ma nawet własną drużynę wzorowaną na marvelowskich Avengersach, w skład której wchodzą inni przestępcy seksualni, jak Sean „Diddy" Combs. Tu humor nie służy już eskapizmowi, ale staje się kolejnym narzędziem przemocy i kultury gwałtu.

Nieustannie trzeba więc podkreślać, że najważniejszy w całej sprawie jest los młodych ofiar. I mieć świadomość problemu krzywdy nie tylko na odludnych wyspach miliarderów, ale też w polskich miastach i wioskach. To nie karnawał, to rzeczywistość.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Na wyspach Bałamutach

Coś się wydarzyło 1 lutego. Płaski wykres zainteresowania czasownikiem „bałamucić" w Google Trends nagle wystrzelił w górę, a w mediach społecznościowych przed walentynkami o bałamuceniu mówiono na okrągło. Co się wtedy stało? Jedna z dziennikarek Kanału Zero, proamerykańska w postawie, przekonywała, że nowo upublicznione akta sprawy Epsteina to groch z kapustą, a żeby o tym przekonać, rzuciła na platformie X: „Serio, »w dokumentach znajduje się« i Donald Tusk, i Andrzej Duda, i Lech Wałęsa... co nie znaczy, że któryś z nich bałamucił małolaty na wyspie Epsteina". I w tym wyjątkowym przypadku uwagi komentujących nie zwróciły nazwiska (padające przypadkowo wśród milionów upublicznionych dokumentów), tylko słowo „bałamucić", które w kontekście kontaktów erotycznych w słownikowej definicji oznacza „starać się pozyskać czyjeś względy" (za słownikiem PWN), podczas gdy oskarżenia wobec Epsteina dotyczyły wykorzystywania seksualnego nieletnich i handlu nieletnimi w celach seksualnych.

„Kupienie lizaka dwunastolatce przez obcego, dorosłego mężczyznę jest – powiedzmy – dwuznaczne i niestosowne, i to można byłoby określić jako bałamucenie" – komentowano. A ironiczni internauci proponowali autorce wpisu, żeby jeszcze zamiast „pedofil" pisała „uzależniony od dzieci". Rzadko z taką mocą publiczna dyskusja odwołuje się do słownikowych definicji (te pozostałe to „wprowadzać kogoś w błąd" lub „marnować czas"), a jeszcze rzadziej – tak nagle wraca do łask stare słowo.

Owszem, i to znajdziemy w tekstach hiphopowych („bałamucą małolatów internety" – rapował **Gruby Mielzky** w utworze z Proceente), ale częściej w ludowych tekstach, na co wskazuje przypadek Mazowsza: „Usiadł sobie ptak na dębie i tak sobie nuci/ Nie wierz chłopcu, chłopcu nie wierz, bo on bałamuci". A że słowo jest stare, można się też przekonać, wertując XIX-wiecznego „Pana Damazego" Józefa Blizińskiego: „Z tamtą cię chcą żenić, a tę bałamucisz". Żaden z tych cytatów nie pasuje jednak do sprawy Epsteina, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że normy obyczajowe się zmieniały. Za to idealnie pasuje to słowo, wywodzące się od prasłowiańskich określeń „mówienia" i „mącenia", do dzisiejszego świata dezinformacji. I dyskusji w social mediach, która wygląda może inaczej niż kiedyś, ale opiera się na mąceniu ludziom w głowach.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Niepotrzebny BBL, by czuć się jak ikona.
Kupiłam mieszkanie mamie, mama to ikona
Julita Różalska (Ekipa), Jet Ski, 2026 r.
BBL – Brazilian Butt Lift, lifting pośladków

eprasa.pl f6af64afad

Republiki dolinne

Zawody igrzysk w Mediolanie i Cortinie zorganizowano w dolinach od zawsze ludowych i demokratycznych, bez zamków i feudalnej przeszłości.

PODRÓŻE

W wakacje 2006 r. POLITYKA ukazała się z bezpłatnym dodatkiem, cieszącą się sporym wzięciem wśród czytelniczek i czytelników mapą „250 zamków, warowni i pałaców w Polsce". I choć przez kolejne 20 lat liczba zamków zbudowanych od podstaw nieco się w kraju zwiększyła – o straszydło z Puszczy Noteckiej – to pod względem uzamkowienia nadal odstajemy od tzw. starej Europy. Dołączona mapa, jako podpowiedź dla zwiedzających, oczywiście nie stanowiła wyczerpującej listy. Tę prowadzi Narodowy Instytut Dziedzictwa. W jego rejestrze figuruje ok. 400 obiektów mogących uchodzić za „samodzielne dzieło obronne o zabudowie zwartej" lub przynajmniej ich ruiny.

Skalę polskiego bezzamcza wyraźnie widać z Prowincji Autonomicznej Trydentu. Region z północy Włoch jest maleńki, ma powierzchnię trzech powiatów ostrołęckich. I o ile wokół Ostrołęki zamków, warowni lub ich pozostałości brak, o tyle w Trentino na 6,2 tys. km kw. stoi ich podobno ok. 300. W połączeniu z warunkami naturalnymi – przewyższenia w trydenckich Dolomitach sięgają prawie 4 km (na kurpiowskich równinach nie dobijają do 100 m) – daje to budzące zazdrość turystyczne eldorado.

Bo jakoś już tak jest, że im więcej materialnego wyrazu nierówności i krwawej polaryzacji w wiekach przeszłych, tym większa turystyczna atrakcyjność współcześnie. W **Trentino** zamki stawiano przede wszystkim w tych dolinach, przez które biegły najważniejsze szlaki. Tu z północy na południe, łącząc kraje włoskie z niemieckimi. Stąd np. Val di Non ma dwudziestkę zamków. W tym zjawiskowy Thun, będący rezydencją jednego z najpotężniejszych rodów w całych Alpach. Zbudowano go w XIII w. i niewiele się od tego czasu zmienił, o każdej porze roku dostarcza pocztówkowych kadrów. Zimą okalające go góry toną pod śniegiem. Wiosną od kwitnących jabłoni bieleje zamkowe wzgórze itd.

Podczas igrzysk w Mediolanie i Cortinie zawody w dyscyplinach narciarskich i saneczkowo-bobslejowych zorganizowano właśnie w Dolomitach. Psikusem losu nie w dolinach z zamkami i o feudalnym rodowodzie, ale w tych ludowych i demokratycznych. Kryły się poza głównymi traktami, nie były atrakcyjnym polem rywalizacji feudałów i pozwalano im na daleko idącą samorządność. W położonym w Val di Fiemme miasteczku Cavalese na trasie olimpijczyków i kibiców znalazł się budynek o fantazyjnie pomalowanej fasadzie. To XV-wieczne letnisko biskupa Trydentu, a obecnie siedziba Magnifica Comunità di Fiemme. Czyli wspaniałej lub dostojnej wspólnoty czy społeczności doliny Fiemme, która od 1111 r. zarządza wspólnym majątkiem – dolinnymi pastwiskami, lasami i wodą.

W dolinie Fiemme, niewiele mniejszej od Non, zamek z prawdziwego zdarzenia jest jeden. W kotlinie z Cortiną, rządzonej wspólnotowo, na zasadach alpejskiego prawa zwyczajowego prawdopodobnie już od IX w., zamków nie ma w ogóle. Chociaż niewiele brakowało. Budowę pierwszego rozpoczął mieszkaniec uszlachcony za obronę Wiednia oblężonego przez Turków. Uratowany przez odciecz Jana III Sobieskiego mógł wrócić w rodzinne góry i ufundować sobie *castello*. Zdołał wznieść kawałek murów i dwie wieże. Po dwóch latach inwestycję wstrzymał skuteczny protest społeczności Cortiny d'Ampezzo „z powodu szkody, jaką mogłaby wyrządzić Ojczyźnie". Obawiano się, że przyszli najeźdźcy zobaczą fortyfikacje i uznają, że miejscowi wcale nie są pokojowi i na wszelki wypadek warto ich zbrojnie spacyfikować.

Zamki w Trentino wabią turystów, i to dobrze. Gorzej, że bywają źródłem zgryzot. Wiele obiektów pozostaje w prywatnych rękach, są przedmiotem zwykłego obrotu, kupna i dziedziczenia. Przy sprzedaży nigdy nie wiadomo, kto się trafi i co będzie z zamkiem robił. Może piłkarz czy cudzoziemski oligarcha, który zatrzaśnie bramy na wszystkie spusty?

Na przypadek nie chciało zdać się miasteczko spod Pergine (to okolice Trydentu). XIII-wieczna twierdza należała do starszego, bezdzietnego i bardzo zamożnego rodzeństwa. Właściciele na co dzień przebywali w Szwajcarii i porządkując swoje sprawy, uznali, że pora nieruchomość puścić na rynek. Udało się ich jednak przekonać, by z rabatem kilku milionów euro odsprzedali ją sąsiadom. Zrzuciło się blisko tysiąc osób. Zamkiem zawiadują przez fundację, która prowadzi restaurację *slow food* i niewielki hotel. Noclegi będzie można rezerwować dopiero od kwietnia, bo na razie w nieogrzewanych zamkowych komnatach jest jeszcze zbyt zimno. ■

Jędrzej Winiecki
– dziennikarz działu zagranicznego POLITYKI. Przygląda się ludziom i przyrodzie.

© SHUTTERSTOCK, ANNA AMAROWICZ, SHUTTERSTOCK, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl f6af64afad

Pozdrawiam karnawałowo z pięknej wyspy Bali. 30 stopni w cieniu, można się miło ochłodzić drinkiem z palemką, siedząc pod prawdziwą palmą. A co z winem?

Wino tropikalne

Z palemką można zamówić klasyczne koktajle typu mojito, piña colada czy margarita (do wyboru ananasowa albo mango). Lub piwo, i to bynajmniej nie „kraftowe". Fajnie, ale tym z nas, którzy przyzwyczaili się do regularnego odkrywania nowych dionizyjskich smaków, czas się będzie dłużył, bo z win pod palmą dostępne są tylko nudne przemysłowe marki typu australijski Yellow Tail, i to w cenach mocno napompowanych tropikalnymi podatkami. Piwo za równowartość 8 zł, drink za 20 albo kieliszek słabego wina za 30 – wybór narzuca się sam.

Zapobiegliwi flaszki przywiozą ze sobą. Co prawda w dalekich krajach obowiązują limity – zwykle dwa litry na osobę, czyli naciągane trzy butelki – ale rzadko są egzekwowane. Jadąc we dwójkę, można zapakować więc dobrego wina na tydzień. W tropikalnych warunkach nie każdy gatunek się jednak sprawdzi. Radzę unikać win cierpkich, tanicznych, wyraźnie dębowych. Generalnie czerwone się nie sprawdzą, bo też trudno je będzie pić w dobrej temperaturze. (Na Bali miejscowe restauracje podają wino w schłodzonych kieliszkach, a i tak po paru minutach jest ciepłe jak zupa). W cenie natomiast będą wszelaki riesling ze swoją ożywczą kwasowością i cytrusowym nerwem, pełne smaku, śródziemnomorskie wina z ciepłego klimatu typu Santorini, no i szampan, który – jak wiadomo – smakuje zawsze i wszędzie. Do tej uniwersalnej listy dodałbym jeszcze mocno owocowe sauvignon blanc i lekki wytrawny róż. A jeśli nie możemy żyć bez czerwieni – to tę jak najlżejszą, typu beaujolais albo pinot noir (ale raczej z Chile albo Nowej Zelandii niż z Burgundii). No i walizka skompletowana.

Jakież było jednak moje zdziwienie, gdy się okazało, że na Bali... robią wina! Działają tu trzy komercyjne winiarnie: Hatten, **Sababay** i Cape Discovery, a ich wina na kieliszki i butelki można dostać praktycznie w każdej knajpie. I wiecie co? Są całkiem niezłe! Pomimo niesprzyjającego klimatu (o tym za chwilę) i użycia dziwacznych szczepów-hybryd, typu muszkat niebieski albo alphonse lavallée, są czyste, owocowe, odświeżające i całkowicie się nadają do wypicia kieliszka. A jako że nie kosztują wiele (butelka w miejscowym spożywczaku: 50–60 zł), okazały się w sumie lepszym wyborem niż Yellow Tail.

No dobrze, ale dlaczego to taka sensacja? Otóż tropikalne warunki – gorąco i wilgotno – nie są odpowiednie dla winorośli. Sprzyjają bardziej uprawom ananasa, kawy czy trzciny cukrowej. Winny krzew do produkcji winogron wysokiej jakości potrzebuje raczej mało opadów – najlepiej na granicy minimum, to dobre zwłaszcza dla win czerwonych – i nie tyle ciepła, ile światła. A godzin słonecznych w tropikach wbrew pozorom jest w miesiącu dużo mniej niż w takiej np. Toskanii. Żeby powstało dobre wino: lepiej zimno i sucho niż odwrotnie. To dlatego lepsze rezultaty notują Niemcy, Nowa Zelandia czy choćby Polska niż taka Indonezja.

To jednak nie powstrzymuje winiarzy, którzy, jak wiadomo, zasadzą winorośl wszędzie, gdzie się da – opisywałem już w jednym z poprzednich felietonów perypetie producenta z Tajwanu. Do krajów winiarskich – choć wyniki, delikatnie mówiąc, nie zachwycają – zaliczają się też Tajlandia, Wietnam, Kostaryka czy Wyspy Zielonego Przylądka. Duże postępy robią Indie.

Na razie oczywiście są to wina anegdotyczne i nie porzucimy dla nich ulubionych burgundów czy toskanów. Ale w czasie egzotycznego urlopu nie musimy już poświęcać wina na rzecz palemki. ■

WINO

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Bali – Hatten Tungjun Sparkling Brut, ok. 60 zł (na miejscu)
Bali – Sababay White Velvet, ok. 50 zł (na miejscu)
Indie – Sula Vineyards Brut Tropicale, ok. 20 euro (internety zagraniczne)
Indie – Grover Zampa Art Reserve Sauvignon Blanc, ok. 18 euro (internety zagraniczne)
Madera – Justino's Projects Fanal Sercial Fajã do Barro 2023, ok. 20 euro (na miejscu i internety zagraniczne)

eprasa.pl f6af64afad

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Czy Unia się rozpadnie?

W podkaście „Polskie demo" na pytania o przyszłość Unii Europejskiej i światowego ładu odpowiada Janusz Reiter, ambasador Polski w Berlinie (1990–95) i USA (2005–07). „Nie ma co liczyć na to, że Polska zbuduje jakiś własny sojusz z Ameryką" – mówi bez wahania. Czy Unia może się wzmocnić (musi), czego obawiają się Niemcy (samych siebie), kto zbuduje najsilniejszą armię w Europie i jak radzić sobie z Trumpem – to tylko niektóre wątki naszej rozmowy. Do słuchania i oglądania.

Ambasador się obraził

Thomas Rose, ambasador USA, zerwał stosunki dyplomatyczne z marszałkiem Włodzimierzem Czarzastym – również dla takich afer powstał podkast „Świat na zakręcie", w którym Agnieszka Lichnerowicz i Mateusz Mazzini zaglądają za kulisy dyplomacji. Czy awantura, która wybuchła na platformie X, może mieć dla Polski groźne konsekwencje? W podkaście wracamy też do akt Jeffreya Epsteina, studiując mniej znane fragmenty. Nowe odcinki co poniedziałek o godz. 19.

Końca wojny nie widać

„Nie chciałbym umierać w takim miejscu", mówi Paweł Reszka, doskonale znany czytelnikom POLITYKI reporter i korespondent wojenny. Od czterech lat regularnie wraca do Ukrainy. „Warto tam jeździć i opowiadać te historie", wyznaje Karolinie Lewickiej w podkaście „Temat tygodnia". To rozmowa o znikających miastach, potyczkach maszyn, dramacie ludzi. Paweł Reszka mówi tak, jak pisze: z wyczuciem, przejmująco i szczerze.

Nigdy nie dali ciała

Pamiętają czasy Jarocina, nie dali się konkurencji, dziś nie poddają się algorytmom i nadal z przenikliwością diagnozują rzeczywistość – grupa Dezerter już ma status legendy. Jak to się robi, zdradza **w kulturalnym podkaście POLITYKI lider zespołu Krzysztof Grabowski. Wyjaśnia m.in., dlaczego nowej płyty Dezertera warto posłuchać od końca. A na początek dobrze posłuchać tej rozmowy**, którą prowadzi Bartek Chaciński. Jedno jest pewne: punk nie umarł.

Pierogi robią furorę

Świat zachwycił się pierogiem, który towarzyszy występom polskiej reprezentacji łyżwiarstwa figurowego. Wyjaśnijmy: to „Pieroguszka", maskotka z katowickiej spółdzielni Luft, sprzedającej rzeczy wykonywane ręcznie przez osoby z niepełnosprawnościami. „Chcę takiego!", piszą internauci, a inni wzdychają do prawdziwych pierogów. **Chiny mają Labubu, Polska ma pierogi. To może być nasza soft power, pisze na polityka.pl Michał R. Wiśniewski.**

© LESZEK ZYCH (2), FILIP NAUMIENKO/ /REPORTER, YURIY DYACHYSHYN/AFP/EAST NEWS, WANG ZHAO/AFP/EAST NEWS

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl f6af64afad

DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI
dkms.pl/1-5procent
Ludwik, 6 lat
Niech jak najszybciej wróci na plac zabaw
Co 40 minut w Polsce ktoś słyszy słowa: „To nowotwór krwi." W Fundacji DKMS wiemy, że ta diagnoza to nie koniec. To etap, przez który trzeba przejść i jak najszybciej wrócić do normalności. W tym celu wyposażamy szpitale, pomagamy znaleźć Dawcę szpiku, zapewniamy opiekę psychoonkologa. Robimy wszystko, by Pacjenci chorzy na nowotwory krwi mogli odzyskać swoje dawne życie.
Rozlicz online
Przekaż 1,5% Fundacji DKMS
KRS 0000 318 602

KUJAWSKO-POMORSKI
TEATR MUZYCZNY
W TORUNIU

NO MUSIC
NO LIFE

REŻYSERIA / AGNIESZKA PŁOSZAJSKA

JESUS CHRIST SUPERSTAR

LYRICS BY **TIM RICE** MUSIC BY **ANDREW LLOYD WEBBER**

MUSICALOWY FENOMEN SEZONU POWRACA!

TORUŃ, 5-14 MARCA 2026

SCAN ME

/teatrmuzycznytorun

www.teatrmuzyczny.torun.pl